



SASHA
GREY
KLUB
JULIETTY

SASHA
GREY
KLUB
JULIETTY

Z angielskiego przełożyła
ANNA DOBRZAŃSKA

O książce

Catherine, studentka filmoznawstwa, jest zafascynowana jednym z wykładowców. I to nie jego intelekt przyciąga uwagę dziewczyny. Źródło tej fascynacji, która zaczyna przeradzać się w obsesję, z całą pewnością nie jest umiejscowione w głowie profesora. Kiedy Catherine zwierza się z tego swojej przyjaciółce Annie, ta wprowadza ją w świat wyuzdanego seksu, o którego istnieniu wiedzą tylko nieliczni.

W Klubie Julietty wpływowi ludzie realizują swoje najdziwniejsze i najbardziej perwersyjne fantazje seksualne, a Catherine, choć ma chłopaka, którego kocha, nie może się oprzeć pokusie zakazanych zabaw. Dopiero zniknięcie Annie i bezskuteczne próby jej odnalezienia uświadamiają Catherine, że ten podziemny świat seksualnych rozkoszy może być bardzo niebezpieczny.

SASHA GREY

Urodziła się w Sacramento, w Kalifornii. W college'u uczęszczała na zajęcia z aktorstwa, tańca i filmoznawstwa. Tuż po osiągnięciu pełnoletności rozpoczęła karierę w branży porno w Los Angeles. Pół roku później magazyn porno „Los Angeles” okrzyknął ją nową gwiazdą tego gatunku. Jednocześnie realizowała inne projekty – m.in. wystąpiła w teledysku *Superchrist* grupy The Smashing Pumpkins, pracowała jako modelka dla francuskiego projektanta Maxa Azrii oraz włoskiej firmy obuwniczej Forfex, wzięła udział w kampanii PETA oraz w projekcie artystycznym aTelecine, który zaowocował wydaniem płyty *A Vigilant Carpark*. W 2009 r. zaczęła występować w filmach głównego nurtu; Steven Soderbergh powierzył jej główną rolę w *Dziewczynie zawodowej*. Rok później otrzymała rolę w *Ekipie*, popularnym serialu produkowanym przez HBO. W 2011 r. Sasha Grey ogłosiła, że wycofuje się z branży porno.

www.sashagrey.com

Spis treści

O książce

O autorce

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

Podziękowania

Przypisy

Zanim przejdziemy dalej, ustalmy coś.
Chcę, żebyście obiecali mi trzy rzeczy.

Po pierwsze:
nic z tego, co przeczytacie dalej, nie wywoła waszego zgorzenia.

Po drugie:
pozbędziecie się wszelkich zahamowań.

Po trzecie i najważniejsze:
wszystko, co od tej chwili zobaczycie i usłyszycie,
musi pozostać między nami.

W porządku. Przejdźmy zatem do konkretów.



Uwierzylibyście, gdybym wam powiedziała, że istnieje tajny klub, do którego należą wyłącznie najbardziej wpływowi ludzie w społeczeństwie: bankierzy, bogacze, magnaci prasowi, dyrektorzy generalni, prawnicy, wysoko postawieni policjanci, handlarze bronią, najwyżsi rangą wojskowi, politycy, urzędnicy rządowi, a nawet hierarchowie Kościoła katolickiego?

Nie mówię o iluminatach, Bilderberg Group, Bohemian Grove czy innych beznadziejnych stowarzyszeniach, jakimi na co dzień zajmują się wariaci od wszelkich teorii spiskowych.

Nie. Ten klub wydaje się dużo bardziej niewinny.

Na pierwszy rzut oka.

W rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Jego członkowie spotykają się nieregularnie, w sekretnych miejscach. Czasem odległych, a czasami ukrytych tuż pod naszym nosem. Jednak nigdy nie jest to to samo miejsce. Zwykle nie znajduje się ono nawet w tej samej strefie czasowej.

Na tych spotkaniach członkowie klubu... Nie owijajmy w bawełnę i nazwijmy ich panami wszechświata zdolnymi wstrzymać ruch planet. A więc ci panowie wszechświata wykorzystują swe tajne spotkania jako odskocznnię od ważnego i stresującego zajęcia, jakim jest czynienie świata jeszcze bardziej popieprzonym, niż jest w rzeczywistości, i wymyślanie jeszcze bardziej sadystycznych i pokretnych sposobów na torturowanie, zniewalanie i zubażanie ludzkości.

A co robią, gdy nie pracują i chcą się zrelaksować?

To chyba oczywiste.

Pieprzą się.



Widzę, że nie jesteście przekonani. Pozwólcie, że ujmę to tak. Czy kiedykolwiek spotkaliście mechanika, który nie miałby słabości do samochodów? Profesjonalnego fotografa, który nigdy nie zrobi zdjęcia, jeśli światła w studiu nie będą zapalone? Piekarza, który nie je chleba?

Więc nasi panowie wszechświata – po raz kolejny nie owijajmy w bawełnę – są profesjonalnymi jebakami. Przelecą cię, żeby zdobyć nad tobą przewagę. Zerzną cię, żeby dotrzeć na szczyt. Wyruchają z pieniędzy, wolności i czasu. I będą cię pieprzyć tak długo, aż trafisz do piachu. Choć nawet wtedy nie przestaną.

A zatem co robią, kiedy się nie pieprzą? To oczywiste...

Kolejna rzecz, którą musicie wiedzieć, to fakt, że wpływowi ludzie są jak celebryci. Lubią trzymać się razem, powtarzają do znudzenia, że nikt inny nie rozumie, jak to jest być jednym z nich, i dlatego trzymają się razem. Prawda jest taka, że nie chcą zadawać się z gorszymi od siebie, z pospółstwem, z nieokrzesanymi i niedomytymi, z ludźmi uwielbiającymi patrzeć na upadek bogatych i wpływowych. A jedyne, co tych drugich może zatrzymać w wędrówce na szczyt, to seks.

Tak więc nasi panowie wszechświata, profesjonalne jebaki, obmyślili, jak dostać wszystko, czego pragną, i spełnić swoje najdziksze i najbardziej wyuzdane seksualne fantazje, nie wywołując przy tym skandalu. To tak jakby ktoś twierdził, że potrafi puszczać baki tak, by nie śmierdziało. Oni w każdym razie... robią to za zamkniętymi drzwiami. Wszyscy razem.

W tajemnicy.

Henry Kissinger powiedział kiedyś, że władza to największy afrodyzjak. Kiedy te słowa padły, pełzał już wystarczająco długo po korytarzach władzy, by wiedzieć, co mówi. To miejsce jest potwierdzeniem słów Kissingera.

Możecie je nazwać: „500 Największych Jebaków”.

„Ligą Niemoralnych Skurwysynów”.

„Światowym Rżnięciem”.

Albo „Zorganizowaną Grupą Jebaków”.

Oni nazywają je Klubem Julietty.



Proszę bardzo. Wygooglujcie go. Niczego nie znajdziecie. Absolutnie niczego. Na tym polega cały sekret. A jednak czegoś możecie się dowiedzieć. Istnieje pewne tło, pewna historia.

Klub Julietty zawdzięcza swoją nazwę jednej z dwóch siostr, bohaterek wymyślonych przez markiza de Sade (druga miała na imię Justine). Seksualne przygody osiemnastowiecznego francuskiego arystokraty, libertyna, pisarza i rewolucjonisty tak oburzyły francuską arystokrację, że zamknięto go w Bastylii za obsceniczność. Co, patrząc z perspektywy czasu, było naprawdę fatalnym posunięciem, ponieważ siedząc w celi i nie mając nic lepszego do roboty, jak dniami i nocami walić konia, markiz znalazł inspirację do tworzenia jeszcze większych sprośności.

W więzieniu napisał największe dzieło literatury erotycznej, jakie widział świat. *Sto dwadzieścia dni Sodomy*. Książkę, która pod względem perwersji seksualnych i przemocy prześcignęła nawet Biblię. A do tego jest niemal tak samo długa. Oczywiście ten sam markiz krzyknął z okna swej celi do stojących w dole tłumów, że powinny przypuścić szturm na Bastylię, i tak, nieumyślnie, dał początek rewolucji francuskiej.

Wróćmy jednak do Julietty mniej znanej z dwóch siostr. Wcale nie dlatego, że jest spokojniejsza. Co to, to nie. Justine jest trochę nudna i pruderyjna, lubi być w centrum uwagi i robi z siebie ofiarę, aż człowiek ma jej dość – jak te celebrytki, w kółko gadające o swoim uzależnieniu od narkotyków i seksu, chłonące każde słowo doktora Drew i niestrudzenie promujące swoją osobę w każdym reality show, którego uczestnicy przed kamerami wychodzą z nałogu.

A Julietta? Julietta to kobieta pozbawiona skrupułów, jeśli chodzi o seks, morderstwa czy cielesne rozkosze, jakich do tej pory nie skosztowała. Pieprzy się i zabija, zabija i się pieprzy, a czasem robi obie te rzeczy naraz. Zawsze unika kary i nigdy nie musi płacić za swe występki i zbrodnie.

Może teraz zaczniecie rozumieć, o co mi chodzi. Może pojmiecie, dlaczego to tajemne stowarzyszenie, Klub Julietty, nie jest tak niewinne, jak mogłoby się wydawać.

Uwierzycie mi, jeśli powiem wam, że udało mi się spenetrować – wybaczcie mi mój język – wąskie grono członków tego właśnie klubu?

Nie chodzi o to, że należą do Klubu Julietty. Jestem studentką trzeciego roku college'u. Jako główny kierunek wybrałam filmoznawstwo. Nie jestem nikim wyjątkowym, tylko zwykłą dziewczyną, która jak każdy człowiek ma swoje potrzeby i pragnienia.

Pragnę miłości. Bezpieczeństwa. Szczęścia.

I zabawy. Uwielbiam się bawić. Lubię się dobrze ubrać i ładnie wyglądać, ale nie gustuję w drogich ubraniach. Jeżdżę małą używaną hondą hatchback, wożąc na tylnej kanapie szpargały, których nie mam czasu uprzątnąć. Rodzice podarowali mi hondę na osiemnaste urodziny i gdy wyjeżdżałam do college'u, zapakowałam do niej wszystkie swoje rzeczy. Zostawiłam za sobą przyjaciół, których znałam od dziecka; część z nich została w tyle i ciężko mi się z nimi dogadać,

inni na zawsze pozostaną w moim życiu. Poznałam też nowych, którzy otworzyli mi oczy na wiele rzeczy i poszerzyli moje horyzonty.

Od tej chwili nie będę zachowywała się jak mądrała. Od teraz będę skromna jak dziewczyna z sąsiedztwa. Bo prawda jest taka, że do tej pory mogłam sobie jedynie wyobrazić, że zajmuję uprzywilejowaną pozycję.

Mam seksualną fantazję, która nie daje mi spokoju. Nie, nie chodzi o pieprzenie się z Donaldem Trumpem w jego prywatnym odrzutowcu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad Saint-Tropez. Nie ma nic bardziej odrażającego. Moja fantazja jest dość przyziemna – prozaiczna i intymna.

Kilka razy w tygodniu odbieram z pracy mojego chłopaka i czasami, kiedy siedzi do późna i zamyka biuro, marzę o tym, żeby zabawić się z nim w gabinecie jego szefa. Oczywiście nigdy tego nie zrobiliśmy. Ale przecież mogę pomarzyć, prawda?

Jego szef jest senatorem, albo raczej odnoszącym sukcesy prawnikiem i potencjalnym senatorem. Jack, mój chłopak, pracuje w jego sztabie wyborczym. Studiuje też ekonomię. Przez to wszystko nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu, bo kiedy Jack kończy pracę, jest tak zmęczony, że niemal od razu zasypia na kanapie. Wczesnym rankiem wstaje na zajęcia, więc zwykle nie mamy czasu nawet na szybki numer. A przecież nie samą pracą człowiek żyje.

Tak więc fantazjuję o byciu oddaną dziewczyną i krok po kroku odgrywam w myślach dobrze znany scenariusz. Ubieram się specjalnie na tę okazję. Pończochy, szpilki i mój ulubiony dwurzędowy trencz w kolorze khaki, taki sam, jaki nosi Anna Karina w *Made in U.S.A.* Godarda. Pod nim mam tylko bieliznę; może zwykły czarny biustonosz i majtki, pas do pończoch i podwiązki. Albo jestem topless, mam na sobie jedynie białe podkolanówki i słodkie różowe majteczki w kropki, które tak bardzo go podniecają. Równie dobrze mogę iść w samych szpilkach i mieć na sobie wyłącznie seksowną jedwabną halkę albo szyfonową koszulkę. A do tego szminkę w kolorze rubinowej czerwieni. Czerwona szminka to podstawa. Najlepsza przyjaciółka dziewczyny.

Sztab wyborczy znajduje się na parterze od ulicy, w centrum miasta. Pomieszczenie jest przeszklone, a światła palą się całą noc, tak by przechodnie widzieli przyklejone do szyb rzędy identycznych czerwonych, białych i czarnych plakatów, na których szef Jacka szczerzy się do kamery, i hasła:

GŁOSUJ NA ROBERTA DEVILLE'A

Tak więc jedynym miejscem, gdzie możemy znaleźć odrobinę intymności, jest pomieszczenie gospodarcze, łazienka albo gabinet, w którym Bob – DeVille lubi, kiedy ludzie zwracają się do niego Bob – przesiaduje, gdy akurat jest w sztabie wyborczym, co nie zdarza się zbyt często. Gabinet znajduje się na tyłach budynku, obok wyjścia na parking, tak więc Bob może wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie, zamiast korzystać z głównego wejścia, które prowadzi wprost na ulicę, gdzie każdy może go zobaczyć.

Jestem pewna, że w biurze musi być co najmniej kilka osób, które mają ochotę pieprzyć się w łazience albo pomieszczeniu gospodarczym w godzinach pracy, z nadzieją, że nikt ich nie przyłapie. Ja do nich nie należę, zwłaszcza że mamy całe biuro wyłącznie dla siebie. Poza tym Jack zwykle wpuszcza mnie tylnym wejściem prowadzącym bezpośrednio na parking, gdzie zostawiam samochód, no a gabinet... po prostu tam jest.

Powinno powiedzieć to jeszcze raz, bo naprawdę nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli: nigdy tego nie zrobiliśmy. Ja i Jack nawet o tym nie rozmawiamy. Nie wiem też, czy miałyby na to ochotę. Ale w mojej fantazji, kiedy tylko wchodzimy do gabinetu, zamykamy drzwi i gasimy światła; gdy pocałunki i pieszczoty dobiegają końca, to ja przejmuję kontrolę.

Popycham go na fotel, luksusowy skórzany obrotowy fotel Boba, i robimy to tam, na „fotelu władzy”. Mówię mu, żeby nie wstawał, nie dotykał się i nie ruszał z miejsca, i urządzam mały striptiz, żeby się przed nim pochwalić. Najpierw rozwiązuję pasek i zsuwam płaszcz z ramienia, by odsłonić fragment skóry. Na chwilę odchylam jedną stronę trencza, a drugą przyciskam do ciała, by dać Jackowi przedsmak tego, co czeka pod spodem. Odwracam się do niego plecami i leniwym ruchem zrzucam płaszcz na podłogę, pochylam się i dotykam palców u stóp, żeby wiedział, dokąd trafi, jeśli będzie grzecznym chłopcem i zrobi to, co mu każe.

Kutas Jacka jest twardy, jeszcze zanim zdejmę mu spodnie. Kiedy to robię, widzę wyraźne zgrubienie rysujące się pod bawełnianymi bokserkami.

Teraz nadchodzi czas na bliższy kontakt. Jack nadal jednak nie może mnie dotykać. Staję przed fotelem, na którym siedzi, i wciąż odwrócona do niego plecami, siadam mu okrakiem na kolanach. Chwytam podłokietniki i ocieram się pupą o krocze Jacka, z początku delikatnie, potem coraz mocniej. W końcu siadam na nim, ściskam go pośladkami, czując, jak napina się i rośnie, napierając na moją...



Ale odbiegam od tematu. Chodzi o to, że nie miałam absolutnie żadnego interesu w przebywaniu tam, w Klubie Julietty, pośród tych wszystkich ludzi. Żeby się do niego dostać, nie musiałam odpowiadać na ogłoszenie zamieszczone na stronie Craigslist ani nie posłałam na rozmowę kwalifikacyjną.

Powiedzmy, że miałam talent, siłę perswazji i apetyt.

No i zostałam zauważona.

Możemy bez końca wyklócać się o to, co jest ważniejsze – geny czy wychowanie – ale ten talent nie był czymś, z czym się urodziłam. A przynajmniej nie byłam tego świadoma. Nie, to coś, z czego zdałam sobie sprawę. Drzemał we mnie od dawna, zakodowany, ukryty niczym tajny agent prowadzący normalne życie, który nagle został wezwany do akcji.

Teraz, kiedy wam o tym powiedziałam, jak wytłumaczę, co stało się tamtej nocy? Pierwszej nocy, gdy trafiłam do Klubu Julietty.



Pierwsze, czego dowiadujemy się na zajęciach z filmoznawstwa, to:

Fabula jest zawsze drugorzędna w stosunku do bohatera.

Zawsze, zawsze, zawsze, bez wyjątku.

Każdy prawdziwy wykładowca pisania kreatywnego powie wam dokładnie to samo i każe powtarzać te słowa tak długo, aż nauczycie się ich na pamięć.

Jako główna zasada rządząca fikcyjnym światem jest ona równie niezmienna, jak teoria względności Einsteina. Bez niej cała struktura runie jak domek z kart.

Weźcie dla przykładu jakikolwiek klasyczny film (albo w ogóle jakikolwiek film), choćby *Zawrót głowy*, który każdy student filmoznawstwa powinien znać na wylot. Scottie, bohater grany przez Jimmy'ego Stewarta, jest detektywem, którego pełna determinacji pogoń za prawdą w połączeniu z paraliżującym lękiem wysokości i graniczącą z nekrofilią obsesją na punkcie martwej blondynki – jego piętą Achilleś – sprawiają, że pada on ofiarą oszustwa.

Załóżmy więc, że Scottie jest gliniarzem ze słabością do słodczy. Coś takiego brzmi bardziej realistycznie, ale to by się nie sprawdziło, ponieważ byłby wtedy gliniarzem, którego ciągnie do sklepu z pączkami zamiast do femme fatale, a Hitchcock nie miałby pomysłu na film.

Teraz widzicie? Fabula jest drugorzędna w stosunku do bohatera.

Weźmy inny przykład. *Obywatel Kane*. Film uznawany przez krytyków za najlepsze dzieło filmowe, zresztą nie bez powodu, bo rzeczywiście ma wszystko, co mieć powinien: podteksty, mistrzowską reżyserię, scenografię, zdjęcia i to, co sprawia, że film jest dziełem sztuki, a nie rozwekłą reklamą Microsoftu, Chryslera czy Frito-Lay, jak większość dzisiejszych produkcji.

Tak więc *Obywatel Kane* to historia magnata prasowego, Charlesa Fostera Kane'a, zgubionego przez nieposkromioną pychę i ambicję, które zaprowadziły go na szczyt i wynikały z kompleksu matki, umniejszającego jego osiągnięcia, kładącego się cieniem na małżeństwie Kane'a i ostatecznie rujnującego mu życie.

Potępiony, zamknięty w błędnym kole, które sięga do najgłębszych zakamarków jego psychiki, biedny stary Charlie umiera samotny i niekochany tylko dlatego, że nie potrafił oderwać się od maminego cycka.

A może nie chodziło tu o cycka... Ostatnie wypowiedziane przez niego słowo, kiedy wypuszcza z dłoni szklaną kulę – albo kryształową kulę, w której nie dostrzegł swej najbliższej przyszłości i tego, że jego życie nie jest popieprzone, tylko skończone – to „Różyczka”. To ostatnie słowo, jak głosi legenda, było przemyconą przez Orsona Wellesa sprytną aluzją do pieszczotliwego imienia, którym William Randolph Hearst (pierwowzór Charlesa Fostera Kane'a) określał pochwę swojej kochanki.

Różyczka. Pierwsze słowo, jakie pada w filmie, i ostatnie, jakie widzimy, namalowane na dziecięcych sankach wrzuconych do pieca na pastwę płomieni, które liżą je i pożerają.

Ktoś, kto zna tę historię, już nigdy nie spojrzy na *Obywatela Kane'a* w ten sam sposób. Słyszysz „Różyczka”, widzi „Różyczka”. Myśli „cipka”.

Sądycie, że Orson Welles próbował widzom coś powiedzieć? Ja uważam, że próbował przekazać nam jedynie to, że Charles Foster Kane był prawdziwym skurwielem. I to było źródłem wszelkich jego problemów, czemu trudno się dziwić.

Widzicie? Fabuła jest zawsze drugorzędna w stosunku do bohatera.

Nie zapominajcie o tym.

Tak na marginesie: jest jeden rodzaj filmów, wyłącznie jeden, który nie stosuje się do tej zasady. Jedyne gatunek, który jawnie ją łamie. Nie tylko łamie, ale też całkowicie zmienia. Tylko dlatego, że jest to możliwe. I ma to gdzieś. Mówię tu o filmach porno.

Ale tym zajmiemy się później.

W każdym razie uświadomiłam sobie, że zasada ta ma zastosowanie zarówno w rzeczywistości, jak i w fikcji. Nie tylko w filmach to, co się nam przytrafia, jest drugorzędne w stosunku do tego, kim jesteśmy, jak się zachowujemy i jakie mamy motywacje. Odkryłam, że te same prawa rządzą naszym życiem, dokonanymi wyborami i drogami, na które wkraczamy.

Ta, na którą ja weszłam, jest ukryta przed waszym wzrokiem. Nie jest to droga wybrukowana żółtą kostką, zagubiona autostrada ani dwupasowa asfaltówka. Nie wiedziałam nawet, że na nią weszłam, dopóki nie dotarłam na miejsce, obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, jak daleko zaszłam, i uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas wybory, których dokonywałam, i ścieżki, w które skręcałam, prowadziły mnie do tego właśnie miejsca.

Sprawa wygląda więc tak: żeby wytłumaczyć wam, jak dostałam się do Klubu Julietty, muszę zacząć od początku.

Nie od samego początku. Żenujące zdjęcia z dzieciństwa zostawimy na inną okazję. Podobnie jak wszystkie podkolorowane wspomnienia z dzieciństwa, które dały początek traumom prześladowającym mnie po dziś dzień. Jak to, kiedy zsikałam się w spodnie w szkółce niedzielnej, kiedy siostra Rosetta opowiadała nam o Noem i jego arce.

Tak więc nie, niezupełnie od początku, ale całkiem blisko.

No i muszę powiedzieć wam coś o sobie, mojej osobowości, o mojej pięcie Achillesa. Muszę zacząć od Marcusa, wykładowcy, w którym się podkochuję.

Bo czyż każda dziewczyna potajemnie nie wzdycha do jakiegoś faceta? Kogoś bez znaczenia, na kogo może przenieść swe najdziksze fantazje seksualne. Dla mnie takim mężczyzną był Marcus, który, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, stał się moją obsesją, odkąd pierwszy raz weszłam na jego zajęcia.

Marcus. Cudowny, rozczochrany, przystojny, nieśmiały – do tego stopnia, że wydawał się wyniosły – i poważny. Marcus, który fascynował mnie od chwili, gdy go zobaczyłam. Nic nie rozpała kobiecej ciekawości bardziej niż chłodny mężczyzna, którego trudno rozgryźć, zwłaszcza jeśli chodzi o seks. Nie miałam pojęcia, co o nim myśleć.

W teorii filmu funkcjonuje termin „szał widzialności”. Ma to coś wspólnego z przyjemnością. Ogromną przyjemnością, którą czujemy, patrząc, widząc i rozumiejąc oczywiste prawdy dotyczące istnienia ciała i jego funkcjonowania, przedstawione na dużym ekranie.

Właśnie tak działa na mnie Marcus. Kiedy siedzę w pierwszym rzędzie w sali wykładowej, gdzie mogę go swobodnie oglądać na tle białej tablicy do pisania, oświetlonego światłami fluorescencyjnymi równie jasnymi jak lampy łukowe na planie filmowym. Na wszystkich zajęciach siedzę w tym samym miejscu, w pierwszym rzędzie wielkiej auli, z czterdziestoma rzędami krzeseł, na samym środku, naprzeciw jego biurka, skąd nie może mnie nie zauważyć. A jednak Marcus rzadko mnie dostrzega. Prawie w ogóle na mnie nie patrzy, a gdy mówi, zwraca się do wszystkich – absolutnie wszystkich – z wyjątkiem mnie, przez co czuję się, jakby mnie tam nie było, jakbym nie istniała.

On tam jest, a mnie nie ma. To doprowadza mnie do szału – „szału widzialności”.

I zastanawiam się, czy nie udaje nieprzystępnego dlatego, że ja nie ukrywam swojego zainteresowania nim.

W dni, kiedy mam zajęcia z Marcusem – poniedziałki, wtorki i piątki – ubieram się dla niego. Dziś nie jest inaczej. Mam na sobie obcisłe dżinsy, które podkreślają moją pupę, biustonosz z fiszbinami, unoszący biust i go nieściskający, podkoszulek w niebiesko-białe paski, eksponujący moje krągłości, i granatowy rozpinany sweter, w którym są jeszcze bardziej widoczne.

Chcę, żeby zauważył moje piersi i pomyślał o Brigitte Bardot w *Pogardzie*, Kim Novak w *Zawrocie głowy* albo Sharon Stone w *Nagim instynkcie*.

Czy to wystarczająco oczywiste?

Mam nadzieję.

Tak więc dziś jak zwykle siedzę na zajęciach, udaję, że robię notatki, i wzrokiem rozbieram Marcusa. On mówi o Freudzie, Kinseyu i Foucaulcie, o sztuce filmowej i kobiecym spojrzeniu, podczas gdy ja gapię się na wypukłość jego kutasa wyraźnie widoczną pod obcisłym materiałem brązowych spodni od garnituru.

Przysiadł na brzegu biurka, wyciągając jedną nogę przed siebie, tak że tworzy z drugą niemal idealny kąt prosty. Gryzę ołówek i patrząc na szew jego spodni po wewnętrznej stronie ud, próbuję odgadnąć wielkość, długość i szerokość.

Starannie zapisuję liczby w górnym prawym rogu żółtej kartki notatnika, na której po dwudziestu minutach zajęć widnieją jedynie nic nieznaczące bazgroły. Jestem pod wrażeniem tych liczb, ponieważ Marcus najwyraźniej ma kutasa, który odpowiada rozmiarem jego mózgowi.

Nie powinno mnie to dziwić. W końcu dokonywałam tych obliczeń już ze sto razy. Na każdych zajęciach, rutyna. I jakimś cudem zawsze otrzymuję ten sam wynik. Zupełnie jakbym za każdym razem trafiała najwyższą wygraną. Strasznie mnie to kręci.

Jak już mówiłam, Marcus nie zwraca na mnie uwagi. Wydaje mu się, że jestem zaabsorbowana jego wykładem. Nie chodzi o to, że nie interesuje mnie temat zajęć albo że go nie słucham. Chłonę każde jego słowo, choć z drugiej strony jestem strasznie rozkojarzona. To się nazywa podzielność uwagi.

Marcus mówi o Kinseyu i wniosku płynącym z jego przełomowych badań nad seksualnością, zgodnie z którym kobiety nie reagują na bodźce wzrokowe tak jak mężczyźni, a czasami nie reagują wcale. Pozwalam sobie mieć na ten temat odmienne zdanie. Myślę, że gdyby Marcus wiedział, jak na mnie działa, też by je zmienił.

Przechodzi płynnie od Kinseya do Freuda – kolejnego starego zbrojeńca z dziwnymi teoriami na temat kobiecej seksualności – i tym razem naprawdę mnie intryguje.

Pisze na tablicy KASTRACJA i ZAZDROŚĆ O PENISA. Podkreśla wszystko dwukrotnie i czyta głośno dla lepszego efektu. Myślicie pewnie, że coś takiego zaburzy moje fantazje?

Nic podobnego.

Musicie wiedzieć, że Marcus ma głos jak brązowy cukier – łagodny, mroczny, głęboki. Słuchając go, topię się jak wosk. Najbardziej lubię, gdy wymawia słowa, które nie mają w sobie nic seksownego. Wydają się precyzyjne, zimne i naukowe, ale w ustach Marcusa brzmią jak sprośności wypowiedziane w inteligentny sposób.

Na przykład:

Upodlenie.

Katharsis.
Semiotyka.
Sublimacja.
Triangulacja.
Retoryka.
Prototyp.

I ostatnie – ale nie mniej ważne – moje ulubione słowo, które przebija wszystkie inne:
Hegemonia.

Kiedy Marcus mówi, to z takim przekonaniem, że ma nade mną całkowitą władzę i czuję, że mogłabym zrobić wszystko, o co by mnie poprosił.

Tak więc gdy mówi „zazdrość o penisa”, mam wrażenie, że słyszę: „Zerżnij mnie”.

I chociaż na mnie nie patrzy, wiem, że mówi do mnie, wyłącznie do mnie.

Moje zauroczenie Marcusem nie ma nic wspólnego z Jackiem. Kocham Jacka, i tylko Jacka. To taka zabawa, romantyczny epizod, który wymyśliłam, żeby rozerwać się na zajęciach. Fantazja o podtatusiałym kochanku-nauczycielu, która sprawia, że jestem napalona i zapominam o wszystkim, kiedy kończy się wykład.

Tym razem niespecjalnie daję się ponieść wyobraźni.

Patrzę na muskularne ramiona Marcusa, jego długie, umięśnione nogi i wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby owinał je wokół całego mojego ciała, niczym pająk, który oplata muchę, szykując się do uczy. Chcę, żeby tak właśnie mnie trzymał, pożerał. I zastanawiam się, czy pieprzy równie fachowo, jak opowiada o psychoanalizie, semiotyce i teorii kina autorskiego.

To pytanie na chwilę pojawia się w mojej głowie.

Odpowiedź przychodzi niespodziewanie, gdzieś z tyłu, i brzmi jak konspiracyjny szept.
– To dziwak.

Odwracam się i spoglądam prosto w jasne, niemal błyszczące zielone oczy i na pełne, zmysłowe usta, rozciągnięte w kokietyrjnym uśmiechu. Tak oto poznaję Annę. Nachyla się do mnie i nie bacząc na Marcusa, szepcze mi do ucha.

Znam ją, to oczywiste. Chodzimy razem na zajęcia. Anna jest blondynką, drobną i ponętną; superlaską, za którą wszyscy się oglądają. Z takimi dziewczynami wszyscy chcieliby się przyjaźnić i każdy facet chciałby taką przelecieć.

Wychowałam się w rodzinie katolickiej i zostałam nauczona, że seks jest czymś, w czym nie należy szukać przyjemności. Dopiero gdy zaczęłam spotykać się z Jackiem – długo po tym, jak straciłam dziewictwo – przestałam walczyć sama ze sobą i zaczęłam czerpać przyjemność z seksu.

Patrzę na Annę i widzę kogoś, kto lubi swoje ciało, seksualność i władzę, jaką daje ona nad ludźmi. W przeciwieństwie do mnie nie wygląda na kogoś, kto miałby jakiegokolwiek zahamowania. Lubi flirtować, jest wyzwolona, odprężona i zawsze się uśmiecha. Intryguje mnie.

Czy spotkaliście kiedyś kogoś i w chwili, gdy skrzyżowały się wasze spojrzenia, kiedy usłyszeliście jego głos, pomyśleliście, że będziecie przyjaciółmi?

To właśnie poczułam, gdy powiedziała: „To dziwak”. Zupełnie jakbym słyszała siebie, jakby dokładnie wiedziała, o czym myślę. I mnie rozumiała.

– Skąd wiesz? – szepczę.

– Skąd wiem co? – pyta.

– Że jestem w nim zadurzona.

– To oczywiste – odpowiada. – Ze sposobu, w jaki na niego patrzysz.

I tak już będzie między nami. Połączy nas sekretna więź.

Kiedy poznałam Annę, nie wiedziałam, że już pieprzyła się z Marcusem.

Tak więc przy nielicznych okazjach, gdy zerkał w moją stronę i chciałam wierzyć, że patrzy na mnie...

Cóż, myliłam się.

Patrzył przeze mnie.

Na nią.



– Widzisz w lustrze mój tyłek? – mówię do Jacka z nadzieją, że zwróci na mnie uwagę. Jest wieczór, niedługo po rozpoczęciu jesiennego semestru. Jack siedzi na łóżku i czyta jakieś sprawozdanie.

Właśnie wyszłam spod prysznic i leżę naga na brzuchu wśród pościeli, z rękami pod głową, tak bym mogła go widzieć. Prężę się przed nim, tak jak Brigitte Bardot przed swoim filmowym mężem, Michele Piccolim, w *Pogardzie*. Karmię Jacka cytatami z filmów, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

To gra, którą lubię. Nie chodzi mi przy tym o wystawianie na próbę jego miłości, ale o przekonanie się, jak bardzo mnie pragnie.

Podnosi wzrok, zerka w stronę lustra i odpowiada zwięźle:

– Tak. – Zaraz potem wraca do czytania.

Ale tak łatwo się nie wywinie.

Pytam go, czy podoba mu się to, co widzi.

– Dlaczego pytasz? Coś nie tak z twoim tyłkiem? – Nie odrywa wzroku od kartki.

– Uważasz, że jest duży?

– Masz piękną dupcię – odpowiada.

– Ale czy jest duża?

– Masz piękną dupcię – powtarza. Patrzy na mnie, na mnie, nie na mój tyłek, uśmiecha się i wraca do czytania.

– A uda? – nie daję za wygraną. Dotykam ręką uda i delikatnie odchylam pośladek, odsłaniając na chwilę miękką, wąską szparkę.

– Są świetne – odpowiada. Tym razem nie podnosi nawet głowy.

– Świetne? To wszystko?

– A co mam powiedzieć?

Mogę zadawać pytania, ale nie zamierzam udzielać odpowiedzi.

– Są grube? – pytam. – Jak pnie drzew?

– Wyglądają dobrze – rzuca.

Chciałabym, żeby poświęcił mi tyle uwagi, ile poświęca lekturze. Odwracam się na plecy, wyginam i chwytam w dłonie piersi, ściskam je i nimi potrząsam.

– Co wolisz? Moje piersi czy brodawki?

Ciało nadal mam zarumienione po prysznicu: otoczki różowe i idealnie okrągłe. Wodzę kciukami po brodawkach, aż czuję, że zaczynają reagować.

– Przecież to jedno i to samo – odpowiada bez cienia zainteresowania.

– Ale gdybyś musiał wybrać.

– Gdybym musiał wybierać między piersiami bez brodawek a brodawkami bez piersi? – Śmieje się.

– Tak. Gdybyś mógł wybrać, czy wolisz dziewczynę bez piersi, czy z tak wielkimi piersiami, że brodawki nie miałyby znaczenia.

– Między tobą a kimś innym? – Najwyraźniej nie chce rozmawiać na ten temat i nawet nie czeka na odpowiedź. – Lubię je takie, jakie są – dodaje.

Cholera, Jack, myślę sobie, zwróć na mnie uwagę. Patrz, co dla ciebie mam! Masz to

podane na talerzu. Za darmo. Bez żadnych zobowiązań.

Im mniej uwagi mi poświęca, tym bardziej robię się dziecinna i nadąsana.

Mówię, że zamierzam ogolić cipkę, dotykam palcami podbrzusza i delikatnie szarpie kępkę kasztanowych włosów.

Chcę go w ten sposób zdenerwować. Wiem, że zupełnie wydepilowane dziewczyny budzą w nim odrazę.

– Nie rób tego – odpowiada szorstko.

– Czemu nie? – prowokuję go. Zrobię wszystko, żeby zareagował. Jak się okazuje, mój plan działa.

Zdenerwowany spogląda na mnie znad kolan. Nie odzywa się, ale to bez znaczenia, bo przykułam jego uwagę. Wiedząc o tym, brnę jeszcze dalej.

– Może jednak wydepiluję – rzucam od niechcenia.

– Nie rób tego – powtarza stanowczo, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że ten temat nie podlega dyskusji. Jakby chciał mi powiedzieć, że bym dała mu spokój.

Prostuję ramiona nad głową i przewracam się na bok, żeby pozbawić go przyjemności patrzenia na moje piersi i wzgórek łonowy. Mam ochotę, żeby zamiast tego pocałował mnie w pupę. Leżę tak, udając, że go ignoruję. A on...

Jakby w ogóle go to nie obchodziło.

Teraz tak to między nami wygląda.

Zero komunikacji. Zero kopulacji.

Owszem, Jack jest zabawny, do pewnego stopnia, ale bez względu na to, jak bardzo się staram, nie potrafię sprowokować go do dalszej zabawy. Nie umiem sprawić, żeby chciał mnie pieprzyć. Ostatnimi czasy rzadko to robimy. Jest zbyt pochłonięty pracą. Przez całe wakacje pracował ciężko w sztabie wyborczym, a teraz, kiedy zaczął się semestr jesienny, ma jeszcze więcej zajęć. I jeszcze mniej czasu dla mnie. Już nawet nie odbieram go z biura.

Zanim go poznałam, żaden facet nie był tak bliski zaspokojenia mnie w łóżku. Jack ma wszystko to, co powinien mieć idealny kochanek – jest czuły, troskliwy i miły. Szaleję za nim.

Patrzę na niego i myślę o Montgomerym Clifcie w *Miejscu pod słońcem*, pięknym, na wskroś amerykańskim chłopcu z mocno zarysowaną szczęką. Przynajmniej ja tak go widzę. Ale nie chodzi tylko o to, jak wygląda. Za każdym razem, gdy widzę Montgomery'ego Clifta na ekranie, stoi ze wzrokiem utkwionym w oddali, nieobecny i zatopiony w myślach. Taki właśnie jest Jack. I to naprawdę mnie kręci.

Kiedy go nie ma, masturbuję się jak szalona, wyobrażając sobie jego. Nas. Pieprzących się. W biurze, po godzinach. Pod stołem, na stołówce w college'u. Między regałami w bibliotece. Nie fantazjuję o słodkiej miłości pełnej czułości i pocałunków, tylko o brutalnym rżnięciu. O nieprzyzwoitym, ostrym seksie.

Jack nie ma pojęcia o moich fantazjach, bo pozwalam sobie na nie, kiedy nie ma go w pobliżu, i nigdy o nich nie rozmawiamy. Oto jak moje wyimaginowane życie seksualne mija się z rzeczywistością.



Mieszkamy w przytulnym mieszkaniu z jedną sypialnią, do której można wejść z korytarza. Kiedy wszystko jest w porządku, mam wrażenie, że mieszkamy w kapsule statku kosmicznego, zamknięci razem, z dala od świata. Nasza bliskość powoduje, że mieszkanie wydaje się znacznie większe, niż jest w rzeczywistości. Kiedy sprawy mają się źle – nie tak całkiem źle, mam na myśli małe spięcia, do których dochodzi w każdym dłuższym związku – robi się ciasno i klaustrofobicznie.

W takie wieczory jak ten, kiedy Jack wraca do domu po zajęciach albo po pracy w sztabie wyborczym, idzie prosto do sypialni, żeby nadrobić zaległości w czytaniu, i siedzi tam, dopóki nie zaśnie, mam wrażenie, że robi to celowo, żeby mnie unikać, choć nie mam pojęcia dlaczego. To dla mnie pretekst, by częściej niż zwykle chodzić po mieszkaniu w białym albo zupełnie nago. Znajduję wymówki, żeby przed nim paradować, robię wszystko, by zwrócić na siebie jego uwagę, rozbudzić w nim namiętność i sprawić, by pokazał, że mnie pragnie.

Ni stąd, ni zowąd postanawiam wziąć prysznic przed kolacją, stoję przed Jackiem i zaczynam się rozbierać. Wszystko na nic. Nawet na mnie nie patrzy; zaczynam myśleć, że jest ślepy – ślepy na moją miłość do niego.

Biorę prysznic tak szybko, jak to możliwe, bo tak naprawdę wcale nie chciałam i nie musiałam tego robić, i nie o to mi chodziło. Wycieram się, smaruję kremem i oliwką, aż całe moje ciało się błyszczy. Wychodzę z łazienki naga i pachnąca jaśminem i zaczynają się gierki.

Jeśli od dłuższego czasu się nie kochamy, pachną słodko. Jak dojrzałe jabłko albo brzoskwinia, soczysta i gotowa, żeby ją zerwać. Gotowa na to, by ktoś dostał się do mojego wnętrza. Wiem, że Jack czuje ten zapach, ale zastanawiam się, czy inni również. A jeśli nie, jak to jest możliwe? Może myślą, że to balsam do ciała albo perfumy? Czy wiedzą, że jestem gotowa, dojrzała i chętna? I pozostawiona sama sobie?



Dziś wieczorem Jack zasypia w pełnym ubraniu, z wachlarzem papierów na piersi. Zbieram je i okrywam go kocem, delikatnie, tak by go nie obudzić.

Znowu jestem pozostawiona sama sobie i dotykam się, wyobrażając sobie, że to on; tak jak chciałabym, żeby mnie dotykał.



Leżę naga na łóżku, przewracam się na brzuch i mówię:

– Widzisz w lustrze mój tyłek?

Zrzuca papiery na podłogę, pochyla się nade mną, chwytając mnie za pośladki i je całuje.

– Komu potrzebne lustro? – pyta. Kładzie głowę na mojej pupie jak na poduszce i patrzy na mnie z uśmiechem.

– Podobają ci się moje uda? – dopytuję się. – Nie są za grube?

Muska palcami moją skórę, dotyka wewnętrznej części uda i rozchyła mi nogi. Nie protestuję.

– Uwielbiam je – mówi. – Najbardziej, kiedy oplatasz mi nimi głowę. – Wsuwa palce wskazujące między moje nogi.

– Hej! – Chichoczę. – To łaskocze. – Umykam przed jego dotykiem, przewracam się na plecy i próbuję udawać obojętną, choć tak naprawdę daję mu więcej tego, czego chce. – A moje piersi? – Przytrzymuję je dłońmi.

– Widok twoich cycuszków zawsze napędza mnie radością. – Śmieje się. Rzuca się na mnie i zachłannie ssie piersi, drażni brodawki językiem, od czasu do czasu je kęsając.

– A moje futerko? Jest miłe w dotyku?

– Jest cudownie miękkie i delikatne – mruczy. – Chciałbym móc się w nim ukryć. – Zatapia palce w moich włosach łonowych, kciukiem wodzi po podbrzuszu, schodzi coraz niżej, aż w końcu dotyka cipki.

Czując na sobie jego dotyk, robię się mokra.

Chowa twarz między moimi udami. Zarzucam mu nogi na ramiona, opieram łydki na jego plecach i przyciągam go do siebie.

Palce Jacka delikatnie szarpią moje futerko, kciuk napiera na wznórek łonowy, a usta całują mnie i pieszczą.

Czuję na udach gorący oddech; Jack łapczywie liże mi cipkę. Otwieram się dla niego. Chcę, żeby wszedł jeszcze głębiej. Przeczesuję palcami włosy Jacka, przyciągam go do siebie, wyginam się w łuk i unoszę biodra, tak by zobaczył mnie w całej okazałości.

Gdy we mnie wchodzi, jęczę i jeszcze mocniej wbijam paznokcie w jego ciało.

Drażni się ze mną.

Krzyczę z rozkoszy, bo chcę, żeby słyszał, jak mi jest dobrze, by wiedział, że to jest dokładnie to tempo. I idealne miejsce.

Tak.

Właśnie tak.

Nie przestawaj.

Nie przestanie, dopóki nie weźmie mnie całej.

A ja pozwalam mu się brać.

Jack śpi, ale ja wyobrażam sobie, jak wchodzi we mnie językiem i zabiera w błyskawiczną podróż do krainy rozkoszy. Myślę o jego języku, jednak to moje palce odwalają całą robotę. Czuję, że jestem już blisko, że z zawrotną prędkością zbliżam się do celu podróży.

Czuję finał.

Nadciąga.

Wchodzę w ostatni zakręt.

Moim ciałem wstrząsają kolejne skurcze.

Wykrzykuję jego imię, ale mnie nie słyszy.



Siedzę na zajęciach i czekam na Annę. Ona jednak się spóźnia.

Jedyna rzecz, której Marcus nie toleruje, to spóźnialscy studenci. Za każdym razem, gdy ktoś spóźnia się na zajęcia, powtarza ten sam skomplikowany rytuał, który ma na celu zastraszenie winowajcy tak, by nigdy więcej nie powtórzył tego błędu. Kiedy tylko słyszy, że drzwi do auli się otwierają, przestaje mówić. Nie kończy zdania. Urywa w pół słowa, odwraca się i patrzy na drzwi, czekając, aż ktoś się pojawi.

Odprowadza sprawcę wzrokiem, dopóki ten nie usiądzie, i widać, że gotuje się z wściekłości. Wciąż jednak wygląda uroczo. Wszystko przez te dołeczki w policzkach... dołeczki i ciemne włosy. Wygląda, jakby się śmiał, nawet gdy jest naprawdę zły. Kiedy już spóźnialski znajduje krzesło i siada z notatnikiem i długopisem w dłoni, gotowy robić notatki, to jeszcze nie koniec. O nie.

Marcus, milcząc, stoi pochylony nad biurkiem, opiera ręce na blacie i przez nieznośnie długą chwilę wpatruje się w swoje notatki. Zupełnie jakby czekał, aż ktoś wyda jakiś dźwięk, aż ktoś da mu powód, żeby wybuchnąć. My jednak wiemy swoje.

Siedzimy w nabożnej ciszy, a kiedy Marcus uzna, że torturował nas wystarczająco długo, kontynuuje wykład, zaczynając dokładnie od tego samego słowa, w którym mu przerwano.

Anna zawsze się spóźnia. Jeszcze nigdy nie opuściła zajęć, ale przychodzi o różnych porach. Zaraz po tym, jak Marcus zaczyna wykład, albo gdzieś w połowie. Dziś jest tak samo. Zjawia się po pięćdziesięciu dwóch minutach, niespełna dziesięć minut przed końcem wykładu, dokładnie w chwili, gdy straciłam nadzieję na to, że ją zobaczę. Wchodzi na salę pewnym krokiem. Marcus podnosi wzrok, widzi, że to ona, i kontynuuje, jakby nic się nie stało. Zawsze tak jest, kiedy spóźnia się Anna. Zastanawiam się, czym sobie zasłużyła na to wyjątkowe traktowanie.

Więc pewnego dnia ją o to pytam.

– Marcus i ja mamy układ – odpowiada. – Ja robię coś dla niego. On robi coś dla mnie.

Oto jak zawiązuje się między nami więź. Łączy nas Marcus – nasza wspólna obsesja.

Moja tajemnica. Jej kochanek.

– Jaki układ? – pytam.

– No cóż... Ujmę to tak: Marcus ma wyjątkowe potrzeby...

Zastanawiam się, o jakich potrzebach mówi.

Czy prosi ją, żeby lizała go po jajach, podczas gdy on rozkłada na czynniki pierwsze 400 batów? Pieprzy ją od tyłu, cytując *Qu'est-ce que le cinéma?* (Czym jest kino?) Andre Bazina. A może lubi wkładać śmierdzącego kutasa w jej różową pachnącą cipkę, dyskutując o teorii upodlenia?

Nie mogę się doczekać, aż Anna mi to powie. Jest tyle szczegółów, które chcę poznać. Chcę się przekonać, czy moje fantazje pokrywają się z życiem, dowiedzieć się, co lubi Marcus i jaki jest w łóżku. I mam nadzieję, że rzeczywistość jest dużo lepsza od fikcji. Oto jak tworzy się między nami więź. Z powodu Marcusa. Naszej obsesji. Mojej fantazji. Jej kochanka.

Tak więc po zajęciach kupujemy kawę, siadamy na ławce przed budynkiem, w tłumie studentów, którzy mijają nas, spiesząc się na zajęcia. Siedzimy pod drzewem, osłonięte przed słońcem, które stoi wysoko na niebie. Anna ma jasną karnację i woli, by tak zostało.

– Na słońcu robię się czerwona jak rak – tłumaczy.
– Dobra – mówię. – Opowiadaj. Muszę wiedzieć, bo cała ta sytuacja doprowadza mnie do szału. Jakie dziwactwa lubi Marcus?

– Lubi to robić w ciemności.

Serce mi zamiera, bo to takie przygnębiająco normalne.

– Chyba mówiłaś, że jest dziwakiem. Co jest dziwnego w tym, że lubi seks po ciemku?

– Zaczekaj, daj mi dokończyć – odpowiada. – W szafie. Lubi to robić w szafie.

Nadal nie jestem przekonana, więc unoszę lekko brwi.

– Jest naprawdę nieśmiały – ciągnie Anna, wyczuwając moje rozczarowanie. – Ma dużą szafę, która, jak wszystko w jego mieszkaniu, ogromnym, słabo oświetlonym i skąpo umeblowanym, jest starym, zniszczonym drewnianym antykiem. Poza tym nie ma tam żadnych wygod. Żadnej kanapy, poduszek, dywanów. Nie ma nawet zasłon.

– Łóżka też nie ma?

– Śpi na materacu, na podłodze, ale nigdy mnie na nim nie pieprzył – zwierza się Anna. – Raz zajrzałam do jego lodówki. Była prawie pusta. Znalazłam w niej tylko herbatę. Nie liściastą, ekspresową. Duże opakowanie herbaty w torebkach. Żadnego mleka.

Anna mówi, że choć w mieszkaniu Marcusa nie ma mebli ani jedzenia, jest tam pod dostatkiem książek i papierów.

– Regały od podłogi aż po sufit wypełnione są książkami. Wszystkie ułożone tematycznie: film i seks, sztuka i religia, psychologia i medycyna. Kiedy zabrakło mu miejsca na półkach, zaczął je układać na podłodze, stolikach i krzesłach, tak jak maniakalny zbieracz upycha śmieci na każdej wolnej przestrzeni. Tam gdzie nie stoją regały, na ścianach wiszą obrazy. Erotyczne. Nie pornograficzne – dodaje Anna. – Nie zwykłe świńskie obrazki.

Opowiada mi o rozmazanych zdjęciach pieprzących się par, które wyglądają jak obrazy Francisca Bacona. Fotografiami ulicznych prostytutek. Sprośnych rysunkach. Rzeczach, które wcale nie wyglądają jak sztuka erotyczna – zaczernionych kolażach z wycinków z gazet i magazynów, przedstawiających twarze, miejsca i przedmioty, które dla Marcusa muszą mieć jakiś erotyczny podtekst. I takich, których erotyzm nie budzi żadnych wątpliwości.

Mówi, że dwa spośród obrazów zwróciły jej szczególną uwagę. Wiszą obok siebie w małej wnęce, w przedpokoju, tuż przy wejściu. Za każdym razem, kiedy odwiedza Marcusa, zatrzymuje się, żeby się im przyjrzeć.

Jeden przedstawia dwie kobiety, które leżą obok siebie tak, że ich ciała układają się na kształt ust. Obie mają na sobie podwiązki i pończochy, a ich jędrne, kształtne piersi zachwycają wiśniowymi brodawkami.

– Jedna z tych kobiet ma koronkowy welon panny młodej i wygląda jak ty – mówi Anna.

– Jak to?

– Też jest brunetką o słodkim, seksownym uśmiechu. – Mówiąc to, mruga do mnie.

Anna flirtuje ze mną i nie wiem, jak to odebrać. Czuję, jak się czerwienię, ale mam nadzieję, że tego nie zauważy.

– Ta druga – ciągnie – nie ma głowy. W jej miejscu znajdują się ramiona, które wyrastają z czarnego jak atrament tła, niczym odnóża kraba, i jak szczypce ściskają jej sutki.

Mówi, że drugi obraz jest tak dziwny, że trudno go opisać. Na pierwszy rzut oka przedstawia trzy kobiety w kabaretkach, tworzące miłosny trójkąt. Ale jeśli przyjrzeć się bliżej, widać, że są to części ciała mężczyzn pomieszane z kobiecymi. Organy płciowe i kończyny wyrastające z miejsc, w których nie powinny się znajdować. Widmowe ręce, które pchają, ciągną i szukają po omacku. Anna mówi, że to trochę niepokojące, jak patrzeć na jedno ciało złożone z wielu innych, na istotę nieokreślonej płci.

Kiedy opowiada o tym obrazie, zaczynam myśleć, że przez cały ten czas, gdy seksualność Marcusa była dla mnie tajemnicą, nigdy – nawet przez chwilę – nie podałam w wątpliwość jego orientacji.

– Jest gejem czy bi? – pytam.

– Ależ nie – rzuca pospiesznie Anna. – Nie sędzę. Jest po prostu bardzo dziwny.

Na to wygląda. Nie ma mebli i jedzenia, ale otacza się książkami, papierami i sztuką erotyczną. Zupełnie jakby lubił prostotę. Albo jakby jego mózg był na tyle zajęty, że nie znajduje czasu, żeby zadbać o ciało. Mnie to nie przeszkadza. Bo chcę być pieprzona wyłącznie przez jego mózg.

Anna mówi, że za każdym razem, gdy się spotykają – co zdarza się dwa razy w miesiącu – wygląda to tak samo. Marcus ma opracowany każdy szczegół i wszystko musi się odbywać zgodnie z planem, jak w jakimś rytuale.

Ona musi się zjawić o określonej godzinie.

– Nie mogę się spóźnić – tłumaczy. – Nawet o minutę, nawet o trzydzieści sekund. Na jego prywatne sesje stawiam się zawsze o czasie. Mam klucz do mieszkania, więc nie muszę czekać, aż mnie wpuści.

Teraz rozumiem, dlaczego zawsze spóźnia się na zajęcia. Tylko po to, żeby go wkurzyć.

– Kiedy przyjeżdżam, Marcus już tam jest – opowiada Anna. – W pokoju na tyłach mieszkania. W szafie. Za zamkniętymi drzwiami. Siedzi tak cicho i nieruchomo, że do głowy by ci nie przyszło, że tam jest... że ktokolwiek jest w pokoju. Zasłony są zaciągnięte, światła zgaszone. W mieszkaniu panuje mrok.

Mówi, że w jednym skrzydle drzwi szafy są dwa otwory; jakby z drewna wypadły dwa sęki, mały i większy. Jeden na wysokości głowy, drugi nieco niżej. Marcus przysięga, że były tam, kiedy kupował szafę, ale ona mu nie wierzy.

Przyjeżdżając do mieszkania, ma mieć na sobie dokładnie to, co każe jej Marcus. Zawsze to samo.

– Jak masz się ubrać? – pytam.

– Zgadnij.

– Chce, żebyś przebrała się za pielęgniarkę?

– Nie.

– Uczennicę?

– Nie – odpowiada, kręcąc głową.

– Dziwkę?

– Zimno – rzuca, dając mi do zrozumienia, że chodzi o coś zupełnie innego.

– No dobra, będziesz musiała mi powiedzieć.

– Chce, żebym wyglądała jak jego matka. – Anna chichocze.

Patrzę na nią zaskoczona i widzę, że nie może się doczekać, aż powie mi więcej.

Opowiada, że musi mieć na sobie workowatą kwiecistą sukienkę, czółenka na niskim obcasie, pończochy w cielistym kolorze i ogromne, naprawdę ogromne majtki, które wyglądają jak poliestrowy pas cnoty. Przebiera się za matkę Marcusa, w ubrania, które należały do tej kobiety i które nosiła od lat pięćdziesiątych aż do śmierci. Wciąż wyglądają jak nowe, jakby chwilę temu zdjęto je z wieszaka.

– Myślisz, że to wystarczająco dziwaczne? A może aż za bardzo? – pyta z uśmiechem.

– Zaczekaj... – mówię. Po tym, czego się dowiedziałam, Marcus coraz mniej przypomina Jasona Bourne'a. I dobrze. Najwyraźniej nie pieprzy się też w stylu Jasona Bourne'a. Przy zgaszonych światłach i w skarpetkach. Na misjonarza. Jak prawdziwy mężczyzna.

Bardziej przypomina Normana Batesa. Jeszcze lepiej. W Anthonym Perkinsie zadurzyłam

się, kiedy pierwszy raz zobaczyłam *Psychozę*. Zakochałam się w jego schludnym, eleganckim wyglądzie. Szczupłej, kościstej twarzy. Kościach policzkowych. Starannie przyciętych, idealnie uczesanych, lśniących kruczoczarnych włosach. Ciemnych, zamglonych oczach. Tym jakże seksownym uśmiechu. Świadomość, że pod tą fasadą kryje się popieprzony, psychopatyczny morderca, sprawiała, że podniecał mnie jeszcze bardziej. Wygląda na to, że Marcus ma kompletną obsesję na punkcie swojej matki, zupełnie jak Norman Bates czy Charles Foster Kane.

– Podsumujmy więc – zwracam się do Anny. – Jesteś w pokoju, ubrana jak pruderyjna pani domu z lat pięćdziesiątych, rodem ze *Strefy mroku*, a Marcus siedzi zamknięty w szafie, gapiąc się na ciebie przez dziurę w drzwiach.

– Tak – potwierdza. – I robię dokładnie to, o co mnie prosi. Odwracam się do niego plecami i zaczynam się rozbierać. Zdejmuję każdą część garderoby w odpowiedniej kolejności i tak, jak tego chce.

– Zawsze tak samo? – dopytuję się.

– Zawsze tak samo. Co do sekundy. Czuję się jak stewardesa informująca pasażerów o zasadach bezpieczeństwa. Robiłam to tyle razy, że od czasu do czasu dodaję coś od siebie; jakieś teatralne gesty, które według mnie mu się spodobają.

Anna nie szczędzi mi szczegółów i słuchając jej, widzę to wszystko oczami wyobraźni.

Najpierw zdejmuje workowatą sukienkę. Jeden po drugim rozpina guziki na plecach; materiał ześlizguje się z jej ramion i opada na podłogę. Anna zerka przez ramię i patrzy na swoje stopy, żeby upewnić się, że sukienka nie zahaczyła o buty. Następnie rozpina biustonosz. Gdy go podciąga, piersi opadają, delikatnie się przy tym kołysząc. Kuli ramiona i pochyla się, czekając, aż ześlizgną się ramiączka.

– Lubi, jak stanik ześlizguje się z moich ramion – tłumaczy Anna. – Patrzy, jak go łapię i odrzucam na bok.

Wyobrażam ją sobie nagą od pasa w górę, ubraną jedynie w czółenka, cieliste pończochy i podwiązki. Wodzę wzrokiem po jej krągłych pośladkach i piersiach, których brodawki są różowe jak łosoś.

W całej tej fantazji – fantazji Marcusa – jedno nie daje mi spokoju. Anna ma na sobie staromodny pas wyszczuplający, który niemal całkowicie zakrywa jej pupę, odsłaniając zaledwie fragment wielkich poliestrowych majtek z klinem, opinających pośladki niczym guma. Być może Marcus to lubi, ale większość facetów uważa coś takiego za kompletnie nieatrakcyjne.

– Każe mi wyprostować nogę, pochylić się i odpiąć podwiązki – ciągnie Anna. – Chce, żebym pochyliła się tak nisko, by mógł zobaczyć moje cycki. Jedna po drugiej odpinam kolejne sprzączki, kręcę tyłkiem i zrzucam elastyczny pas.

Następnie zdejmuje te wielkie paskudne majtki, ale robi to wolno, bo jej zdaniem „on ma obsesję na punkcie tyłka, więc to dla niego prawdziwa uczta”.

Tyle jej wolno. Marcus chce, żeby zostawiła pończochy, buty i długi sznur białych i czarnych pereł, który wisi między jej piersiami.

– Należały do jego matki – tłumaczy Anna. Kiedy to robi, nie może patrzeć w jego stronę.

– Jest w tej kwestii bardzo stanowczy – dodaje. – Raz zerknęłam na szafę. I zobaczyłam oko przyciśnięte do jednego z otworów w drzwiach. Chyba to zauważył, a ja nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Speszzył się. Zaczął się rozglądać, jakby szukał miejsca, w którym mógłby się ukryć. To nie był Marcus. Przynajmniej tak mi się wydawało. Tylko oko w długiej, wąskiej szczelinie w drewnie. Wszystko to było takie dziwne, że nigdy więcej nie spojrzałam w stronę szafy.

– Czyli lubi patrzeć, ale nie lubi, kiedy ktoś patrzy na niego – precyzuję.

– Tylko to wywołuje u niego pełną erekcję.

Myślę o doktorze Alfredzie Kinseyu. Z tego, co wiem, miał podobny problem. To jednak

pominęli w filmie – to, jak Kinsey wkłada sobie w ptaszka różne rzeczy. Rzeczy nienadające się do tego, nie zawsze pasujące. Takie, o których nie wspominał w skrupulatnie gromadzonych, porządkowanych, zestawianych i analizowanych materiałach. Żdźbła trawy, słomę, włosy, szczecinę. Wszystko, co długie, giętkie i łaskoczące.

Myślenie o Kinseyu i słuchanie opowieści Anny sprawiają, że moje niewinne fantazje o pieprzeniu się z Jackiem w biurze jego szefa wydają się dość banalne. Ale Anna jeszcze nie skończyła.

Dopiero kiedy jest już zupełnie naga, może się odwrócić i rozejrzeć.

Wtedy widzi sterczącego penisa Marcusa, który powoli wysuwa się z niższej dziury po sęku, niczym ślimak wychodzący ze swej muszli.

– Wzdycham – relacjonuje. – Dokładnie tak, jak kazał mi Marcus. To ma być idealna mieszanka przerażenia, zaskoczenia i rozkoszy.

Stoi w miejscu, zupełnie jakby nogi wrosły jej w ziemię. Musi patrzeć zdumiona, aż jaja Marcusa przecisną się przez szparę i zawisną po drugiej stronie drzwi.

– Kiedy jego kutas drga, jakby chciał mnie przywołać, siadam przed szafą i liżę go jak roztopionego lodu, który ścieka po rożku.

– A to dopiero gra wstępna? – domyślam się.

Chcę mieć pewność, bo wszystko to wydaje się tak niewiarygodne.

– Tak – odpowiada Anna. – To dopiero gra wstępna.

Mówi, że chociaż jest tak blisko, że dzieli ich wyłącznie grubość drewnianych drzwi szafy, Marcus siedzi zupełnie cicho. Anna nie słyszy nawet, jak oddycha. Nie pojękuje, żeby dać jej do zrozumienia, że wszystko jest tak, jak należy, tylko od czasu do czasu jego kutas drga, jakby chciał umknąć przed jej językiem.

– Jak wtedy, gdy prostujemy nogę, kiedy lekarz uderza nas w kolano takim małym metalowym młoteczkim – wyjaśnia.

– Skąd wiesz, kiedy przestać, tak żeby nie doszedł? – zadaje jej pytanie.

– Drzwi się otwierają. To dość przerażające.

Przypominam sobie naprawdę stare czarno-białe filmy o nawiedzonych domach, gdzie w środku nocy drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, jednak nikt w nich nie stoi, a wszystko, co widać, to czarna jak atrament ciemność.

Anna wchodzi do szafy i zamyka za sobą drzwi. Nic nie widzi, bo Marcus zatkał otwory bibułą, tak by do środka nie dostawało się światło.

– Potrzebuję chwili, by moje oczy przyzwyczyły się do ciemności – zwierza się. – Ale nawet wtedy widzę tylko cienie, które poruszają się jak smugi kondensacyjne, i czuję się, jakbym miała halucynacje.

– Jak duża jest ta szafa? Nie masz klaustrofobii?

– Jest tak duża, że stopy są jedyną częścią mojego ciała, która ma kontakt z drewnem – odpowiada. – To przerażające, jak szybko tracę poczucie przestrzeni i czasu. W środku jest strasznie gorąco, parno, wilgotno i duszno, jak w tureckiej łaźni. Wszystko przez to, że Marcus zużył już tyle powietrza. Niemal natychmiast zaczynam się pocić.

– Co potem?

– Czuję, jak spoconą ręką dotyka mojej piersi. Myślisz pewnie, że to dość upiorne, ale mnie to podnieca. Naprawdę. Bycie dotykana w ten sposób przez kogoś, kogo nie widzę, w ciasnej, zamkniętej przestrzeni...

To, co dzieje się później, wynagradza jej cały ten irytujący wstęp wymyślony przez Marcusa i odegrany zgodnie z jego instrukcjami.

– Poza tym – dodaje – kiedy jesteśmy już w ciemnej szafie, za zamkniętymi drzwiami,

a on zaczyna mnie dotykać, przestają obowiązywać wszelkie reguły. Nie jest już nieśmiały. Pieprzy mnie jak szaleniec, jak bestia, jak ktoś zupełnie inny. Aż szafa się trzęsie.

– Na ile sposobów można pieprzyć się w szafie? – zastanawiam się głośno.

– Zdziwiłabyś się – odpowiada Anna. – Do tej pory chyba z pięć, sześć razy przerobiliśmy już całą *Kamasutrę*. Pewnego dnia pieprzył mnie tak mocno, że szafa przewróciła się na drzwi. Byliśmy uwięzieni w środku. Ale Marcusowi to nie przeszkadzało. Był jeszcze bardziej nakręcony. Pieprzyliśmy się godzinami. W końcu odbił górną część szafy i wyczołgaliśmy się, nadzy i posiniaczeni.

Po wyjściu z szafy Anna ma do spełnienia jeszcze jeden obowiązek. Idą do łazienki, gdzie musi go umyć.

Anna mówi, że to naprawdę stara łazienka z podłogą wyłożoną płytkami i ścianami, od których farba odchodzi grubymi płatami. Marcus ma staromodną ceramiczną wannę, która wygląda jak ponton, z prysznicem umocowanym na długim stalowym przecie.

– Nigdy nie bierze kąpeli, wyłącznie prysznic – informuje mnie Anna.

– Dlaczego?

– Powiedział mi, że w wannach ludzie się topią.

Nie komentuję tego, ale zastanawiam się, czy ona zdaje sobie sprawę, że to cytaty z Cassavetesa.

Kiedy są pod prysznicem, Anna namydla Marcusa, energicznie szoruje jego plecy, klatkę piersiową, uda, ramiona, podbrzusze i krocze. Wyciera go ręcznikiem i Marcus bez słowa wychodzi z łazienki, zostawiając ją, żeby się ubrała. Kiedy jest gotowa, wychodzi z mieszkania.

– I tak jest zawsze – mówi. – Za każdym razem. Nigdy inaczej. Pieprzyłaś się kiedyś w szafie? – pyta rzeczowo.

Muszę przyznać, że nie. Nigdy nie robiłam tego w szafie. I po tym, co usłyszałam, czuję się taka przygnębiająco normalna.

Przez kolejnych kilka minut siedzimy w milczeniu pod drzewem. Myślę o słowach, które Marlon Brando wypowiada w *Ostatnim tangu w Paryżu*; rzuconej od niechcenia kwestii, którą wygłasza w monologu do swojej zmarłej żony leżącej przed nim w trumnie: „Mamuśka już cię przystroiła”.

Jeśli to właśnie lubi Marcus, nie mam nic przeciwko. W końcu wielu wspaniałych facetów miało kompleks matki. Myślę o tym wszystkim, co powiedziała Anna, upijam łyk kawy i krzywię się, kiedy zdaję sobie sprawę, że jest zimna. Tak długo tu siedzimy.

– Zburzyłam twoje fantazje? – pyta Anna. – Mam nadzieję, że nie. W głębi duszy Marcus jest naprawdę świetnym facetem.

– Ależ nie, nie zburzyłaś – odpowiadam. – Ani trochę.

Teraz chcę wiedzieć jeszcze więcej. Mam wrażenie, że mogę czytać Marcusa niczym książkę i z każdą stroną dowiadywać się o nim czegoś nowego. I chciałabym, żeby nauczył mnie, co to znaczy być dziwakiem. Uświadamiam sobie jednak, że przecież Anna również może mnie tego nauczyć.



Im lepiej poznaję Annę, tym częściej myślę o niej jak o swojej najlepszej przyjaciółce, która rozumie człowieka i to, co siedzi mu w głowie. Mogę powiedzieć jej wszystko, a ona powie mi, jak się czuję i dlaczego tak jest. Zupełnie jakbyśmy były dwiema głowami z jednym mózgiem i wspólną świadomością. Czasami potrafi nawet dokończyć moje zdanie, zanim je zacznę.

Doskonale się uzupełniamy. Można by pomyśleć, że zostaliśmy dla siebie stworzone.

Ludzie mówią, że mogłybyśmy być siostrami. W większości przypadków Anna ma nade mną przewagę. Jest wszystkim tym, czym ja nie jestem.

Ona jest piękna. Ja – mądra.

Ja jestem bystra. Ona – lubiana.

Rozśmiesza mnie. Między jej mózgiem a ustami brak filtru, który ma większość ludzi. Na zajęciach potrafi patrzeć na jakiegoś chłopaka i ni stąd, ni zowąd rzucić niestosowne uwagi typu: „Ciekawe, czy jest obrzezany”. Albo: „Myślę, że przekrzywia mu się w lewą stronę”. Czy: „Założę się, że jego sperma smakuje jak galaretka cytrynowa”.

Ona jednak nie uważa, że to niestosowne. Jest zdania, że to coś, co musi zostać powiedziane w tym właśnie momencie. Jest taka czysta, nieskomplikowana i na swój sposób wolna. Seks jest dla niej równie naturalny jak oddychanie.

Fascynuje mnie do tego stopnia, że wymyślam powód, żeby Jack przyjechał po mnie po zajęciach i żebyśmy razem zjedli lunch. Chcę, żeby poznał moją nową najlepszą przyjaciółkę. Z dumą ich sobie przedstawiam. Ale nasze spotkanie nie przebiega tak, jak to sobie zaplanowałam. Jack jest do tego stopnia onieśmielony Anną, że prawie na nią nie patrzy i nie potrafi sklecić zdania. Mówię tylko ja. To niezręczne, więc Jack szybko znajduje wymówkę, żeby nas zostawić.



Kiedy wieczorem wracam do domu, rozpoczynam naszą grę, żeby dowiedzieć się, co Jack naprawdę o niej myśli.

– Spodobała ci się Anna? – pytam.

– Jest miła.

– Uważasz, że jest ładna?

– Chyba tak.

– Gdybyś nie był ze mną, miałbyś ochotę się z nią spotykać?

– Nie sądzę, żebym był w jej typie.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Tak, miałbym – przyznaje.

– Jest w twoim typie?

– Mogłaby być – odpowiada.

– Ma ładne cycki, nie sądzisz? – pytam dalej.

– Tak.

– Podoba ci się jej krągła, sprężysta pupka?

– Po co te wszystkie pytania? – Jest rozdrażniony.

– Chciałbyś ją przelecieć? – drażnię się z nim.

– Może.

Nie o taką odpowiedź mi chodziło.



W ramach pracy domowej Marcus kazał nam obejrzeć *Piękność dnia* Luisa Bunuela z Catherine Deneuve w roli głównej.

Nigdy wcześniej nie widziałam tego filmu. Nie mam pojęcia, o czym jest, i nie wiem, czego się spodziewać.

Siadam w kinie w kampusie. Nie jestem sama, ale kiedy gasną światła i mrok wokół mnie gęstnieje, zapominam o bożym świecie. Właśnie tak lubię oglądać filmy. W kinie, w ciemności, obcując sam na sam z filmem – tylko ja i ekran. To coś na podobieństwo cichej kontemplacji, kiedy człowiek staje naprzeciw obrazu, który budzi w nim nabożny podziw.

Siadam, żeby obejrzeć film, i spodziewam się, że lada chwila przeniosę się do innego świata. Liczę, że – w najgorszym przypadku – film zapewni mi jakąś rozrywkę, zafascynuje mnie, a nawet zbulwersuje. Ostatnią rzeczą, jaką spodziewam się zobaczyć na ekranie, jestem ja sama.

Zaczekajcie, nie łudzę się. Wiem, że nie jestem bohaterką tego filmu, nawet jeśli mam tak samo na imię jak aktorka grająca główną rolę. Nie jestem nawet postacią drugoplanową. Ale nie wiedzieć czemu w jakiś sposób czuję się z nim głęboko związana. Nawet jeśli tylko jedna rzecz łączy mnie z główną bohaterką – oziębłą francuską gospodynią domową z wyższej klasy średniej, która snuje masochistyczne fantazje erotyczne.

Ma na imię Séverine. To po łacinie „surowy”. Wyobraźcie sobie, że ludzie, których spotykacie, uznają, że was nie lubią, zanim zdążą was poznać. Tylko dlatego, że usłyszeli wasze imię. Severine. Sroga. Surowa.

Wyobraźcie sobie dzieciaka obarczonego takim imieniem. Równie dobrze mógłby mieć na imię „To nie jest śmieszne”.

I rzeczywiście nie ma w tym nic śmiesznego.

Nie chodzi o to, że imię nie pasuje do bohaterki, którą Catherine Deneuve gra w filmie Bunuela. Prawdę mówiąc, nie ma imienia, które pasowałoby do niej lepiej, ponieważ – jeśli mam być szczerą – Severine wcale nie jest zabawna. Jest zimna jak gład, pozbawiona jakichkolwiek cech, za które można byłoby ją polubić, i odarta ze wszystkiego, co ludzkie. Wszystkiego z wyjątkiem chorych fantazji o upokorzeniu i karze. Widz nie powinien jej lubić ani nawet się z nią utożsamiać.

A jednak – nie wiedzieć czemu – ja się z nią utożsamiam.

Severine. To nie jest śmieszne. Ani trochę. Od roku jest mężatką i nie pieprzy się z mężem. Od roku jest mężatką i nie sypia z nim w jednym łóżku. Od roku jest mężatką, a on nawet nie widział jej nago. Jej mąż: oddany, opiekuńczy, godny zaufania i tak bardzo wyrozumiały.

Séverine. Dziewica z wyobraźnią dziwki. Wyobraźnią, która sprowadza ją na złą drogę. Pamiętajcie: fabuła jest zawsze drugorzędna w stosunku do bohatera.

A Severine zawsze poddaje się swoim pragnieniom; nie kontroluje ich i przepływa przez film, jakby była w transie. Przepływa przez życie, jakby było filmem. Aż przyjaciel jej męża – starszy mężczyzna, przebiegły i podejrzany, człowiek, który zdaje się czytać w jej myślach – zaszczepia w jej głowie myśl, że istnieje miejsce, w którym kobiety takie jak ona, tłumiące uczucia, niemoralne i nienasycone, mogą potajemnie spełniać swoje fantazje, jednocześnie

zachowując dobrą reputację.

Burdel.

Daje jej nawet adres. I tak Severine idzie do burdelu i dostaje nowe imię dla ukrycia jej prawdziwej tożsamości. Coś, co brzmi egzotycznie. Nie Severine. Coś, co skusi klientów.

Belle de jour.

Piękne francuskie wyrażenie, które po angielsku brzmi nedorzecznie i którego nie można zdrobnić, tak więc nikt nie zadał sobie trudu, żeby przetłumaczyć tytuł.

Belle de jour.

Dosłownie znaczy „piękność dnia”. Albo „dzisiejsza piękność”.

Mnie przywodzi na myśl „specjalność dnia”.

Może o to właśnie chodziło Bunuelowi. Kobieta, która ma wszystko i niczego nie pragnie, zostaje zredukowana do głównego dania w burdelowym menu. Taki drobny żart reżysera. Małe upokorzenie. Główna bohaterka jest codziennie specjalnością dnia. Przysmakiem, który nigdy się nie zmienia i który tak naprawdę wcale nie jest wyjątkowy.

Jedynie, co jest wyjątkowe, to jej uroda, która choć boska i transcendentna, okazuje się kompletnie bezwartościowa, ponieważ służy jedynie temu, by utorować Séverine drogę do świata prostytucji i ją poniżyć.

Jest jak wątróbka i puree z ziemniaków. Dzień w dzień.

Wątróbka i puree z ziemniaków.

Kiedy o tym myślę, przychodzi mi do głowy Kim Kardashian.

Wątróbka i puree z ziemniaków. Z torebką Hermesa i w ciuchach od Gucciego.

W burdelu poniżona i zdewaluowana Severine poddaje się swoim pragnieniom. Jej marzenia nakładają się na rzeczywistość, a niebawem zaczynają ją wypierać.

Wtedy pojawia się ja.



Siedzę w kinie, oglądam film i rozpoznaję w nim siebie.

Nie marzę o tym, by zostać prostytutką. Nawet potajemnie. Nie to miałam na myśli.

Chodzi o to, że – choć to nieprawdopodobne – jest w Severine coś, co dostrzegam również w sobie. Mimo że różnimy się pochodzeniem, temperamentem i charakterem, istnieje coś, co nas łączy.

Nie jestem pruderyjna. Nie jestem też masochistką – przynajmniej tak mi się wydaje – ale fantazje Séverine uderzają w moje czułe miejsca. Jej rzeczywistość – nie.

Siedzę w kinie i czuję, że wyobraźnia bierze nade mną górę. Oglądam film i uzupełniam luki. Niebawem nie wiem już, gdzie kończy się film, a gdzie zaczynają się moje fantazje.

Kiedy film dobiega końca, wychodzę z ciemności w popołudniowe słońce i czuję się, jakbym chodziła po linie. Stała nad przepaścią, próbując odzyskać równowagę. Drzę w środku. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem zdezorientowana. Nie mam pojęcia, czy ogarnęło mnie szaleństwo, czy popadłam w obsesję. Wiem tylko, że chcę, by ten stan trwał dalej. Nie przypuszczałam, że znajdę rozkosz w czymś takim, ale teraz, kiedy to się stało, chcę jeszcze więcej.

Idę do domu jak w transie, jakby ktoś włączył w mojej głowie autopilota. Raz za razem przypominam sobie sceny, które chwilę temu widziałam na ekranie. Zapominam, gdzie się znajduję, i uświadamiam sobie, że jestem w filmie.



Jestem pod rozłożystymi gałęziami sosny, trzymana tam wbrew swojej woli przez

człowieka, którego uwielbiam. Na jego rozkaz więziona, bita i traktowana brutalnie przez dwóch zbirów, podczas gdy on patrzy, obojętny na moje cierpienie.

Moje ręce, związane grubą, szorstką liną, są podciągnięte tak wysoko nad głową, że obolałe mięśnie palą żywym ogniem. Czubkami palców u nóg staram się dotknąć ziemi, która się przede mną kołysze. Rozerwana sukienka wisi wokół talii niczym zwiedły kwiat. Biustonosz zwisa mi z ramion; brodawki, na których zatrzymały się fiszbiny, stwardniały.

Skórzane rzemienie spadają na moje plecy, tnąc skórę. Jeden za drugim wybijają wściekły rytm, który mnie zniewala. Słyszę trzask pejcza i czuję piekący ból. Trzask pejcza. I ból. Rozkosz, która następuje po bólu, jest równie nieunikniona jak grzmot, który idzie w ślad za błyskawicą. Doznania wzmagają się z każdym kolejnym uderzeniem, aż przyjemność i ból stają się nie do wytrzymania. Adrenalina krąży po moim ciele.

Skręcąc za rogiem.

Nie pokonałam nawet połowy drogi do domu, a jestem napalona jak diabli.



Skręcąc za kolejnym rogiem i znowu jestem w filmie. Tym razem w burdelu, gotowa dać rozkosz wspartemu na lasce butnemu zbirowi ze złotymi zębami.

Gdyby oceniać człowieka po tym, jak się ubiera, ten byłby przykładem rozmaitych sprzeczności. Ma modne botki z lakierowanej skóry, znoszone i praktycznie bez połysku, i wytarte skarpety z dużymi postrzępionymi dziurami w miejscu, gdzie niegdyś były pięty. Metalowy sygnet z ogromnym, doskonale szlifowanym brylantem. I złote zęby, które błyszczą, kiedy je obnaża i unosi górną wargę w szyderczym uśmiechu. Jego włosy, skórzany płaszcz, spodnie i buty są czarne jak noc. Cała reszta jest niedobrana i wymyślna. Fioletowa kamizelka i krzykliwy, wzorzysty krawat.

Kiedy zdejmuję białą koszulę – jedyną czystą i zwykłą rzecz, jaką ma na sobie – widzę szczupły, nieowłosiony tors, zarysowany delikatnie jak marmurowy posąg. Ciało mężczyzny jest blade i nieskazitelne; do momentu gdy się odwraca.

Plecy szpeci wielka blizna, która zakręca tuż pod łopatką; nierówny półksiężyc zniszczonej tkanki, jeszcze bledszy niż reszta ciała, choć trudno to sobie wyobrazić. Pamiętka okrutnej przemocy.

Mężczyzna patrzy na mnie z udawaną arystokratyczną wyniosłością. Spoglądam na niego i myślę o Marcusie, ale młodszym, bardziej brutalnym i niechlujnym, niebezpiecznym i nieprzewidywalnym. Tymczasem Marcus jest delikatny i inny. Patrzę na tego mężczyznę i zastanawiam się, jaki Marcus powinien być i jak chciałabym, żeby mnie traktował.

Z pogardą.

Zaczynam zdejmować bieliznę. Zbir patrzy mi prosto w oczy i mówi:

– Nie zdejmuj pończoch.

To nie prośba, to rozkaz. Rozpina spodnie, nadal nie odrywając ode mnie wzroku, i dodaje:

– Raz jakaś dziewczyna próbowała mnie udusić.

Zastanawiam się, czy to ostrzeżenie. Rozważam, czy to właśnie zamierza zrobić ze mną. Przechodzi mnie dreszcz.

Jednak jest za późno, żeby się rozmyślić, bo mężczyzna zdejmuje już slipy, równie białe jak jego koszula i nagi tors.

Leżę na łóżku, na brzuchu, i odwracam głowę, żeby spojrzeć na niego przez ramię.

Myślę o Marcusie i jego kutasie, który niczym wąż wiję się wzdłuż nogawki przyciasnych brązowych spodni. Chwilę później nie muszę już fantazjować, bo mam go przed oczami. Jest

długi, cienki i majestatyczny, idealnie zakrzywiony do góry; niczym sierp Księżyca w ostatniej fazie cyklu, niczym blizna na plecach zbira i ostrze sztyletu, który ją zostawił. Mężczyzna wczołguje się na łóżko; jego długie kończyny zamykają się nade mną, przez co wygląda jak pajak, który lada chwila rzuci się na swoją ofiarę. Kopniakiem rozchyła mi nogi i opuszcza się między moje uda. Czuję, jak nabrzmiały kutas ociera się o mój tyłek. Czuję, że się unosi niczym ostrze piły łańcuchowej, gotowe rozerwać mnie na pół.

Kładzie rękę na mojej szyi; rozczapierzone palce zamykają się wokół niej. Ciężar jego dłoni, kiedy ściska ją delikatnie, sprawia mi przyjemność. Czekam, aż zejdzie w dół i dotknie wszystkich wrażliwych punktów na mojej szyi i plecach. On jednak wzmacnia uścisk i brutalnie wciska moją głowę w materac.

Krzyczę, bardziej z zaskoczenia niż bólu.

Czuję, jak wolną ręką rozsuwa moje pośladki, i jestem gotowa znowu krzyczeć, tym razem bardziej z bólu niż zaskoczenia. Ponieważ wiem, co się zaraz stanie. A już za późno, by się rozmyślić.

Nagle słyszę dźwięk klaksonu i pisk hamulców taksówki, która zatrzymała się niecałe piętnaście centymetrów ode mnie. Stoję na ulicy, jakieś dwa kroki od krawężnika. Zeszłam z chodnika wprost pod nadjeżdżające samochody.

Trzęsę się. Jestem przerażona i osłupiała. Wróciłam z filmu wprost do rzeczywistości. Znam różnicę. Wiem, co jest gorsze i co spowoduje większe szkody – bycie pieprzoną w tyłek przez bandziora czy bycie pieprzoną w tyłek przez żółtą taksówkę.

Przekręcam klucz do mieszkania i otwierając drzwi, krzyczę:

– Jack! Jack?!

Kiedy wychodzi na korytarz, nie mówię: „Kocham cię”. „Tęskniłam za tobą”. „Jak ci minął dzień?”. Mówię:

– Chcę się z tobą pieprzyć.

Chwilę później rzucam się na niego i zanim zdąży się obejrzeć, przypieram go do ściany. Wpijam się ustami w jego wargi, całuję go mocno i głęboko, zanim uda mu się cokolwiek powiedzieć, zanim złapie oddech.

Zdzieram z niego koszulkę i błędzę rękami po piersi. Drapię paznokciami skórę i szczypię brodawki, aż jęczy. Bardziej to czuję, niż słyszę; stłumiony, niski jęk, który spijam z jego rozchylonych ust.

Jestem opętana. Myślę wyłącznie o tym, by poczuć w sobie jego kutasa i już nigdy go nie wypuścić. Chcę, by to on mną sterował. Jeszcze nigdy tak się nie czułam, nigdy nie byłam tak pewna i nigdy dotąd taka napalona.

Dotykam ręką jego krocza. Właśnie to w nim kocham. Nie muszę czekać, aż stwardnieje. Nie muszę tracić czasu i zajmować się jego zwiotczałym kutasem. Wystarczy, że pstryknę palcami, i już jest chętny, gotowy – jak pod wpływem autosugestii – i cholernie twardy.

Jednym płynnym ruchem zrywam z niego spodnie i bieliznę. Biorę go do ręki i odrywam usta od jego ust tylko po to, żeby spojrzeć mu w oczy i powiedzieć:

– Chcę twojego kutasa. Chcę go do buzi.

Nie czekam na jego pozwolenie.

Ja nie proszę, ja każę.

Nie błagam, biorę.

Nie pozostawiam mu wyboru.

Ześlizguję się po jego ciele; nadal przypieram go do ściany, choć moje ręce nie błędzą już po jego piersi. Klękam przed nim i chwytam jego penisa. Ciągnę go w dół niczym dźwignię, tak że tworzy idealny kąt prosty z jego ciałem i znajduje się na wysokości moich ust.

Obejmuję ustami jego czubek. Cały. Powoli. Odsuwam się i drażnię go językiem. Chwilę później znowu biorę go do ust, tym razem nieco głębiej, muskając językiem. Odsuwam się. Liżę. I mówię mu to, co chce usłyszeć.

– Moje małe, ciasne usta uwielbiają ssać twojego twardego fiuta. Ma taki cudowny smak. Lubisz to, co?

Nawet nie czekam na odpowiedź.

Przyciskam kutasa do podbrzusza i liżę jajka, wodzę po nich językiem, zaczynam ssać jedno, a potem drugie. Później mój język znów mknie po fiucie, od nasady po górę, niczym pędzel sunący po płótnie, aż po sam czubek. Liżę, pluję na niego i pocieram go dłonią, przez cały czas patrząc Jackowi prosto w oczy. Widzę, że jest oszołomiony; zdany na moją łaskę i niełaskę.

Otwieram szeroko usta, tak bym mogła wziąć go w całości. Biorę głęboki wdech, jak ktoś, kto zamierza nurkować, i powoli przyjmuję go w siebie, zwijając język, by pieścić czubek i spód penisa. Czuję, że robię się wilgotna.

Trzymam go w ustach, aż zaczyna drżeć, dopiero wtedy się odsuwam. Nadal łączy nas gruba perłowa nitka śliny, która wisi między nami i oblepia czubek kutasa, przywodząc na myśl ośnieżony górski szczyt. Patrzą na nią i wyobrażam sobie swoją cipkę, otwierającą się niczym kwiat, i lśniące na wargach lepkie białe soki.

Wynurzam się, z trudem łapiąc powietrze, pocieram dłonią twarde, nabrzmiąły członek, powlekając go warstwą śliny. Wstrzymuję oddech i znów jestem gotowa zejść pod wodę.

Raz za razem pochylam się, otwieram usta i nadzieję na jego kutasa, czując, jak nabiegły krwią, mięsisty czubek obija się o podniebienie, niemal pozbawiając mnie tchu. Wyobrażam sobie, jak wchodzi głęboko w ciepłą, mokrą cipkę, i czuję lepiące się do ciała wilgotne majtki.

Gdy Jack zatapia palce w moich włosach, czekam, aż jednym krótkim pchnięciem wejdzie we mnie jeszcze głębiej. Dokładnie tego chcę. Właśnie tak to sobie wyobrażam.

Niemal słyszę, jak jęczy, kiedy spuszcza mi się do gardła. Wiem, że w tym momencie nic nie powie.

Tylko „kurwa”.

I „tak”.

Jego gorąca, lepka i słodka jak cukierek sperma zaleje moje gardło. Będzie wlewała się we mnie niczym rzeka, w której utonę.

Dokładnie tak to sobie zaplanowałam. Jednak dzieje się inaczej.

Jack zatapia palce w moich włosach, ale nie wchodzi we mnie głębiej. Odpycha mnie. Czuję się jak wyrwana ze snu.

Patrzą na niego i pytam:

– Co jest nie tak?

Mam mętlik w głowie i czuję się urażona. Nawet nie próbuję tego ukryć. Jack słyszy to w moim głosie.

– Co jest nie tak ze mną?! – woła. – To ja się pytam: co jest nie tak z tobą?

Wyrzucanie mi tego tak po prostu pogarsza tylko sprawę.

– Co w ciebie wstąpiło, Catherine?

Ma dla mnie wiele imion, głupich przezwisk, które wymyśla na poczekaniu: Kitty, Cat, Trini. Catherine nazywa mnie tylko wtedy, kiedy jest wkurzony.

Nic we mnie nie wstąpiło. Kompletnie nic. W tym cały problem. Czy nie widzi, jak bardzo jestem napalona?

Przez niego czuję się jak idiotka.

– Pracuję – tłumaczy. – Nie mam na to czasu. Może później.

Wiem, że nie będzie żadnego później. Wiem, że będzie pracował do nocy i każe mi czekać.

I tak właśnie jest. Leżę w łóżku – gotowa i chętna. Czekam. Słyszę, jak krząta się za drzwiami, ale nie wchodzi do sypialni. Zostaję sama ze swoimi fantazjami i dziwnymi scenami z filmu, które kłębią mi się w głowie.

Jestem przywiązana do drzewa porośniętego bluszczem. Wykręcone ramiona obejmują pień. Krępuje je gruba, szorstka lina, która oplata moje ciało i nie pozwala się ruszyć.

Jestem gdzieś w środku lasu, ale moją głowę wypełnia szum oceanu. Jest dzień. Ciepłe promienie słońca ogrzewają mi ciało. Słyszę jedynie świerszcze, które normalnie śpiewają w nocy.

Mam krew na skroni, ale nie jestem ranna. Cienka strużka spłynęła po policzku niczym kropla farby, gęsta i oleista. Jak łza w kolorze bólu.

Nie boję się, bo jest przy mnie mój kochanek. Stoi przede mną. Kładzie mi ręce na ramionach i przynosi pocieszenie. Kiedy pieści oczami moje ciało, czuję, jak rodzi się we mnie pożądanie. Nie odzywa się, ale jestem skąpana w ciepłe jego miłości. Składa na moich ustach miękkie, delikatny pocałunek. Spogląda na strużkę krwi, wodzi palcem po szkarłatnej ścieżce mojego bólu i znowu mnie całuje. Jego pocałunki są słodkie, ale nic poza tym.



Chciałam poznać odpowiedź, odkąd pierwszy raz uprawiałam seks:

Dlaczego mówią na to „sperma”?

Co jest złego w słowie „nasienie”? Nie jest wystarczająco seksowne?

„Sperma” brzmi jak nazwa marki.

Spam, Tampax, Alpo i Sperma.

Albo oznaczony znakiem firmowym dodatek do innego produktu.

Porno – teraz z dodatkiem spermy.

Jeśli o mnie chodzi, słowo „sperma” brzmi fatalnie, ale... no cóż. Skoro już o tym mowa, jeśli musicie się spuścić, trysnąć, wystrzelić, proszę bardzo, ale nie na moją twarz ani w pobliżu, ale jeśli macie zamiar szczytować albo mieć wytrysk, jestem do waszej dyspozycji.

Poza tym wolę mieć „kutasa” niż „wacka”. A wy? Nie przywiązuję wagi do rozmiaru, ale „wacek” kojarzy mi się z „wacusem” albo „małym wackiem”, co w ogóle mnie nie kręci.

Chwalcie się, ile chcecie, swoimi pałami, pytami, drągami, ale trzymajcie je tam, gdzie ich miejsce. W spodniach. Byle dalej od mojej cipki. Kiedy słyszę faceta mówiącego o swoim wacku, fajfusie albo peniu, mam przed oczami paru koleśków wyglupiających się w męskiej toalecie.

Nie potrzebuję kutasa z imieniem. Potrzebuję faceta z kutasem.

Nie musi być duży, ale zdecydowanie musi być twardy i obsługiwany przez kogoś, kto wie, jak go poprowadzić. Nie ma sensu wbić pedał gazu, jeśli się nie wie, jak używać hamulców, kręcić kierownicą i zmieniać biegi. A drążek zmiany biegów? Jeśli chcecie przewieźć mnie swoją bryką, lepiej, żebyście wiedzieli, jak się nim posługiwać.

Powiem wam, że „penis” jest w porządku, ale „kutas” brzmi znacznie bardziej sprośnie i poetycko. Sprawia, że myślę o kogucie. A kogut kroczy dumnie i pieje. Stroszy piórka, przewodzi kurom i wodzi rej. Wszystko to kojarzy mi się z seksem.

Nie myślcie, że jestem pruderyjna, bo naprawdę nie jestem. Nie chcę też upraszczać ani niczego narzucać, ponieważ jestem zdania, że w kwestii nazewnictwa każdy ma swoje preferencje. Dlatego nie spierajmy się o semantykę. Ja na przykład wolę „nasienie” od „spermy”.



Pewnie myślicie, że wykształcona młoda kobieta powinna zaprzętać sobie głowę poważniejszymi rzeczami niż to, jak najlepiej określić wytrysk. Nie jestem tego taka pewna.

Chodzi o to, że człowiek we wszystkim może dopatrywać się głębszego sensu bytu albo szukać dowodów na istnienie Boga. Może przeczytać niezliczoną liczbę książek na dany temat – religii, nauki, filozofii czy przyrody – ale gwarantuję, że nigdy, przenigdy nie znajdzie odpowiedzi, która by go satysfakcjonowała. Tak naprawdę, dogłębnie. Odpowiedzi, która da mu poczucie spełnienia i sprawi, że pozna swoje miejsce i cel w życiu.

Dlaczego?

Ponieważ odpowiedź jest tu.

W nasieniu.

Nie wierzycie?

Udowodnię wam.

Zacznijmy od stwierdzenia, co do którego wszyscy jesteśmy zgodni:

Seks jest siłą napędową życia.

Bez seksu nie ma życia. Tak jak bez życia nie ma seksu. Te dwie rzeczy są ze sobą nierozzerwalnie połączone, jak kura i jajo. Seks bez nasienia jest jak Big Mac bez specjalnego sosu. To magiczna esencja, od której wszyscy pochodzimy. Wszystko, żeby istnieć, musi się rozmnażać. Nawet przeziębienie. Istnienie polega na procesie reprodukcji.

Począwszy od ptaków, a skończywszy na pszczołach, kwiatach i nasionach, ten sam proces powtarza się bez końca – od mikro do makro. Nie muszę o tym wspominać. To podstawy nauki i biologii. Choć może warto mówić, bo mam wrażenie, że o tym zapominamy.

Wielki Wybuch doprowadził do powstania wszechświata, który składa się z układów słonecznych – gigantycznych macic, inkubatorów dla planet, które są niczym innym, jak kosmicznymi jajami czekającymi, aż coś je zapładni ziarnem życia, czyli:

Nasionem.

Tak w gruncie rzeczy wygląda moja seksualna teoria życia, wszechświata i wszystkiego. Jedyna teoria strun, jaka będzie mi potrzebna.

Tym wszystkim z was, którzy są wyjątkowo uduchowieni, mogę tylko powiedzieć, że przysypialiście na lekcjach religii albo nieuważnie czytaliście Biblię, ponieważ jedyne, czego w Biblii nie brakuje, to seks. Niemal na każdej stronie ktoś zastanawia się, kiedy nadejdzie królestwo Boże, kiedy przyjdzie Jezus i kiedy nadejdzie zbawienie.

Powiecie: nie bądź głupia.

Ja na to, że uczy się nas, byśmy rozumieli Biblię dosłownie. I to właśnie robię.

Jeśli Biblia rzeczywiście miała służyć za życiowy przewodnik, dlaczego ludzie, którzy ją pisali, bawili się semantyką i nie mówili wprost, o co im chodzi?

Czyż zadaniem Biblii nie jest sprawienie, by ludzie czuli się dobrze sami ze sobą?

I dzięki czemu ludzie poczują się lepiej, jeśli nie dzięki seksowi?

Weźmy przypadkowy fragment. Powiedzmy, Ewangelię świętego Łukasza, rozdział 17, wersety 20-21. Faryzeusze pytają Jezusa, kiedy nadejdzie królestwo Boże. I co im odpowiada? Mówi: „Oto bowiem królestwo Boże pośród was jest”.

Powiedziałabym, że to dość oczywiste. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Mówiąc to, Jezus ma na myśli wyłącznie jedno.

Nasienie.

A czymże jest nasienie, jeśli nie synonimem Boga, który raz zasiany w duszy, kiełkuje i rośnie?



Jest jeszcze jedna rzecz, do której zamierzam się przyznać.

Jestem głęboko wierząca. Wielbię nasienie.

Ale muszę dodać, że jestem neofitką. Nie zawsze tak było. Jeśli mam być szczerą, kiedyś było zupełnie inaczej.

Gdy myślę o słowie „sperma” i ją sobie wyobrażam, nic dziwnego, że sama myśl o tym, by facet spuszczał się obok mnie albo na mnie, napawa mnie odrazą. Coś takiego w ogóle nie jest seksowne. Sperma nie kojarzy mi się z najwyższym uniesieniem, jakiego doznaje człowiek w trakcie orgazmu, ale z czymś, co zostawił facet, kiedy przestał cię używać. Albo ze zużytą gumką, którą po wszystkim wyrzuca się do kosza. Tak więc dla mnie sperma była zawsze czymś brudnym i ohydny. Napawała mnie obrzydzeniem. Nie chciałam jej widzieć, nie chciałam jej czuć i z całą pewnością nie miałam ochoty jej smakować.

Zaraz po szkole miałam chłopaka, który bezustannie próbował spuścić mi się na twarz. Lubił to i chciał, żebyśmy też polubiła, więc za każdym razem wymyślał jakąś wymówkę. W jednej

chwili pieprzyliśmy się jak szaleni, a w następnej wychodził ze mnie i próbował usiąść mi na twarzy, niczym szczeniak drapiący w drzwi i skaczący na swojego właściciela, bo zbyt długo siedział sam. Z tą różnicą, że był tylko żalonym gówniarzem, który naoglądał się pornosów i nie miał pojęcia, jak zadowolić dziewczynę. Odpychałam go jak szczeniaka, który próbuje zerznąć komuś nogę, i w najlepszym przypadku kończył na moim brzuchu. Ale tego też nie lubiłam. Nie chodziło o konsystencję ani temperaturę. Po prostu źle się z tym czułam. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze.

Po nim spotykałam się z chłopakiem z drużyny futbolowej. Miał boskie ciało i równie boską twarz. Ale wraz ze światłami gasło nasze życie seksualne. Facet nie miał osobowości, podobnie jak nie miał wyobraźni w łóżku. Zawsze próbowałam skończyć przed nim, bo kiedy dochodził, odechciewało mi się wszystkiego. Zawodził jak mały chłopiec, który lada chwila się rozplacze. Zastanawiałam się, czy nie jest na sterydach, i nie wiedziałam, czy naprawdę chce się ze mną pieprzyć, czy tylko udaje.

Potem coś się zmieniło. Można powiedzieć, że doznałam objawienia. Trudno stwierdzić, czy był to zew miłości, pożądania, czy może kombinacja obu tych rzeczy. Dość, że pamiętam to tak wyraźnie, jakby wydarzyło się dziś rano.

Był to ósmy raz, kiedy ja i Jack uprawialiśmy seks. Rzeczywiście wyjątkowy. Tak naprawdę Jack był pierwszym facetem, przy którym nie krępowałam się swojej nagości. Byłam na górze i ujeżdżałam go. Całowaliśmy się jak szaleni, a kiedy poczuł, że lada chwila dojdzie, spojrział mi prosto w oczy i zapytał... Naprawdę zapytał, czy może skończyć mi w ustach.

Na samą myśl o tym zaczęłam panikować, ale byłam tak zafascynowana nowo odkrytym pożądaniem, że jedyne, co mogłam i chciałam zrobić, to uśmiechnąć się i przyzwalająco skinąć głową. Zapytał! To ja kontrolowałam sytuację. Już sam fakt, że zapytał, sprawił, że naprawdę miałam ochotę to zrobić.

W tym momencie pozbyłam się lęku przed lepką substancją, która kojarzyła mi się wyłącznie z nieprzyzwoitym słowem. Przestałam się nawet bać tego, jak smakuje. Pożądałam jej. Podniecała mnie. Uwielbiałam ją. Byłam nią zafascynowana. Pragnęłam jej tak, jak pragnęłam poczuć na sobie ręce Jacka i jego usta zasypujące mnie słodkimi, delikatnymi pocałunkami. Zanim poznałam Jacka, seks był jednym wielkim rozczarowaniem. Myślę, że chodziło przede wszystkim o znalezienie właściwej osoby, mężczyzny, który pomoże mi się otworzyć, wskaże drogę i nauczy, jak czerpać z seksu radość.

Jest taki wiersz Williama Blake'a *Wyroczenie niewinności*, o „świecie w ziarenku piasku”. Cóż, ja widzę wszechświat w kropli nasienia Jacka. Kiedy o tym myślę, przypominam sobie, jak wspaniały był wtedy nasz seks i jak bardzo chciałam, żeby trwał wiecznie. Kiedy myślę o nasieniu Jacka, czuję, że jest przy mnie i że nikt ani nic nas nie rozdzieli.

Lubię jego smak. Lubię, kiedy rozlewa się w moich ustach; kiedy ochlapuje mi włosy, tak że stają się lepkie i splątane, zupełnie jakbym weszła w pajęczynę.

Lubię mówić mu, żeby skończył na moich piersiach, tak żebym mogła rozmazać spermę dłońmi jak malarz mieszający farby na palecie. On jest farbą. Ja malarzem i płótnem. Lubię malować na swoim ciele jego nasieniem. Czuć, jak schnie, zasycha, kurczy się i sprawia, że skóra staje się ściągnięta. Lubię, gdy łuszczy się i odpada płatami. Lubię trzymać je na palcu i patrzeć na nie tak, jak patrzy się na płatek śniegu, próbując dostrzec stworzony przez naturę krystaliczny wzór.

Lubię przyglądać się, jak tryska. Najpierw wylewa się długim, lepkiem łukiem, który z każdą chwilą staje się cieńszy i rzadszy. A następnie sączy się leniwie niczym piana z butelki piwa, którą ktoś wstrząsnął przed otwarciem.

Lubię, kiedy tworzy kałużę na moim brzuchu, wypełnia pępek i rozlewa się na boki, jak

zupa krem, która wylewa się z talerza. Kiedy kapie mi na krzyż dużymi, gęstymi kroplami, niczym gorący deszcz, mleko czy lava. Kiedy ochlapuje moją cipkę i włosy łonowe, na których wisi cienkimi pasmami jak kłębki bawełny na krzakach.

Lubię, gdy kończy w środku i czuję się pełna, zaspokojona i nasycona, jakbym chwilę temu zjadła smaczny, solidny posiłek. Czuję, jak nasienie wylewa się ze mnie, zostawiając gęsty perłowy ślad, który prowadzi między pośladkami. Czasami wycieka po kilku godzinach, kiedy zdążę już o nim zapomnieć. Gdy idę przez kampus, siedzę na zajęciach, w autobusie albo stoję w kolejce do kasy. Nagle moje majtki robią się lepkie i wilgotne od śluzu i przypominam sobie moment, kiedy Jack pchnął mnie, wydał z siebie słodki stłumiony jęk i zostawił we mnie swój ładunek. Przeżywam na nowo to, jak się pieprzyliśmy i jak we mnie wytrysnął, bez względu na to, czy jestem na terenie kampusu, na zajęciach, w autobusie czy supermarkecie.

Lubię, gdy tryska mi na twarz. Jestem wówczas całkowicie zdana na jego łaskę i czuję się, jakby mnie upokarzał. Lubię tę chwilę, kiedy zamykam oczy i nasienie ochlapuje mi twarz. Kiedy jest go tak dużo, że lepкими strużkami spływa mi po policzkach. Wypełnia pory, skapuje z czoła i zwisa z brody. Mam wrażenie, że moja twarz jest zbyt mała, by mogła je pomieścić. By mogła pomieścić tę niekończącą się strugę nasienia.

Lubię ścierać je z warg i policzków, rozciągać między palcami niczym smarki, brać do ust, mieszać ze śliną, tworząc koktajl naszych płynów ustrojowych, i połykać jak ostrygę. Potem otwieram szeroko usta, wystawiam język i pokazuję mu, że zniknęło. Że byłam grzeczną dziewczynką i połknęłam lekarstwo.

Po smaku i zapachu spermy próbuję odgadnąć, co jadł na śniadanie, lunch, kolację i w przerwach między posiłkami. Bywa słona, gorzka, kwaśna, a czasami pachnie dymem. Wyczuwam w niej piwo, kawę, szparagi, banany, ananasa i czekoladę. Bywa, że skupiam się na fakturze i konsystencji. Czasami jest płynna jak na wpół ugotowane białka jajek, czasami gęsta i grudkowata jak kasza manna, a czasami taka i taka. Bywa też jedwabście gładka jak syrop przeciwkaszlowy. Taką lubię najbardziej, bo łatwo się ją przełyka.

Lubię lizać jego kutasa po tym, jak we mnie wytrysnął.

Kiedy jego penis jest śliski i błyszczący od nasienia i moich soków. Chcę delektować się smakiem naszego potu i namiętności. Lubię czuć go na języku aż do chwili, gdy sprawia, że mój oddech zaczyna mieć nieprzyjemny zapach. Lubię, jak pachnie jego nasienie, kiedy jest już długo na moim ciele.

Lubię zmywać zaschniętą spermę ze skóry, czuć, jak pod wpływem wody wraca do swej pierwotnej postaci, zupełnie jakby ożywała. Lubię patrzeć, jak ścieka do odpływu, myślę wówczas o podróży, którą właśnie rozpoczęła.

O miejscach, które odwiedziła, i tych, do których dotrze. Z wnętrza ciała Jacka wprost na moje. Z mojego ciała aż do morza.

Zrodzona z natury wróci do natury. Jak wszystko inne.

I tak właśnie powinno być.



Marcus opiera się o biurko, rozkładając *Piękność dnia* na czynniki pierwsze. Mówi o Séverine i jej pragnieniu całkowitego poddania się swoim żądzom. Pragnieniu, z którego powodu jej fantazje mieszają się z rzeczywistością do tego stopnia, że nie potrafi ich odróżnić. Słuchając go, wyobrażam sobie, że klęczę przed nim i liżę jego wyciągniętą dłoń.

Klęczę. Mam na szyi obrozę z nazwiskiem swojego pana. Czytam na niej, że:

Jestem pupilkiem nauczyciela.

Pieskiem Marcusa.

On jest moim panem.

Balansuję na tylnych łapkach, przednimi opierając się o pierś Marcusa i kryjąc twarz w jego kroczu. Jestem suką w rui i wyczuwam męskość swojego pana. Pocieram nosem spodnie, czuję jego zapach i wciągam go do płuc. To sekretne piżmo, które mówi mi, że należę do niego i tylko do niego. Wypełnia moje nozdrza i głowę. Otula mnie chmurą miłości, sprawiając, że czuję się szczęśliwa. Dyszę i szczekam, żeby okazać radość.

Spoglądam na jego krocze i przechylam głowę, patrząc na zgrubienie rysujące się pod brązowymi spodniami. Przypadam do niego, liżę go i czuję, jak sztywnieje.

Mój język zostawia na materiale wilgotne plamy śliny, więc Marcus odpycha mnie brutalnie i bez ostrzeżenia. Robi to tak gwałtownie, że upadam na bok i leżę rozciągnięta na podłodze. Strofując mnie, okazuje swoje niezadowolenie.

Niedobry pies.

Patrzę na niego i wydaję z siebie żalony skowyt. To go rozjusza jeszcze bardziej. Mój pan mnie nienawidzi i jest mi z tym bardzo źle. Mam ochotę podkulić ogon, schować się w kącie i zatopić zęby w smacznej twardej kości.



Marcus mówi o tajemnicach, które skrywamy w snach, o sekretach zżerających nas od środka.

Stoję na biurku z głową wspartą na przednich łapkach i z uniesionym tyłkiem, tak wysoko, jak to możliwe. Marcus wchodzi we mnie dwoma palcami, a kciukiem penetruje odbyt, zupełnie jakby stał przy autostradzie i próbował złapać stopa. Potrząsam zadem i skomlę z rozkoszy. Wszystko zostaje mi wybaczone.

Znowu jestem suką swojego pana.

Anna spóźnia się na zajęcia. Kiedy wchodzi, wszyscy mężczyźni stają na baczność. Marcus również. Chwilę później Anna klęczy przed nim, chowając twarz w jego kroczu. Upaja się tajemnym zapachem, który do tej pory znałam tylko ja. Liże miejsca, które jeszcze niedawno sama lizałam. Nie jestem jednak zazdrosna. Nie martwię się, że teraz to ona zyska jego względy. Cieszę się, że mogę dzielić z nią swoją obsesję. Że mogę dzielić się z nią moim panem.



Marcus opowiada o Séverine i jej potrzebie unicestwienia samej siebie poprzez seks. Ja jestem niewolnicą swego pana. Zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda. Podporządkuję się jego pragnieniom i staną się one moimi pragnieniami. Pragnę unicestwić siebie poprzez seks.

Jednak mój pan ma inne plany. Chce zachować Annę dla siebie. Chce oddać mnie innym

mężczyznom.

Każe im ustawić się w kolejce. Jeden obok drugiego. Dwójkami. Jak zwierzętom w arce. Mówi, żebym się odwróciła plecami do sali, do mężczyznom, którzy czekają w kolejce, gotowi wypełniać jego rozkazy. Twarzą do tablicy.

Zapisał na niej słowo:

HEGEMONIA

Każe mi wypowiadać je na głos, raz za razem, aż przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie i staje się zwykłym słowem. Kiedy to robię, każe mężczyznom brać mnie, jeden za drugim. Dwójkami. Z radością dzielę się swoim ciałem. Skoro właśnie tego chce mój pan.



Marcus opowiada o nieznanych granicach kobiecego pożądania i chyba rozumiem, co ma na myśli.

Jestem na zajęciach i nie wiem, kim jestem, co we mnie wstąpiło i dlaczego.

Siedzę w pierwszym rzędzie, jak zawsze.

Jak zawsze ubrałam się specjalnie dla Marcusa.

Ale wszystko inne się zmieniło.

Ja się zmieniłam.



Marcus opiera się o biurko i mówi o erotycznych halucynacjach i zdolności ludzkiego umysłu do przetwarzania intensywnych stanów emocjonalnych w fantasmagoryczne doznania, które wydają się tak rzeczywiste, że nie jesteśmy w stanie powiedzieć, co jest prawdą, a co fikcją.

Jestem pewna, że mówi o mnie.

Przemawia do mnie. I tylko do mnie.

Skąd on to wie?



Marcus mówi o tym, w jaki sposób film może stać się bramą do podświadomości. O tym, jak sztuka może zmać nasze nieświadome myśli i pragnienia w sposób, który wydaje się równie nieprawdopodobny i nierzeczywisty jak sama sztuka. Jak, w ekstremalnych przypadkach, nasze reakcje na sztukę mogą stymulować fizyczne objawy.

Przykładem mogą być dziewczyny, które sikały na widok Beatlesów. Albo jak w latach trzydziestych powiadano, że po filmie z Valentinem nie było w kinie żadnego suchego siedzenia.

Mówi o syndromie Stendhala, udokumentowanym zjawisku, zgodnie z którym ludzie mający kontakt z wielkimi dziełami sztuki mdleją, doświadczają uczucia głębokiego niepokoju, a nawet łagodnej formy psychozy.

Syndrom Stendhala... Brzmi jak schorzenie wymyślone przez hipochondryka, który sprawdzał pod hasłami „sztuka” i „psychoza”. Właśnie tak hipochondrycy wyszukują objawy, nie przykładając wagi do szczegółów, z nadzieją, że rozpoznają jakąś potworną, nieuleczalną chorobę – im gorsza, tym łatwiej będzie ich uspokoić. Syndrom Stendhala brzmi wystarczająco groźnie.

A ja myślałam, że syndrom Stendhala to tytuł filmu. Horroru w reżyserii Daria Argenta, który widziałam raz w życiu i którego nigdy nie zapomnę. To film o młodej policjantce Annie – w tej roli wystąpiła córka Daria, Asia Argento – która prowadząc śledztwo w sprawie serii brutalnych morderstw, trafia do Galerii Uffizi. Tam zostaje skonfrontowana z wybitnymi dziełami sztuki: *Narodzinami Wenus* Botticellego i *Głową Meduzy* Caravaggia. Pierwsze jest

kwintesencją piękna, a drugie grozą w każdym calu.

W ich obliczu Anna staje jak sparaliżowana. Jej pole widzenia zawęża się i skupia na obrazach aż do chwili, gdy nie dostrzeżga niczego poza nimi. Aż do momentu, kiedy uświadamia sobie, że nie patrzy na nie z zewnątrz, ale ma wrażenie, jakby spoglądała na zewnątrz z głębi obrazu.

Jak Alicja, która przeszła na drugą stronę lustra.

Zastanawiam się, czy film ten jest wyjaśnieniem tego, co się ze mną dzieje. Wiem, jak to brzmi, gdy ktoś szuka odpowiedzi w horrorze. Albo jakimkolwiek innym filmie. Zupełnie jakby sztuka potrafiła coś więcej, niż tylko rodzić kolejne pytania.



Mam tak wiele pytań, na które nie mogę znaleźć odpowiedzi. Ale wiem, kogo zapytać.

Po zajęciach podchodzę do Anny i idziemy na stołówkę. Minęła już pora lunchu, tak więc jesteśmy praktycznie tylko my dwie. Siadamy przy stoliku, jak najdalej od ludzkich uszu. Chcę jej wszystko opowiedzieć, ale zdaję sobie sprawę, że zabrzmiałoby to niedorzecznie, jak bełkot szaleńca.

Mówię jej więc, że ostatnio miewam naprawdę dziwne sny.

– O Marcusie – mówi.

Nie pyta. Stwierdza. Skąd wie?

– Tak – odpowiadam. – O Marcusie.

Anna klaszcze w dłonie i chichocze niczym dzieciak w wigilię Bożego Narodzenia.

– Chcę usłyszeć wszystkie pikantne szczegóły – domaga się. – Niczego nie pomijaj.

– Byłaś kiedyś tak podniecona, że myślałaś, że odchodzisz od zmysłów? Że tracisz kontakt z rzeczywistością?

– W snach? – pyta.

– Tak. Albo na jawie.

– Na jawie tak.

Kiwam głową.

Anna bez słowa ściąga z lewego nadgarstka dużą srebrną bransoletę zdobioną wymyślnymi zawijasami i pokazuje mi siniaki, które przywodzą na myśl odciski na skórze piętno. Zupełnie jakby wzór z bransolety odbił się na jej nadgarstku.

– Czyż nie są piękne? – pyta, wodząc palcami po zagłębieniach. Zachowuje się jak w transie.

Wygląda to groteskowo i mam wrażenie, że sprawia jej ból. Jej śliczne, delikatne nadgarstki wyglądają na opuchnięte i zdeformowane.

– Co się stało? – Staram się udawać, że mnie to nie dziwi, ale nie jest to łatwe.

– Oni mnie związali – odpowiada, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Jakby spodziewała się, że wiem.

– Jacy oni?

Opowiada mi wszystko. Wyjawia mi swoje tajemnice. Mówi o sobie rzeczy, które nigdy nie przyszłyby mi do głowy.

Opowiada o stronie internetowej, do której pozuje.

– Naprawdę świetnie płacą – wyjaśnia. – Wystarcza na chesne i wszystkie rachunki.

Tłumaczy, że zarabia tak dużo, bo to strona przeznaczona dla „bardzo wąskiego grona ludzi”.

– Jakich ludzi?

– Ludzi, którzy wiedzą, czego chcą – odpowiada. – Ludzi, którzy chcą oglądać konkretny

typ dziewczyn w dość nietypowych sytuacjach. Ładne, skromne, młode dziewczyny, związane, przykute łańcuchem, dyscyplinowane i trzymane w zamknięciu.

Próbuję sobie wyobrazić, kim oni są, czym się zajmują i dlaczego mieliby chcieć oglądać coś takiego. Patrzę na nadgarstki Anny i wyobrażam sobie, co jeszcze z tego ma, poza siniakami.

Zastanawiam się, czy sama się okalecza i czy robiła to w przeszłości, jak ludzie, których znałam w liceum. Te dziwne, stroniące od wszystkich dziewczyny z dobrych rodzin, które były tak stuknięte na punkcie swojego ciała i innych rzeczy, że celowo się okaleczały, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Ciekawi mnie, czy to właśnie robią te dziewczyny, kiedy wyrosną ze swych młodzieńczych obsesji. Nie widzę innego powodu, dla którego ktoś miałyby robić sobie coś takiego. Nawet za cenę opłacenia czesnego.

– Nie chodzi o pieniądze – dodaje Anna po chwili, zupełnie jakby usłyszała moje myśli. Prawie jej wierzę.

Jeszcze raz spoglądam na jej nadgarstek i dopiero teraz zauważam dwa duże żółknące siniaki na przedramieniu. Ma na sobie bluzkę bez rękawów, tak więc nie może ich ukryć, nawet gdyby chciała. A nie sądzę, by o to jej chodziło.

– To też stamtąd? – pytam.

– Mówisz o tym? – Dotyka czule siniaków palcem wskazującym. – Nie. – Uśmiecha się, jak gdyby przypominała sobie coś miłego. – To pamiątka po seksie, wiesz?

– Nie wiem, ale mogę się domyślić.

Anna mówi, że ma chłopaka. Właściwie ma wielu chłopaków, innych niż Marcus. Każdy z nich daje jej coś innego; każdy zaspokaja inną jej część. Ale ten facet lubi traktować ją brutalnie i zostawiać ślady na jej ciele, tak by inni wiedzieli, że z nim była. Annie to nie przeszkadza.

– Uwielbiam je – mówi. – Kiedy patrzę na nie i ich dotykam, przypominam sobie, skąd się wzięły. Pamiętam, jak położył na mnie swoje ręce. Jak mnie pieprzył. Lubię patrzeć, jak te siniaki z czasem bledną. Jak czerwień przechodzi w czerń, czerń w zieleń, a zieleń w żółty odcień złota. A kiedy zupełnie znikną, wiem, że najwyższy czas, żeby znowu się z nim spotkać.

Ze wszystkich facetów ten jest jej ulubionym, bo tylko on myśli w taki sam sposób jak ona. Tylko on wierzy, że seks i przemoc to dwie strony tego samego medalu; nie tylko w to wierzy, ale też postępuje zgodnie z tą zasadą.

– Pamiętasz, jak w szkole obiecują, że będą cię uczyć o ptaszkach i pszczołkach? – pyta Anna. – Nie mówią ci wszystkiego, całej prawdy. Jedynie część. Tylko to, co chcą, żebyś wiedziała. O ptaszkach. Wszystkie te bajeczki o zalotach, umizgach i wspólnym wychowywaniu dzieci. Nie wspominają o pszczołkach.

– Ależ tak – odpowiadam. – Mówią o tym, jak pszczołki latają z kwiatka na kwiatek i roznoszą pyłek.

Anna kręci głową i przewraca oczami.

– W takim razie powinni mówić o ptaszkach i kwiatkach – odpowiada. – Nie o ptaszkach i pszczołkach.

Wiesz, jak pieprzą się pszczoły?

– Chyba nie – przyznaję. – Zdaje się, że nawet nigdy o tym nie myślałam.

– To brutalne. Naprawdę brutalne.

Opowiada, że kopulacja pszczoł przypomina ostry seks, tyle że cierpi na tym facet, nie dziewczyna.

– Kiedy truteń wchodzi w królową matkę, jego fiut wycisowuje się na zewnątrz – tłumaczy Anna. – A kiedy dochodzi, przypomina to fajerwerki. Siła stosunku odrywa jego kutasa

i odrzuca go od królowej matki. Kilka godzin później truteń umiera. Jeśli facet za bardzo się do mnie przystawia, jeśli jest upierdliwy albo najzwyczajniej w świecie mi się nie podoba, opowiadam mu historyjkę o pszczołach. – Anna śmieje się. – Nie mają o tym pojęcia. A kiedy jest już po wszystkim, żalują, że poznali tę historię. – Chichocze. – Jeden numerek i po wszystkim – zastanawia się na głos. – Gdyby tak samo było z facetami, pomyśl, jak inny byłby świat. Na jaki seks mielibyśmy ochotę, gdybyśmy w szkole uczyli się o pszczołach, a nie tylko o ptaszkach i kwiatkach?

Kiedy tak słucham, jak mówi o seksie, znowu czuję się jak dziewczyna. Albo nie. Czuję się jak pierwszego dnia w szkole, świeżo po ukończeniu przedszkola. Byłam dumna i wydawało mi się, że jestem dorosła – tak czują się dzieci, kiedy coś ważnego wydarzy się w ich życiu, gdy idą do nowej szkoły albo dostają pierwszy rower – a tak naprawdę nic nie wiedziałam. Zupełnie nic.

Właśnie tak się teraz czuję. Jakbym do tej pory bawiła się w lekarzy i pielęgniarki i nagle dowiedziała się, czym jest prawdziwy seks. Próbuje przetrwać te wszystkie informacje, ale Anna jeszcze nie skończyła.

Mówi, że przypomniała sobie, dlaczego zaczęła mówić o pszczołach. Kiedy truteń umiera, jego penis tkwi do połowy w pochwie królowej matki, niczym korek w napoczętej butelce wina – wskazówka dla innych samców, którzy chcą ją zapłodnić.

– Oto czym są.

Anna pociera siniaki na przedramieniu. Nosi je jak tymczasowy tatuaż, bo chce, żeby wszyscy wiedzieli, co lubi – to coś jak przypięte do kurtki plakietki z nazwami ulubionych zespołów – i żeby ci, którzy lubią to samo, mogli odpowiedzieć na jej wezwanie.

– A ci, którzy nie wiedzą, o co chodzi? – pytam.

– Pewnie myślą, że jestem niezdara. – Wzrusza ramionami.

Patrzę na nią, na jej siniaki i widzę ją w zupełnie innym świetle. Nie odpowiedziała jednak na żadne z moich pytań. Mimo to zadawałam kolejne.



Myślę o wszystkim, co Anna powiedziała mi o Marcusie, o sobie, o ptakach i pszczołach. O siniakach. I chcę wiedzieć, jak to jest poczuć na sobie Jacka. Nie tylko jego nasienie, ale i jego znak. Chcę wiedzieć, czy tego właśnie brakuje w naszym życiu erotycznym. Ostrego seksu.

Jack pieprzy mnie w łóżku. Kuca, podczas gdy ja opieram uda na jego piersi, a stopy na lewym ramieniu. Trzyma mnie za kostki i rżnie, jakby grał na wiolonczeli. Jego kutas porusza się w cipce, a jaja obijają się o moje pośladki. Trzyma rękę na moim podbrzuszu, drażniąc kciukiem lechtaczkę. Gra we wszystkich możliwych skalach, potęgując moje pożądanie i sprawiając, że śpiewam dla niego.

Śpiewam dla niego i stwierdzam, że chcę wydobyć nieco wyższy ton.

– Uderz mnie, Jack – proszę. – Chcę, żebyś mnie uderzył. Uderz mnie tak mocno, żebym krzyknęła.

Mówię to pod wpływem chwili i dlatego, że jest mi dobrze, i podoba mi się ten pomysł. Ale tak się nie dzieje.

Jack zamiera w połowie pchnięcia.

– Co? – pyta.

– Chcę, żebyś mnie uderzył, chcę, żebyś zrobił mi krzywdę.

Wychodzi ze mnie, siada na skraju łóżka i patrzy na mnie.

Jest ciemno i nie widzę jego twarzy, ale wiem, że nie jest dobrze.

– O co chodzi? – pytam.

Zapada długa cisza.

– Po co to powiedziałaś? – odzywa się w końcu. – Po co w ogóle prosisz, żebym zrobił ci coś takiego?

– Przepraszam, nie chciałam... myślałam... – Nie kończę, bo nie przychodzi mi do głowy żaden powód. Nie planowałam tego; po prostu zadziałałam pod wpływem impulsu. Nie mam więc dla niego gotowej odpowiedzi. Nie mam żadnej odpowiedzi.

– Nawet gdybym to zrobił, nie potrafiłbym udawać, że sprawia mi to przyjemność – mówi. – Nawet nie mogę udawać, że chcę to zrobić. Bo nie chcę. Po co miałbym robić ci krzywdę?

Słyszę w jego głosie, że nie jest zmartwiony ani zmieszany, jest wściekły, gotuje się ze złości.

Kładzie się na skraju łóżka i owija szczelnie kołdrą.

Zostaję sama. Jestem sfrustrowana, niezadowolona i dezorientowana. Czuję się niezdarna i głupia. Jak w ogóle mogłam pomyśleć, że zgodzi się na coś takiego?

Leżymy w łóżku. Razem, ale jesteśmy sobie tak dalecy, jakby między nami wyrósł mur.

Słyszę jego głęboki, ciężki oddech, ale nie mogę zasnąć.

Idę do salonu. Nie włączam światła. Siadam z laptopem na kanapie i otwieram stronę porno, dla której pracuje Anna. Myślałam o niej przez cały dzień, odkąd mi powiedziała, i chcę zobaczyć na własne oczy, co robi i skąd wzięły się siniaki na jej nadgarstkach.



W tym miejscu muszę podnieść rękę i przyznać się do czegoś wstydliviego. Mam niewielkie doświadczenie z internetowym porno. Z filmami porno, owszem. Porno w internecie –

nie. Dla mnie to dwie różne sprawy. Wiem oczywiście, że unikanie takich stron jest prawie niemożliwe, ale jakoś nigdy za nimi nie przepadałam. Może jednak Kinsey miał po części rację, tworząc swoją teorię na temat kobiet i bodźców wzrokowych.

Kiedy myślę o porno w internecie, przychodzą mi do głowy gry wideo, figurki z *Gwiezdných wojen*, komiksy Marvela i science fiction, wszystko, co kręci nastoletnich prawiczków, kształtując tym samym ich późniejszą, nadrzędną obsesję.

Walenie konia przy zdjęciach wyszukanych w Google'u.

Myślę o nudnych dorosłych facetach, którzy nigdy nie wyrastają ze swoich obsesji, tylko je udoskonalają. Przesiadają się z samochodów zabawek do prawdziwych samochodów, zamieniają figurki z gier na gumowe lale, a obrazki z Google'a na YouPorn.

Myślę o miliardach kolesiów w każdym kraju na świecie, którzy w tym samym czasie walą konia, oglądając porno w internecie. A może nawet nie porno. Może stronę internetową Kim Kardashian. Brandzują się, patrząc na kiepsko wyretuszowane i mało podniecające zdjęcia sióstr Kardashian. Myślę o miliardach facetów wylewających hektolitry spermy na wirtualny tyłek Kim Kardashian.

Myślę sobie, że to marnotrawstwo dobrego nasienia.

Marnotrawstwo cennej energii.

Gdyby ktoś wynalazł sposób, żeby przetworzyć tę energię na źródło światła... Albo wykorzystać miliony wyrzucanych każdego dnia mokrych od spermy chusteczek higienicznych jako paliwo... Gdyby ktoś odkrył, jak to zrobić, większość światowych problemów z energią zostałaby natychmiast rozwiązana. Koniec wojen o ropę. Koniec śladów węglowych. Koniec odpadów atomowych.

Koniec pieniędzy z podatków wyrzucanych w błoto podczas kolejnych prób stworzenia zimnej fuzji.

Tylko miliardy napalonych, spoconych kolesiów siedzących w domu, przed komputerem, ze spuszczoneymi gaciami, i dzień i noc trzepiących gruchę przy internetowym porno, i wielki tyłek Kim Kardashian.

Bez poczucia winy.



Chcę więc powiedzieć, że jeśli chodzi o porno w internecie, nie mam wyrobionego zdania. Sama nie jestem użytkowniczką, ale dostrzegam potencjalne korzyści i szansę na ogólnoświatowy pokój.

Ale nawet ktoś taki jak ja – z kiepską znajomością tematu – od razu wiedział, że strona, na której można zobaczyć Annę, jest jedną z najdziwniejszych stron, jakie miałam okazję oglądać. Począwszy od nazwy.

Sodoma.

Albo raczej SODOMA, pisane wielkimi literami. Bo ostatnią rzeczą, jakiej człowiek oczekuje od pornografii, jest subtelność.

Sodoma. Nie Gomora. Nie dlatego, że jest zbyt subtelna, ale dlatego, że trudniej ją przeliterować i brzmi jak STD¹. A pornografia i choroby przenoszone drogą płciową... cóż, powiedzmy, że nigdy nie będą najlepszymi przyjaciółkami.

Tak więc SODOMA. Swoista gra znaczeń. Dla słów porzucanych na stronie głównej, również zapisanych wielkimi literami.

STOWARZYSZENIE DOMINANTÓW

Cokolwiek to znaczy.

Spoglądam na stronę i nic nie rozumiem. Nie jest to pornografia, jaką znam. Na przykład nie ma tam żadnego seksu. Żadnego. Przynajmniej ja go nie widzę. Tylko galeria i wyszukiwarka.

Nie wiem, czego szukać, i boję się tego, co mogę znaleźć, jeśli spróbuję. Przeglądam więc galerię. Niekończącą się kolekcję dziewczyn na zdjęciach portretowych, takich jak te ze szkolnych ksiąg pamiątkowych. Wszystkie są wyjątkowo piękne i niemal wszystkie wyglądają jak studentki. Szukam Anny, choć niewykluczone, że zauważę inne znajome twarze.

Ciekawe, ile jest takich dziewczyn jak Anna, które w ten sposób opłacają swoje studia. A jeśli jestem jedyną, która tak nie robi? Zastanawiam się, dlaczego śliczne dziewczyny, którym uroda daje w życiu naturalną przewagę, postanawiają wykorzystać to, co mają, na swoją niekorzyść.

Myślę o Severine. Która miała wszystko, niczego nie potrzebowała, a i tak było jej mało. Severine, która bardziej niż cegokolwiek pragnęła być nikim.

Myślę o Annie i ją widzę.

Klikam jej zdjęcie i trafiam do kolejnej galerii. Patrzę na zdjęcia Anny, każde opatrzone miniaturą. Przewijam je. Jest ich zbyt wiele, bym mogła policzyć. Ich miniatury wyglądają jak zdjęcia średniowiecznych tortur z iluminowanych manuskryptów.

Fragmety filmów nie są oznaczone tytułami. Anna nie ma imienia, nawet takiego, na jakie decydują się gwiazdy porno. Została zredukowana do numeru – zwykłego dziesięciocyfrowego numeru. Czuję się, jakbym przeglądała katalog Sears pełen dewiacji seksualnych i tortur albo jakbym jednym kliknięciem otworzyła puszkę Pandory. Żałuję, że to zrobiłam, bo wiem, że nie będę mogła o niej zapomnieć.



Od czego zacząć?

Może od wibrowiertarki? Jest równie dobra, jak wszystko inne. Pierwszy filmik, który klikam, przedstawia Annę, toaletę i wibrowiertarkę. Jeśli nie wiecie, czym jest wibrowiertarka, zaraz wam wyjaśnię.

Jest dokładnie tym, na co wskazuje nazwa. Wiertarką zakończoną sztucznym penisem. Pewnie zastanawiacie się, jak to działa?

Odpowiedź brzmi: czy naprawdę musicie pytać?

Wierciliście kiedyś dziury w ścianie, żeby powiesić półki?

W takim razie wiecie, że po uruchomieniu elektryczna wiertarka wchodzi w ścianę jak w masło i nie zatrzyma się, dopóki nie dotrze do zewnętrznej warstwy betonu i kamienia. Wówczas zaczyna wibrować tak, że ręce chcą odpaść. Człowiek przełącza na „udar” z nadzieją, że przebije się odrobinę głębiej, a gdy po raz kolejny zderzy się z kamieniem, wiertarka ma odrzut jak, nie przymierzając, czterdziestkapiątka.

A teraz wyobraźcie sobie, że ktoś wkłada wam coś takiego.

Zaczekam chwilę, żebyście mogły oswoić się z tą myślą.

Zwykła elektryczna wiertarka wykorzystywana do celów, o których nie śniło się producentom. Narzędzie z napędem elektrycznym zmienione w sekszabawkę.

I to nie byle jaką sekszabawkę.

Magnum.45 wśród sekszabawek.

Może jestem naiwna, ale nie miałam pojęcia o istnieniu takich rzeczy. Nie wiedziałam, że branża erotyczna poczyniła takie postępy, że zwykły, napędzany bateriami wibrator jest równie przestarzały, jak walkman firmy Sony. Producenci wibratorów zapuścili się w zakazane rejony rodem z body horrorów, pełnych wrzasków i krzyków, przemocy wobec kobiet.

Dwa tysiące lat kultury i ileś wieków dominacji rasy ludzkiej, i wszystko po to, by jakiś geniusz wpadł na pomysł połączenia sztucznego penisa z wiertarką elektryczną. Jakby właśnie na to czekał świat, na sekszabawkę, która doprowadzi kobietę do orgazmu przy dwustu czterdziestu obrotach na minutę.

To nie byle jaka zabawka.

To maserati wśród seksgadżetów.

Stworzona dla kobiet, ale zaprojektowana przez mężczyznę. Jakby kobiety nie miały dość tortur i upokorzeń ze strony mężczyzn. Ktoś musiał wymyślić wibrowiertarkę. A teraz wyobraźcie sobie, że widzicie, jak to coś maltretuje wnętrze waszej nowej najlepszej przyjaciółki.

Patrzę na Annę przywiązaną do sedesu, na betonowym cokole, pośrodku ogromnego, ciemnego, wilgotnego, brudnego i przerażającego magazynu. Film nie jest opisany. Nie ma fabuły ani dialogów. Poza Anną nie ma tu nikogo. Nawet cieni czających się w mroku, w tle. Żadnych głosów z planu. Zupełnie jakby została porwana, zamknięta i porzucona. Może właśnie o to chodzi. Anna powiedziała, że stronę odwiedzają dość specyficzni ludzie, i teraz rozumiem, co miała na myśli. Filmy zmontowano w ten sposób, że widać tylko to, co chce pokazać ten, kto je nakręcił.

Kiedy Anna przyznała mi się, co zrobiła, kiedy pokazała mi obrzęki i siniaki na nadgarstkach, byłam zła. Jednak widząc to, w pierwszej chwili mam ochotę się roześmiać. Wszystko to wygląda tak głupio. A zarazem dziwnie pięknie.

Delikatne, nieco zaróżowione ciało Anny kontrastuje z twardą białą emalią sedesu. Siedzi przygarbiona, opierając ramiona i głowę o spluczkę, dotykając plecami deski klozetowej, z nogami wyciągniętymi przed siebie na kształt litery V, skrępowanymi w kostkach, przez co wygląda jak marionetka pokazująca światu swoją cipkę i tyłek. Liny nad i pod jej piersiami oplatają drobne ciało i przyciskają je do muszli, która wygląda jak kapelusze na plecach dam podziwiających Kentucky Derby.

Przypomina jedną z tych rzeczy, które mógłby wymyślić Marcel Duchamp, gdyby zapuścił się w rejony porno.

Kobieta przywiązana do toalety.

Fantazja każdego hydraulika.

Wibrowiertarka.

Ulubione narzędzie elektryka Joego.

Połączcie jedno z drugim i co otrzymacie?

Najnowszy wynalazek branży porno.

Wibrowiertarka wbija się w cipkę Anny jak wiertarka udarowa, aż oczy uciekły jej w tył głowy. Jej ciało drży jak ręka człowieka trzymającego wiertarkę elektryczną. Całe ciało. Jakby siedziała przywiązana do krzesła w tunelu aerodynamicznym.

Anna krzyczy. Krzyczy tak, jak krzyczy się, jadąc kolejką górską, kiedy wagonik na pierwszej pętli mknie do góry nogami i jedyne, co się widzi, to zbliżający się z zawrotną prędkością długi stromy spadek. To krzyk czystej rozkoszy zmieszanej z nieopisanym przerażeniem. Tyle że jej krzyk nie milknie. Zlewa się z elektrycznym rykiem wibrowiertarki.

Przyciszyłam dźwięk, ale mam wrażenie, że to wciąż za mało. Ponieważ krzyk Anny nadal rozdziera mi uszy. Nie chcę wyłączyć go całkowicie, bo jestem pewna, że bez tego wszystko będzie wyglądać dziesięć razy gorzej.

Zerkam w stronę sypialni.

Mam nadzieję, że Jack śpi.

Próbuję sobie wyobrazić, po co jakkolwiek kobieta miałaby się godzić na coś takiego.

Zadaję sobie pytanie, dlaczego Anna się na to godzi. I mam wrażenie, że patrzę na odpowiedź.

Oczy ma szkliste. Z twarzy można wyczytać dziwną ekstazę. Jej spojrzenie zdaje się mówić „mam ochotę na więcej” i „dość”. Jednocześnie. Nie mogę go znieść. I wiem, że nigdy go nie zapomnę. Nie potrafię przestać patrzeć. Boję się oderwać wzrok. Sama już nie wiem, czy chcę ją pieprzyć, czy ratować.

Nie słyszę, gdy drzwi do sypialni się otwierają.

Dopiero po chwili zauważam Jacka. Stoi nagi na środku pokoju i przeciera oczy.

Przeżona uderzam w klawiaturę.

Wylączę głos.

– Która godzina? – pyta zaspany. Jest zamroczony, ale nadal trochę zły.

– Przestraszyłeś mnie – mówię.

Czy słyszał?

Zamknij przeglądarkę.

Ogarnia mnie strach, że zostanę zdemaskowana. Na mojej twarzy maluje się paranoja.

Otwórz edytor tekstu.

– Co robisz?

A więc słyszał. Wie. Domyśla się.

– Piszę referat – odpowiadam z dramatycznym westchnieniem.

Koniec pytań. Błagam, nie dociekaj. Nie jestem w tym dobra. Nie umiem radzić sobie z poczuciem winy.

Bierze z kuchni szklankę wody i wraca do pokoju.

– Nie siedź za długo – mówi, stojąc nade mną i patrząc na monitor.

– Zaraz przyjdę – odpowiadam.

Nie wie, nie słyszał. Zgaduję to po jego głosie. Jest mi głupio.

Poczucie winy spowodowane tym, że zrobiłam coś złego, zastępuje wstydliva świadomość własnej głupoty.

Nagle dostrzegam jego kutasa. Tuż na wysokości moich oczu. Poranna erekcja. Jest duży i nabrzmiały. Jaja wiszą ciężkie niczym kiście dojrzałych winogron. Czasami mam wrażenie, że patrząc na jego członek, byłabym w stanie określić czas. Jest jak cień na zegarze słonecznym, który wydłuża się i kurczy. Wiem, że gdybym wzięła go teraz do ust, wyssałabym z niego całe rozczarowanie i sprawiła, że zapomnieliby o tym, co się między nami wydarzyło.

Wraca do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Czekam, żeby mieć pewność, że za chwilę znowu nie wyjdzie. Czekam tak długo, jak mogę. Przez trzydzieści sekund gapię się na pustą stronę z referatem, którego wcale nie mam zamiaru pisać. W końcu wchodzę na stronę SODOMY i wszystko zaczyna się od nowa.

Patrzę na Annę klęczącą w żelaznej klatce w kształcie psa. Żelazna konstrukcja tak idealnie pasuje do kształtu jej ciała, że można by pomyśleć, iż została zrobiona na zamówienie. Tylko pupa i głowa Anny nie są zamknięte.

Z tego, co widzę, cała klatka jest pod napięciem. Dostrzegam podłączone do niej kable, które ciągną się i znikają poza kadrem. Za każdym razem, gdy Anna dotknie żelaznych prętów, wyje z bólu. Zupełnie jak pies.

W filmie nie ma cięć; kamera krąży wokół klatki, powoli, tak by można było zobaczyć każdy szczegół.

Mija pośladki Anny i nie mogę nie zauważyć warg sromowych, ściśniętych między udami, idealnie ogolonych, pokrytych drobnymi kropelkami potu. Jej skóra jest zupełnie gładka i pozbawiona włosów, z wyjątkiem jasnej kępki starannie przystrzyżonych jasnych włosów łonowych, w kształcie króliczej łapki.

Z jej tyłka sterczy ogromnych rozmiarów zatyczka z lśniącego aluminium, która wygląda jak bomba wodorowa. Wystające z niej czarne kable przymocowane są do prętów klatki.

Skórę wokół sromu Anny przytrzymują metalowe klamry. Wyglądają jak spinacze do papieru, ale na górze mają śruby oplecione miedzianym drutem podłączonym do stojącego obok akumulatora samochodowego. To atropa z pokrętłami do zwiększania i zmniejszania napięcia.

Domyślam się, że to tylko efektowny dodatek, bo wiem, że ciężko zostać porażonym prądem z akumulatora. Owszem, można poczuć delikatne łaskotanie, jednak nie zabije ono człowieka. Z dolnych partii ciała Anny wystaje więcej przewodów niż z komputera typu mainframe. To sprawia, że zaczynam się denerwować.

Patrząc na Annę – słodką, seksowną, zabawną i beztroską – człowiek w życiu by nie zgadł, co kryje się pod spodem. To tak jakby Anna, na którą patrzę, była zupełnie inną osobą. Nie tą samą dziewczyną, która siedzi za mną na zajęciach. Nawet nie tą, która pokazała mi obrzęki i siniaki na nadgarstkach i ramionach.

Ta Anna celowo naraża się na niebezpieczeństwo. Nie wie, w co się pakuje ani jak zareaguje. Czy da radę, czy ją to złamie.

A jednak fascynuje mnie to, co widzę. Nie mogę przestać oglądać. Nie mogę oderwać wzroku od monitora. Muszę zobaczyć, co wydarzy się dalej. Pociąga mnie to, tak jak pociągają mnie rzeczy przerażające. Utożsamiam się z Anną, tak jak utożsamiałam się z Severine. Chcę zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.



Dziś jedna dziewczyna ze studiów popełniła samobójstwo. Ma na imię Daisy. Miała. Była ładna. Słodka. I mądra. Nie znałam jej, ale Jack ją znał. Pracowała w sztabie wyborczym.

Wszyscy w miasteczku studenckim są zaszokowani. Niemal czuć to w powietrzu. Takie wydarzenia oddziałują na wszystkich i zbliżają do siebie ludzi. Kampusy w college'ach są jak wioski. Każdy zna tu każdego albo kogoś, kto go zna. Tak więc każdy znał kogoś, kto znał Daisy. Ludzie potrzebują zrozumieć, chcą zrozumieć, chcą znaleźć sens w czymś bezsensownym po to, żeby mogli sobie z tym poradzić, otrząsnąć się i żyć dalej. Jednak śmierć wie, jak przypomnieć o sobie jeszcze długo po tym, co się wydarzyło. Nie spieszy się.

W każdym razie takie rzeczy się zdarzają.

Daisy nie była pierwsza. Trzecia w tym roku. Druga w semestrze. Każda z nich miała wszystko. A zdecydowały się zostać z niczym.

Widzę, że Jack jest naprawdę wstrząśnięty, choć ciągle powtarza, że nic mu nie jest. Jest taki męski. Nie okazuje słabości; chce, żebym myślała, że sobie poradzi, i wiem, że tak będzie. Mimo to się martwię.

Chcąc okazać szacunek, Bob DeVille na jeden dzień zamknął biuro. Nie jest to łatwa decyzja, kiedy do wyborów pozostało niespełna dwa miesiące, ale słuszna. Pracownicy sztabu postanowili zorganizować stypę, w której trakcie Bob ma wygłosić krótkie przemówienie, poprowadzić modlitwę i zmobilizować siły. Naturalny przywódca w okresie żałoby.

Jack żartuje, że byłby świetnym prezydentem. Powtarzam mu, że za bardzo wybiega myślami w przyszłość. Bob nie jest jeszcze nawet w rządzie. Ale Jack wiąże z nim wielkie nadzieje, podziwia go, uważa za autorytet. Kim jestem, żeby mu to odradzać? Zresztą może ma rację.

Chcę iść z nim na czuwanie. Chcę być przy nim i go wspierać.

– Nie – mówi. – Nie znałaś jej. Lepiej będzie, jak pójdę sam.

Rozumiem go, ale się o niego martwię. Chcę mu pomóc, ale mi nie pozwala. Odsuwa mnie od siebie. Jestem poirytowana. Chciałam stać u jego boku, a on mnie odtrącił. To boli.

Kiedy wychodzi, czuję się porzucona. Nie chcę siedzieć w domu, sam na sam ze swoimi myślami. Wystarczyło, żeby powiedział: „Chodź ze mną”. Ale tego nie zrobił. To jego decyzja. Nie chcę się na niego złościć, jestem jednak zdenerwowana. Żeby się uspokoić, muszę do kogoś zadzwonić.

Dzwonię do Anny. Już wie, co się stało z Daisy.

– Znałaś ją? – pytam.

– Nie – odpowiada. – Miałyśmy tylko wspólnego znajomego. Faceta.

Chcę porozmawiać z Anną, ale nie o Jacku. O wszystkim, byle nie o nim, więc mówię pierwszą lepszą rzecz, która przychodzi mi do głowy:

– Weszłam na tę stronę. Tę, o której mi mówiłaś.

– SODOME? – pyta.

– Tak. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego. Nie wygląda jak porno, przynajmniej to, co widziałam do tej pory. Ta strona jest przerażająca.

– Nie chodzi o to, jak wygląda – tłumaczy Anna. – Ale o to, co czujesz, kiedy na nią

patrzysz. Nie chodzi o scenariusz czy sytuację, tylko o wpływ, jaki na ciebie wywiera. O to, co się dzieje z twoim ciałem i umysłem. Jeśli robi się to we właściwy sposób, to naprawdę przyjemne.

Anna chce, żebym zrozumiała, jak to jest, kiedy wisi się w powietrzu na linach, którymi jest się skrępowanym, albo gdy jest się zamkniętym w klatce, z której nie można uciec.

– Czuję się zupełnie bezbronna – zwierza się. – Dlatego odpuszczam sobie i jest to najcudowniejsze uczucie, jakie można sobie wyobrazić. Czuję się niesamowicie świadoma swego ciała, każdego mięśnia i ścięgna, każdej jego cząstki. Czuję najdrobniejsze wahania wagi. I staję się wrażliwa na wszelkie bodźce. Na każdy ruch powietrza wokół mnie. Na każde poruszenie się lin, które drapią i wrzynają się w nadgarstki, kostki i piersi.

– Czy to nie boli? – pytam.

– Każdy ma swoje granice. Ja jestem wytrzymała. Kiedy jestem związana, z początku czuję dziwne mrowienie na całym ciele, jakby przepływał przez nie prąd. Pętle sprawiają, że palce u rąk i nóg powoli drętwieją. Czuję nieznośne ciepło, które rozlewa się po całym ciele. Wypełnia mnie ból, który trwa aż do chwili, gdy nie jestem w stanie go znieść. Wówczas przeradza się w największą rozkosz, jaką w życiu czułam. Wszystko się zmienia. Ból staje się przyjemnością. Rozkosz zmienia się w ból. Zrobię wszystko, by to spotęgować, by mieć pewność, że nigdy się nie skończy. Tak mi dobrze. Kiedy jestem związana, mam najbardziej intensywne orgazmy – ciągnie. – Tak silne, że mdlałam, a gdy odzyskiwałam przytomność, nadal wisiałam na linach i wszystko zaczynało się od początku.

Mówi, że człowiek traci poczucie czasu, kiedy jest podwieszony albo zamknięty w klatce. Zupełnie jak w hipnozie.

– Jakbym była w transie – tłumaczy. – W erotycznym transie. Który może trwać kilka minut albo nawet kilka godzin. Jestem poza czasem i wszystko wydaje się nieskończone. Boję się, co się stanie, kiedy w końcu się obudzę.

W tym momencie Anna wyznaje, że pragnie tego, a zarazem się boi; czuje, że może oszaleć.

– Ale dzięki temu wiem, że żyję – dodaje. – Bardziej niż kiedykolwiek. Czuję się spokojna i niemal bezcielesna.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tak mówiła.

Zazwyczaj jest rozchichotana i beztraska. Teraz jest pełna powagi i czuję, że naprawdę wierzy w to, co mówi.

Pamiętam wyraz jej twarzy. Teraz rozumiem, co czuła. Teraz chcę wiedzieć jeszcze więcej. Chcę wiedzieć, jak to jest być w świecie Anny.

Ona najwyraźniej uważa, że powiedziała wystarczająco dużo, bo nagle robi się dziwnie cicha i zmienia temat.

– Co teraz robisz? – pyta.

– Właściwie nic – odpowiadam.

– Chcę, żebyś poznała Bundy'ego. – Czuję, że posyła mi figlarne spojrzenie.

– Jasne.

Nawet się nad tym nie zastanawiam. Wiem, że minie kilka godzin, zanim Jack wróci do domu, a nie mam ochoty siedzieć sama.



– Spójrz na to – mówi Bundy.

Mówiąc to, pokazuje mi serię zdjęć na swojej komórce. Odbywa się to tak szybko, że nie widzę nic poza smugami kolorów i zbliżeniami robionymi pod różnym kątem.

Zachowuje się jak zdenerwowany swoją pierwszą prezentacją w PowerPoint przed salą pełną ważnych klientów początkujący sprzedawca, który naciska przycisk pilota, pokazując wszystkie slajdy naraz.

Slajdy, nad którymi siedział bez przerwy przez ostatnie trzy dni, żeby skończyć na czas i być gotowym na swój pierwszy wielki pokaz.

Zaprezentowane w niespełna pół minuty.

Stoi więc, wpatrzony w pusty ekran, ze świadomością, że nie skończył nawet omawiać pierwszego slajdu, i nadzieją, że w tym miesiącu dostanie jeszcze prowizję.

Bundy nie jest zdenerwowany, tylko podekscytowany. Jednak próbuje coś mi sprzedać. Próbuje przekonać mnie do pomysłu, żebym wciągnęła kreskę kokainy prosto z jego penisa.

Kiedy nieco dłużej zatrzymuje się na jednym ze zdjęć, uświadamiam sobie, że to właśnie jest główny temat większości z nich. To portfolio dziewczyn, które się na to zgodziły. To gadka, którą sprzedaje niczego nieświadomym laskom. Nie jest łatwo sprzedać coś takiego, ale Bundy stara się, jak może.



Dopiero się poznaliśmy. To znaczy dopiero zostaliśmy sobie przedstawieni. Bundy nie mówi: „Cześć” ani „Miło cię poznać”. Mówi: „Spójrz na to”. I prezentuje mi portfolio swoich zdobyczy.

Tym właśnie zajmuje się Bundy.

Przezesuje kluby, bary, sklepy odzieżowe, restauracje typu fast food i kolejki do kas sklepowych w poszukiwaniu ładnych dziewczyn. Jednak ładne to nie wszystko. Muszą być także chętne.

Nazywa to „nawiązywaniem nowych znajomości”.

Pamiętki z tych spotkań ukazują się codziennie na jego stronie internetowej Bundy Ma Talent, którą odwiedzają przygłupy z całego świata.

Brzmi niewinnie. Nic bardziej mylnego.

W wojsku nazywają coś takiego „zmianą celu”. Dzieje się tak, kiedy kampania militarna wykracza poza pierwotne granice i następuje zmiana celu.

To zmiana porno.

Kiedy pornografia wykracza poza własne granice i udaje coś, czym w rzeczywistości nie jest.

Chwilę po tym, jak poznaje swe nowe „przyjaciółki”, Bundy wyciąga aparat i robi wszystko, by zachęcić je do zrobienia jednej z trzech rzeczy, tu i teraz.

Pokazania cycków. Cipki. Albo possania kutasa.

A w dobry dzień wszystkich trzech.

Jeśli ma kiepski dzień – tu należy wyjaśnić, że większość jego dni to kiepskie dni – Bundy bierze co popadnie. Godzi się na mniej, bo jego zdaniem mniej to i tak lepiej niż nic, a on nie jest zbyt wybredny. W kiepski dzień zadowala się tym, co w branży nazywa się „tajniakami”

– zdjęciami robionymi z ukrycia, o których „modelki” nie mają pojęcia. Zdjęcia takie dzielą się na różne kategorie: podniesiona bluzka, podkasana spódnica, zdjęcie krocza, sutka, cipki i tak dalej.

Bundy lubi myśleć o sobie jak o Simonie Cowellu internetowej pornografii. Patronie rozrywki dla dorosłych, Svengalim seksualnych talentów – bo tak właśnie lubi nazywać dziewczyny, które uległy jego wåtpliwemu urokowi. Talenty.

Oto czym zajmuje się Bundy.

Dzięki obszernemu portfolio z roznegliżowanymi dziewczynami kupuje dostęp, relacje i patronat nad ludźmi, miejscami i rzeczami. Dla niego to kwestia podaży i popytu, logika rynku. Jest prawdziwym kapitalistą.

Jednak jest zbyt dumny i ma zbyt wysokie mniemanie o sobie, żeby nazywać się pornografem. Bundy uważa się za artystę. Nieustraszonego kronikarza seksu i współczesnego singla.

W rzeczywistości istnieje wielka rozbieżność między tym, co myśli Bundy, a tym, jak sprawy wyglądają naprawdę.

Z zawodu jest fotografem. Z braku lepszego wyjścia – pornografem.

W teorii – paparazzo. A w praktyce – seksualnym drapieźnikiem z aparatem w ręce.

Bundy lubi nazywać się internetowym przedsiębiorcą i inżynierem mediów społecznościowych.

Ja nazwałabym go najpodlejszego rodzaju hipsterem.

Pewnie go już nienawidzicie.

Nie róbcie tego.

Anna mówi, że Bundy ma wiele cudownych zalet, które na pierwszy rzut oka nie są takie oczywiste. Żeby je dostrzec, trzeba patrzeć ponad jego uśmieszkiem, pożądanymi spojrzeniami i cynizmem, który jest obecny we wszystkim, co robi. Ponieważ jest przyjacielem Anny, chcę go polubić. Zarazem mam świadomość, że Bundy jest jednym z tych facetów, przed którymi ostrzegały nas nasze matki; takich, o których mówiły, że sprowadzą na nas kłopoty.

Przynajmniej z takim kolesiem jak Bundy wszystko od początku jest oczywiste. Człowiek dostaje to, co widzi. A Bundy z całą pewnością jest ambitny. Tyle że jego ambicja jest ukierunkowana na niewłaściwe rzeczy.

Trzeba przyznać, że jest zabawny. Będąc z nim, nigdy nie wiesz, co się wydarzy, gdzie i z kim wylądujesz.



Jesteśmy w barze. Jednym z ulubionych miejsc Bundy’ego. Bread and Butter, zwykły bar o nazwie jak jadłodajnia dla ubogich. Podłoga jest tu brudna, podobnie jak ściany, spękane winylowe siedzenia, wyszczerbione szklanki i toaleta, w której nie działa spłuczka. Brud i usterki zbierały się tu przez kolejne lata, dodając odrobinę autentyczności ludziom, którzy sąej pozbawieni – ludziom pokroju Bundy’ego, którzy najechali ten bezpretensjonalny niegdyś lokal i zagnieździli się w nim na dobre.

Właścicielem Bread and Butter jest facet, który ma tylko imię. Sal. Siwy Amerykanin włoskiego pochodzenia, weteran wojenny; jest tu od dnia otwarcia i nie podobają mu się zmiany, jakie zaszły w okolicy, a zwłaszcza w jego barze. Tak więc Sal uznał, że woli obrażać swych klientów, niż serwować im drinki. Obraża ich wygląd, maniery i rodziców, a jeśli to nie pomaga, sugeruje, że są owocem kazirodczego związku; robi wszystko, byle tylko ich zdenerwować. A ci ludzie uważają, że to urocze, co jeszcze bardziej go rozwściecza. Jednak Sal musi przyznać, że nigdy dotąd nie zarabiał takich pieniędzy. Dorabia się w szybkim tempie, nawet jeśli nie rozumie,

dłaczego tak się dzieje, bo z tego, co wie, żaden z tych dzieciaków nie ma pracy.

Sal traktuje swoich klientów jak gówno, ale do Bundy'ego ma słabość. Powód jest prosty. Bundy robi mu darmową reklamę, zamieszczając na swojej stronie zdjęcia pańienek, które poznał w Bread and Butter. W zamian Sal serwuje mu darmowe drinki. Muszę przyznać, że Bundy doprowadził ten interes do perfekcji.

Wykorzystuje darmowe drinki, żeby znaleźć darmową cipkę. Żeby zapracować na darmowe drinki. Żeby znaleźć darmową cipkę.

Dzięki współczesnej technologii może wrzucać zdjęcia na stronę bezpośrednio z aparatu. Trafiają do sieci praktycznie w chwili, kiedy są robione.

Taka jest filozofia Bundy'ego.

Najpierw wrzuc zdjęcie na stronę. Potem pytaj o pozwolenie.

Ponieważ dla Bundy'ego sam akt jest pozwoleniem. Zresztą zrobi z laski gwiazdę, jeszcze zanim ta zacznie wycierać spermę z kącików ust.



– Nie jesteś taka jak inne – mówi Bundy.

Wiem, że próbuje sprzedać mi tekst, który zwykle działa na dziewczyny. Nie tym razem.

– Dlaczego? – pytam. – Bo moje usta są podłączone do mojego mózgu, a nie twojego fiuta?

Udaje, że nie słyszy.

Bundy przynosi nam drinki, jednak z moim jest coś nie tak. Prosiłam o sok pomarańczowy. Dostałam wódkę z sokiem pomarańczowym. Ma nadzieję, że nie zauważę.

Nieźle kombinuje.

Pewnie myśli, że jestem już pijana. Co za różnica, czy wypiję jednego więcej. Alkohol mnie rozluźni. Pilnuje, żeby kolejne drinki były coraz mocniejsze i pojawiały się coraz szybciej. Kiedy robi mi zdjęcia, nie będą już dla mnie takie głupie i obraźliwe. Niedługo przestanę mieć jakiegokolwiek opory.

Nie wie jednak, że ja nie piję.

A ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to skończyć na jego stronie internetowej w charakterze przynęty dla jakiegoś popaprańca szukającego w sieci zdjęć i filmów, przy których będzie mógł zrobić sobie dobrze.

Bundy Ma Talent to tylko jedna z jego stron. Sztandarowa strona dla publikacji, które gloryfikują jego popieprzone poglądy na życie, seks, seksualność, kobiety i jego samego.

Lubi myśleć, że każda z tych stron wyraża inny aspekt jego osobowości; są jak rozmaite okulary, które ludzie zakładają w zależności od nastroju. I, jak w przypadku okularów, dostajesz to, co widzisz. Różnica polega na tym, że są różne kolory oprawek, podczas gdy osobowość Bundy'ego ma tylko jeden odcień.

Tak więc wszystkie strony Bundy'ego są w zasadzie podobne. Mają inne nazwy. Ale tę samą zawartość. Stwarzają więcej możliwości, by sprzedawać reklamę.

– Problem Bundy'ego polega na tym, że jest geniuszem, ale nikt tego nie dostrzega – mówi Anna swym rozmarzonym, słodkim, ujmującym głosem.

Nie przekonuje mnie to.

Geniusz w stylu Bundy'ego narodził się wraz ze stroną Red Hot Cherry Poppers, na której dawał upust swemu upodobaniu do młodych, głupiutkich dziewczyn.

Później przyszedł czas na Caramel Candy Cotton Coochies, która odsłaniała jego sentymentalną naturę romantyka, kryjącą się w jego osobowości małą dziewczynkę z breloczkiem z logo Hello Kitty.

Nie można też zapomnieć o NDP – Nie dla Pedalów – będącej wyrazem jego lęków przed gejami. Nie chodzi tu o zwykłą homofobię. To była homofobia ukryta pod płaszczykiem ironii.

Jakby to była jakaś różnica.

Wszystkie stanowiły nieodłączną część jego hipsterskiego credo.

Rasizm to komentarz społeczny. Nietolerancja to powód do dumy. Mizoginia to życiowy wybór. Ironia to ekstrawaganckie ubranie.

Wiedziecie, że członkowie gangów, którzy dopuścili się wyjątkowo makabrycznej zbrodni, tatuują sobie pod okiem łzę? To wyraźne ostrzeżenie dla innych, które mówi, że zasłużyli na uznanie i że lepiej z nimi nie zadzierać.

Cóż, Bundy nie ma wytatuowanej łzy. Ma za to pączka wielkości łzy, z różowym lukrem.

W Rosji skazani członkowie gangów, którzy nudzą się jak mopsy siedzeniem w odizolowanych gułagach, czekają na właściwy moment, tatuując na swych ciałach drogę łez, niedoli i przemocy – czaszki i noże, odcięte głowy i sceny z ukrzyżowania – która opowiada prawdziwą historię ich właściciela.

Tatuaże Bundy’ego też opowiadają historię jego osobowości i, wiercie mi, nie jest to miły obrazek. Przypomina parodię sztuki zdobienia ciała. Jakby sam Bóg postanowił ukarać go dla przykładu i uczynił go chodzącym, mówiącym głupcem z tatuażami, które nie zasługują na miano tatuaży.

Zwłaszcza że są one jego chlubą i radością. Patrząc na nie, człowiek zaczyna myśleć, że może – ale tylko może – Paris Hilton nie jest najgłupszą istotą chodzącą po świecie. Albo że mamy do czynienia z geniuszem, którym zawsze chciał zostać Albert Einstein.

Ten tatuaż jest sekretnym kluczem do sukcesów Bundy’ego – jeśli w przypadku Bundy’ego można w ogóle mówić o jakichkolwiek sukcesach – w relacjach z dziewczynami.

Ale nie ze mną.



Bundy najwyraźniej zdecydował, że jestem beznadziejnym przypadkiem, i szuka świeżego mięsa. Zaczyna uderzać do dziewczyny, która wygląda, jakby miała potencjał. Ładnej, sztywniackiej hipsterki w okularach w kwadratowych oprawkach, T-shircie z zespołem Mayhem i z ustami pomalowanymi czarną szminką. Dziewczyna chce wyglądać na fankę black metalu, ale kiepsko jej to idzie.

– Patrz – mówi Anna.

W tym momencie po raz pierwszy widzę Bundy’ego w akcji. Jestem świadkiem starego numeru. To naprawdę proste. I uświadamiam sobie, że Anna miała rację. Tak proste, że niemal genialne.

Bundy rozmawia z dziewczyną i wie, że dostanie to, co chce, choć panna zgrywa nieprzystępną. Dlatego wyciąga swą kartę atutową.

– Założę się, że kiedy zobaczysz mojego kutasa, będziesz chciała wziąć go do ust – zwraca się do niej. – Jestem tego pewny. Bardziej niż pewny.

Mówi to swoim najmilszym, najśłodszy głosem i, dla pewności, robi maślane oczy. Ponieważ wie, że skoro zabrnęli tak daleko, a dziewczyna nadal tu stoi i słucha, co ma jej do powiedzenia, to dała się nabrać i prawdopodobnie pójdzie o krok dalej bez konieczności specjalnego przekonywania jej.

Bundy wyciąga fiuta i porusza nim przed oczami ładnej, sztywniackiej i głupiutkiej hipsterki, która z marnym skutkiem próbuje udawać fankę black metalu, żeby dotarło do niej, na co tak naprawdę patrzy.

Na penisa Bundy’ego.

Z wytatuowanym na czubku ZJEDZ.
I schowanym pod napletkiem napisem MNIE.
Jak grzyb z *Alicji w Krainie Czarów*, tyle że w przypadku penisa Bundy'ego nie ma znaczenia, z której strony się ugryzie.
Nie wiem, komu powinnam bardziej współczuć.
Dziewczynie, która weźmie go do ust.
Bundy'emu.
Czy jego rodzicom.
Jego biednym rodzicom.
Rodzice Bundy'ego byli japiszonami.
Nienawidzicie go jeszcze bardziej.
Nie róbcie tego. Pozwólcie, że dokończę.

Rodzice Bundy'ego byli japiszonami, którzy dorobili się w czasie boomu bankowego, w czasach gdy japiszoni, AIDS, Madonna i kokaina święcili triumfy. Dosłownie. Tuż po tym, jak Bundy przyszedł na świat, stracili wszystko. Szalejąc w sklepach i kupując rzeczy, które nie były im potrzebne. Rzeczy, sprzedawane później za marne grosze i porcje cracku, które w miarę wzrostu inflacji kosztowały więcej niż wielkie nieoszlifowane diamenty przemycane ze Sierra Leone. Tak więc dorastający Bundy nie miał łatwego życia. To gadka, do której ucieka się w ostateczności, licząc, że może w ten sposób uda się mnie przekonać.

Wszystko to wydarzyło się w latach osiemdziesiątych, ale jeśli go o to spytać, Bundy nie poda dokładnych dat; niezbyt interesują go drobne szczegóły, jak to, kiedy się urodził. To wszystko, co udaje mi się z niego wyciągnąć.

– To było po ośmiościeżkowej kasecie, ale przed płytami kompaktowymi – mówi. – Kiedy grupa Police była w porządku, zanim zeszła na psy. Gdzieś między albumami Michaela Jacksona i Prince'a, raczej po *Thrillerze*, ale przed *Purple Rain*. A może na odwrót.

Bundy mówi, że nie pamięta, ponieważ był dzieckiem. W domu przez cały czas leciało MTV, a on leżał przed telewizorem w swoim nadmuchiwanym łóżeczku, podczas gdy jego starzy wciągali kreski koki wielkości kubańskich cygar z witrażowego stolika przez opatrzone monogramami srebrne rurki.

Jednak w tamtym czasie MTV było zbitkiem tapirowanych włosów i eye-linerów, elektronicznych perkusji Linn i syntezatorów Roland i ciężko było odróżnić Duran Duran od Kajagoogoo czy Motley Crüe.

Bundy twierdzi, że wszystko to wydarzyło się po Marcie Quinn i przed Downtown Julie Brown. Nie... zaczekajcie, między Adamem Currym i Kurtem Loderem.

Próbuje mi wmówić, że ma zespół Aspergera i doskonale pamięta prezenterów wideoklipów z MTV w kolejności, w jakiej się pojawiali. Tyle że ja nie mam pojęcia, o kim mówi, bo kiedy przyszłam na świat, prezenterzy wideoklipów z MTV należeli do przeszłości, a MC Hammer miał swój kiepski comeback, jako nawrócony gangsta raper.

Z tego, co Bundy mówi, wnioskuje trzy rzeczy. Jest znacznie starszy, niż wygląda. Jest zbyt stary, żeby wyglądać tak, jak wygląda. I z całą pewnością wystarczająco stary, żeby wiedzieć swoje.

Rodzice obdarowali go także drugim imieniem, Royale – ze zbędnym „e” – wierząc, że nada ono królewski status ich pierworodnemu, gdy tak naprawdę kojarzy się wyłącznie z luksusowym smakiem lodów Ben and Jerry's.

Cherry Garcia.

Cherry Garcia Royale.
Bundy Royale Tremayne.

Oto przyczyna większości problemów Bundy'ego. Charles Foster Kane miał swoją obsesję na punkcie matki. Bundy Royale Tremayne ma swoje imię. Nadane mu pod wpływem chwili w nocy, przed nastaniem dnia, zanim jego starzy poszli w tango. I zanim matka zaczęła uważać się nad sobą do tego stopnia, że postanowiła skończyć z narkotykami.

Ów genialny pomysł przyszedł jej do głowy gdzieś w drugim trymestrze ciąży. Uznała, że stała dieta złożona z cracku, ciastek Hostess Twinkies i beaujolais nouveau nie jest zbyt dobra dla zdrowia jej nienarodzonego dziecka.

Dla rodziców Bundy'ego była to tak doniosła decyzja, że postanowili zapamiętać tę noc, nadając imię swojemu pierworodnemu. Crack nie sprzyja jednak myśleniu, tak więc nazwali go na cześć tego, co akurat leciało w telewizji. Wybrali imię w czasie przerwy reklamowej podczas dokumentu o prawdziwych zbrodniach, na cześć wyjątkowo ohydneho seryjnego mordercy i taniego chwytu reklamowego wymyślonego po to, by sprzedawać ćpunom tanie żarcie.

A Tremayne, mimo iż brzmi jak imię lekarza z serialu *Szpital miejski*, było tylko częścią umowy.

Jakby to nie wystarczyło, żeby doprowadzić do prawdziwego kryzysu osobowości, kiedy ich słodki synek zacznie samodzielnie chodzić, mówić, srać i myśleć.

Mówienie, że Bundy od początku miał pod górkę, to zdecydowanie za mało powiedziane. Muszę jednak przyznać, że sposób, w jaki sobie z tym poradził, był godny podziwu i zważywszy na okoliczności, naprawdę wiele osiągnął.

Jest niemal sławny. A już na pewno ma złą sławę.

I świat u swych stóp.

A zdzirowate dziewczyny z niską samoocena padają przed nim na kolana.



W ciągu niespełna godziny Bundy próbuje zbajerować trzecią laskę. Rozgrzewa się, więc nie potrzeba dużo czasu – jakieś półtorej minuty – zanim wyciągnie fiuta i pokaże tatuaż.

Z miejsca przy barze, przy którym siedzimy razem z Anną, widzę, że kutas Bundy'ego przypomina gotowaną niemiecką kielbasę, robioną z bardzo jasnego mięsa, doprawionego ziołami i wciśniętego w gruby, gumowaty flak, jak kondom ze świńskiej skóry. Nikt nie je skóry i nikt nie ma na to ochoty, trzeba więc zostawić kielbasę w garnku gorącej wody, naciąć flak i go zdjąć.

Można też delikatnie trzymać kielbasę między kciukiem a palcem wskazującym obu rąk, przyłożyć usta do maleńkiego otworu na szczycie i ssać aż do chwili, gdy flak się zsunie i mięso wpadnie do ust.

Kutas Bundy'ego wygląda właśnie jak taka kielbasa. Jest krótki, gruby, pękaty i blady, z żółdzą płaską i szeroką jak bocznik albo papierowy kapelusz, na którym ktoś usiadł. Wytatuowany wokół niej napis ZJEDZ MNIE ma grubą czarną gotycką czcionkę.

Nie jest to coś, co chciałabym wziąć do ust. Jednak żadna z tych dziewczyn nie miała oporów.

Żadna też nie miała oporów, żeby wciągnąć z niego kreskę kokainy. Może uznały, że warto było pójść na kompromis. Nie musiały się przekonywać, czy smakuje równie nieapetycznie, jak wygląda.

Żal mi ich. Nie dlatego, że się skompromitowały. Ale dlatego, że zrobiły to za tak niewielką nagrodę.

Tak naprawdę nie była to nawet kreska.

Raczej tyle co nic.

O co chodzi facetom z małymi ptakami?

Zawsze muszą coś udowodniać, zawsze chcą pokazać, z jakiej gliny są ulepieni. Powtarzają, jak wielkiego mają kutasa. Opowiadają o kobietach, które mówią im, że jest wielki. I zawsze uchodzi im to na sucho z jednego tylko powodu.

Ponieważ słowo „duży” jest względne.

A kiedy w końcu go widzisz, po całym tym zamieszaniu, jesteś rozczarowana, choć starasz się tego nie okazywać. Ponieważ ich wielki kutas jest zwykle niewiele większy od kielbaski koktajlowej zakończonej cienkim flakiem.

Z kolei ci, którzy nie chcą powiedzieć, jaki jest duży, i którym wydaje się, że są mądrzejsi, będą próbowali go pokazać.

Wyciągną plik kiepskich zdjęć zrobionych polaroidem, na których pieprzą swoją dziewczynę, i będą udawali, że to dzieło sztuki.

Wielcy faceci z małymi fiutami zawsze mają coś do udowodnienia.

Ponieważ właśnie odkryli coś, o czym każdy w Hollywood i każdy w przemyśle porno wie od lat.

W telewizji wszystko wydaje się większe.

Wszystko.

Bez względu na to, czy mówimy o Tomie Cruisie.

Czy siedmiocentymetrowym penisie.

Bo bez względu na to, co słyszeliście, kamera zawsze kłamie.

Albo mogą próbować pokazać wam robione telefonem zdjęcia jakiejś samotnej dziewczyny, którą razem ze swoim najlepszym kumplem poderwali w barze i używając karty tatusia, tak długo wlewali w nią alkohol, aż była kompletnie schłana. Następnie nieprzytomną zawlekli do swojego mieszkania, usadowili na kanapie i obaj zerznęli w usta. Najpierw osobno. Potem razem.

Później pieprzyli ją tak długo, aż obaj doszli. Jednocześnie. Tłumacząc sobie, że to nie dlatego, iż ocierali się o kutasa swojego najlepszego przyjaciela w ustach jakiejś pani. Ale dlatego, że laska zrobiła im fantastycznego loda.

Albo pieprzą ją tak długo, aż się obudzi, zrozumie, co się dzieje, i zwymiotuje. Może niekoniecznie w tej kolejności.

Bundy ma również stronę poświęconą takim właśnie rzeczom: Czego Pragną Dziewczyny.

Nie ma w tym żadnej ironii.

To jego prywatne archiwum dziewczyn w różnych stadiach roznegliżowania i upojenia alkoholowego ssących jego kutasa.

Mimo to nie wyobrażam sobie, że ogląda to ktoś inny poza Bundym. I kobietami ze zdjęć, które zaglądają tam tylko po to, żeby przypomnieć sobie, że:

Będąc w barze, nigdy nie należy przyjmować drinków od nieznajomych.

W barze robi się tłoczno. Hardcorowa armia fanów Bundy’ego ustaliła miejsce jego pobytu z danych GPS na zdjęciach, które zamieścił w sieci niespełna pół godziny temu. Do Bread and Butter ściągają tłumy. Sytuacja wymyka się spod kontroli.

Śliczna dziewczyna obciąża Bundy’emu kutasa swoimi słodkimi małymi ustami, podczas gdy dookoła zbiera się grupa mięśniaków. W podrzędnym barze dla hipsterów wyglądają dziwnie nie na miejscu. Walą o białe szklankami jagera i jacka daniel’sa i wymachują pięciami,

skandując:

– BUN-DEE.

– BUN-DEE.

– BUN-DEE.

Widzę, że mu to przeszkadza.

Tak więc Bundy robi kilka zdjęć, bo tylko tego potrzebuje, zamieszcza je na stronie i wysuwa się z ust dziewczyny.

Wiesza aparat na szyi, podchodzi do mnie i Anny i mówi:

– Idziemy.

Chwilę później wychodzimy.



Kładę się do łóżka wczesnym rankiem. Jest trzecia, może czwarta rano. Nie spodziewałam się, że wrócę tak późno. Pokój jest ciemny i cichy. Myślę, że Jack śpi.

– Gdzie byłaś? – słyszę, kiedy tylko przykładam głowę do poduszki.

– Przepraszam – mówię.

– Gdzie byłaś? – powtarza.

Nie mogę mu powiedzieć.

– Z Anną – odpowiadam.

To półprawda. Czekam, co powie. Ale on milczy. Nie jest zadowolony. Wiem, że nie jest.

– Jack...

Nie odpowiada.

– Jack?

Dotykam jego ramienia. Wzdryga się i odsuwa, przewracając na bok, byle dalej ode mnie.

– Przepraszam, Jack.

Co jeszcze mogę powiedzieć?

Nadal milczy. Cisza w sypialni jest ogłuszająca. Mam ochotę krzyknąć, żeby ją zagłuszyć, żeby zmusić go do reakcji.

Pokój jest ciemny i cichy. Trwa to całą wieczność.

Nagle słyszę, jak mówi chłodno:

– Porozmawiamy o tym rano, Catherine.



Nie rozmawiamy o tym rano. Kiedy się budzę, Jacka już nie ma. Nienawidzę budzić się bez niego. Niektórzy ludzie boją się zasypiać samemu. Ja boję budzić się w pustym domu. Nigdy nie wiem, czy przywitam nowy dzień sama w pustym łóżku.

Wymawiam jego imię:

– Jack?

Nie odpowiada.

Wiem, że jest niezadowolony. Czuję się podle. Przeraza mnie niepewność, czy ochłonie, zanim wróci do domu. A jeśli nie?

Gniew Jacka jest jak wzburzone wody oceanu; narasta, nie bacząc na to, jak wielkie sieje spustoszenie, bezlitosny dla wszystkiego, co stanie mu na drodze. Nie można przed nim uciec, tak jak nie można go załagodzić. Nie jest gwałtowny, przypomina raczej tłumioną złość. Wpływa na wszystko, co Jack robi. Tak więc najlepiej jest przeczekać ten gniew, aż wiatr się uspokoi, osłabnie i ucichnie. Aż wróci spokój. Wciąż jednak trudno to znieść.

Robię to co zwykle, by stłumić niepokój, uciszyć głos w mojej głowie, który nie przestaje gadać. Masturbuję się.

Zamykam oczy, wsuwam palce między uda i myślę o Jacku, który wciąż śpi, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby się nie obudził, kiedy weszłam do łóżka. Jakby zatracił poczucie czasu. Bez względu na to, czy była czwarta, trzecia, druga, czy pierwsza.

Budzę go pocałunkiem w czoło. Jest moim słodkim księciem i patrzę, jak powoli budzi się ze snu. Spogląda na mnie oszołomiony i mówi:

– Czekałem, ale byłem taki zmęczony.

Nie pyta, gdzie byłam, tym zimnym, oskarżycielskim tonem.

Pyta, kiedy wróciłam.

Kłamię. Tym razem jest to prawdziwe kłamstwo. Nie chcę, żeby o czymkolwiek wiedział.
– Tęskniłem za tobą – wyznaje z uśmiechem.

Zaczyna mnie całować, czule, słodko, delikatnie szarpie zębami moje wargi.

Ujmuję w dłoń moją pierś i wodzi kciukiem po brodawce.

Sięgam w dół i dotykam się tam, gdzie gromadzi się cały pot, gdzie zapach mojego pożądania jest najsilniejszy. Pieszczę się, oblizuję palce i znowu się dotykam.

Znów delikatnie gryzie moją wargę. Ssie ją. Szarpie mnie za brodawkę, ścisną ją między kciukiem a palcem wskazującym.

Czuję, jak twardnieje pod jego dotykiem.

Czuję, jak on twardnieje.

Robię się coraz bardziej mokra.

Wkładam palec do ust, potem dotykam swojej cipki i wyobrażam sobie jego język zwilżający wargi sromowe.

Sprawia, że łopoczą niczym delikatne skrzydła motyla i rozsuwają się. Ociera się o łechtaczkę i liże ją łapczywie. Krew uderza mi do głowy i między uda. Kręci mi się w głowie.

Czuję, jak czubek jego członka obija się o moje udo, kiedy wdrapuje się na mnie, gotów w każdej chwili się we mnie wbić. Przekręcam się na bok, jakbym chciała go powitać, uginam nogę w kolanie, niczym tancerka przy kankanie, żeby dokładnie widział pas startowy, kiedy podejdzie do lądowania.

Bierze kutasa w ręce i zbliża go do cipki, do szparki, gdzie gromadzi się wilgoć. Zanurza się odrobinę, wysuwa go i dotyka czubkiem cipki. Robię się śliska od własnych soków.

Znowu zanurza czubek i nieruchomieje. Nie wsuwa się ani nie wysuwa. Czeka. Drażni się ze mną.

Wodzę palcem wokół szparki, zbieram śluz i rozsmarowuję go na łechtaczce. Pocieram ją i czuję, jak pulsuje.

Jack we mnie wchodzi.

Wsuwam palec do cipki. I jęczę.

Jego kutas rozpycha moją szparkę. I czuję, jak cipka zamyka się wokół nabrzmiałej żołądki.

Wsuwam drugi palec.

Jack wchodzi we mnie powoli. Drażni się ze mną. Wbija się głęboko i napiera mi na biodra. Jest twardy i czuję, jak uderza w ściankę macicy. Na chwilę nieruchomieje. Znowu się ze mną drażni.

Jestem w środku aż po stawy i dalej, do kłykci, wpycham palce tak głęboko, jak to możliwe. Są śliskie od śluzu, gęstego, lepkiego i białego niczym śnieg.

Jack przenosi ciężar ciała, delikatnie porusza biodrami, jak nawigujący statkiem wytrawny sternik. Czuję, jak jego kutas porusza się we mnie, ocierając się o delikatną, mięsistą ściankę.

I nagle wiem, że lada chwila dojdę. Fala rozkoszy przetacza się przez moje ciało i nie zdołam jej zatrzymać. Nie chcę jej zatrzymać. Chcę, by mnie pochłonęła. Czuję go w sobie i chcę dojsć.

Szczytuję.

Na chwilę przed tym, jak ogarnia mnie fala rozkoszy, krzyczę jego imię. Bo chcę, żeby słyszał, nawet jeśli go tu nie ma.

Jack. Zaraz...

Już, Jack, za chwilę...

Jeszcze tylko...

Jack...

Naprężam się i drzę, wstrząsana potężnym orgazmem. Cipka zaciska się na moich palcach i czuję, jak prześcieradło robi się wilgotne. Ale to jeszcze nie koniec. Czuję niedosyt.

Moja cipka jest jak kot – wiecznie głodna. Przypomina kota, który nie wie, kiedy przestać jeść. Wiecznie jej mało. A ja nie potrafię odmówić jej jedzenia. Wymyślam więc kolejny scenariusz.

Tym razem Jack wraca do domu; nadal gotuje się ze złości. Chcę to zakończyć, chcę, żeby było już po wszystkim.

Teraz. Zaraz.

Tak więc zabieram się do dzieła. Daję mu pretekst i pozwalam, by wylądował na mnie złość. Kiedy jest już po wszystkim, oboje czujemy się oczyszczeni. Znowu jesteśmy nieprzyzwoici i uczuciowi. Chcemy się pieprzyć.

Ponieważ nie ma nic lepszego niż „seks na zgodę”, taki, który wypełnia pustkę i leczy rany. Ostry, szaleńczy i gwałtowny; jakbyśmy kochali się po raz pierwszy. I, być może, po raz ostatni.

Nie w łóżku, gdziekolwiek, byle nie w łóżku. Może przy ścianie. Ja, twarzą do ściany, z rękami nad głową, jakbym próbowała ją podtrzymać, żeby nie zwała się nam na głowy, ze spódnicą podciągniętą na biodra, opuszczonymi majtkami, stoję na palcach. Jack wchodzi we mnie od tyłu, a jedyne, co przychodzi mi do głowy, to: „Rznij mnie, Jack. Mocno”.

Chyba czyta w moich myślach, bo robi to, o co go proszę. Staję jeszcze wyżej na palcach, tak by wszedł głębiej, i czuję, jak uginają się pode mną kolana.

Pochyliam się nad stolikiem, a Jack znowu bierze mnie od tyłu. Nie na pieska, na żabę, kucając, z rękami na moim krzyżu. Rznij mnie mocno i głęboko. Mam wrażenie, że jego kutas przebija się przez cipkę i wwierci w stół, niczym żywa wibrowiertarka. Sprawi, że utkniemy tam na dobre. Będziemy się rznąć, przygwożdżeni do stolika.

Pieprzymy się na kuchennym blacie. Przewieszam nogi przez ramiona Jacka. Tym razem to on stoi na palcach, tak by wchodzić we mnie pod odpowiednim kątem. Kołyszę się w przód i w tył, a on wbija się we mnie; boję się, że lada chwila spadnę. Sięgam rękami do tyłu, szukając oparcia. Natrafiam palcami na ścianę i przymocowaną do niej półkę na przyprawy. Chwytam się jej, ale urywa się niemal natychmiast i przyprawy rozsypują się na blat. Jack nie przestaje mnie pieprzyć, a mój tyłek jest cały w kminie, imbirze, czosnku, soli i pieprzu. Marynuję się we własnych sokach, a moja pupa jest gotowa do pieczenia, ale zanim pozwolę Jackowi wstawić ciasto do mojego piekarnika, sama dochodzę kilka razy. Odbyt zaciska mi się i do środka dostaje się szczypta chilli. Ból jest nie do wytrzymania. Piecze mnie, a cipka płonie żywym ogniem. Płomienie ogarniają całe moje ciało i liżą mózg. Oboje spalamy się w ogniu miłości.

Leżę na plecach, na twardej podłodze. Obejmuję Jacka rękami i nogami, niczym małą piątka wiszące pod brzuchem matki. Jack pieprzy mnie z taką siłą, że mam ochotę krzyknąć, ale zamiast tego wbijam paznokcie w jego plecy i przesuwam je w kierunku ramion. Mam wrażenie, że drapię go do krwi, ale chyba jest mu dobrze, bo jego pchnięcia stają się jeszcze bardziej brutalne. Przemierzamy tak cały korytarz, od drzwi wejściowych do łazienki, i gdy oboje szczytujemy, czuję na plecach piekące otarcia.

Moje fantazje są niczym filmy, które oglądam na podglądzie, zmieniając kanały porno w pokoju hotelowym i podniecając się zapowiedziami. Przeglądam je i onanizuję się do utraty tchu. Aż bołą mnie palce i cipka. Aż czuję, że nie jestem w stanie znieść więcej rozkoszy. I czuję się zbrukana.



Leżę na łóżku, pośród wilgotnej pościeli. Moje ciało jest wycieńczone, myśli dryfują gdzieś między półsnem a nieświadomością. Pamiętam, że ubiegłej nocy miałam dziwny sen. Przynajmniej myślę, że to był sen. Ale nie jestem pewna i nie znam sposobu, żeby się o tym przekonać. Mam jedynie wspomnienia i przeczucie, że wiem.

Pamiętam, że tuż przed zaśnięciem usłyszałam dudnienie. Niski, głęboki dźwięk wielkiego bębna; powolny, uporczywy, rozbrzmiewający niczym szum oceanu. Słyszę go z oddali, a później coraz bliżej, aż w końcu czuję na sobie, jakby pełzał po moim ciele, od stóp aż po czubek głowy.

Wibracje falami przechodzą przez moje ciało; towarzyszy im ciepłe, przyjemne mrowienie. W palcach u rąk i stóp, wzdłuż ramion i nóg, w brzuchu.

I nagle bęben zaczyna dudnić gdzieś we mnie, niczym nieprzerwane pulsowanie między nogami, bicie serca, które z każdą chwilą przybiera na sile. Aż galaktyka gwiazd eksploduje mi przed oczami. Szybuję pośród nich, wiruję niczym żyroskop, kręcę się w jedną stronę, a zaraz potem w drugą. A może to gwiazdy przelatują przeze mnie, bo stoję w miejscu i nie mogę się ruszyć. Jestem we wnętrzu swojego ciała, a jednocześnie poza nim. Jestem galaktyką gwiazd.

Nagle wszystko ogarnia ciemność. Czarna jak atrament. Jakby ktoś zgasił światła w całym wszechświecie. Jestem w przestrzeni, która nie ma początku ani końca. Nie ma w niej światła. Ani dźwięku. Jestem odrętwiała. Nieruchoma.

Czuję, jak ktoś szarpie mnie za pizamę. Nie walczę, nie boję się. Pozwalam, by ją ze mnie zdjął.

Jestem niesiona, naga, w ramionach mężczyzny, niczym dziecko w ramionach tak wielkich, że zdają się oplatać całe moje ciało. Tak owłosionych, że czuję się, jakby otulało mnie miękkie futro z piór. W tych ramionach ciskam się i miotam niczym łódź na wodach oceanu, ale jest mi ciepło i czuję się bezpieczna – nigdy dotąd nie czułam się tak bezpieczna.

Uświadamiam sobie, że jest mi ciepło nie dlatego, że otulają mnie owłosione ręce, i nie dlatego, że czuję się bezpieczna, ale dlatego, że padają na mnie promienie słońca. Cudownego późnopołudniowego słońca, wciąż jasnego i wiszącego wysoko na niebie. Oślepia mnie białe światło. Spowija mnie biały żar.

Znowu czuję miarowe pulsowanie w kroczu, ale umysł mam jasny. Jasny, skupiony i świadomy. Wszędzie dookoła słyszę głosy. Drwią ze mnie i drażnią się ze mną. Nagle czuję się obnażona i wstydzę się swojej nagości. Chcę się czymś okryć i zniknąć. Jednak nie mam nic pod ręką, tylko słońce. Tak więc chwytam je i owijam się nim jak rękawiczką. Znowu wszystko pogrąża się w ciemności i zaczynam drzeć.

Obudziłam się i gdy zobaczyłam, że Jacka nie ma, poczułam się smutna, samotna i niespokojna. Dlatego zaczęłam się dotykać.



Jack wraca do domu dopiero przed północą. Jestem pewna, że wszystko po to, żeby zrobić mi na złość. Słyszając, że otwiera drzwi, biegnę mu na spotkanie. Próbuje go objąć, ale mnie odpycha.

– Musimy porozmawiać, Catherine – mówi beznamiętnie.

Ogarnia mnie przerażenie. Wciąż jest zły i nie wiem, czego się spodziewać.

Wchodzi do salonu i siada na skraju kanapy, splata dłonie i się pochyla. Siadam na drugim końcu. Jestem jak dziecko, które czeka, aż zostanie zbesztane.

– Myślę, że powinniśmy od siebie odpocząć – mówi.

Nawet na mnie nie patrzy.

Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch. Jakby cały mój świat legł w gruzach.

Łamiącym się głosem mówię, że nie rozumiem.

– Dlaczego? – pytam.

– Ostatnio dziwnie się zachowujesz – odpowiada.

– Jak to?

– Wiesz, o czym mówię.

Naprawdę nie wiem, o co mu chodzi. Zaczynam panikować, bo odsunął mnie od siebie i wiem, że za nic w świecie nie zmieni zdania.

– Co takiego zrobiłam? – pytam.

– Jeśli nie wiesz, nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Proszę, Jack. Nie bądź taki – błagam. Łzy napływają mi do oczu, ale staram się nie rozklejać. – Możemy o tym porozmawiać? Co zrobiłam nie tak?

– Przez najbliższe kilka tygodni będę często poza domem – oznajmia. – To dobry czas, żeby od siebie odpocząć.

Mówi tak, bo podjął już decyzję i nie chce, żebym próbowała go przekonać.

– Jack, proszę... – Płaczę i błagam go przez łzy.

Nie rusza się.

– Jutro wyjeżdżam – rzuca.

Wcześniej nic o tym nie mówił.

– Na jak długo? – pytam, szlochając.

– Na kilka dni.

To wszystko, co ma mi do powiedzenia.

– Nie rozstajemy się – tłumaczy. – Po prostu potrzebuję trochę przestrzeni.

– Dobrze – mamroczę. Nie podoba mi się to, ale nie mam wyboru. Poza tym nie chcę naciskać i jeszcze bardziej pogarszać sytuacji.

– Będę dziś spał na kanapie – zapowiada.

Nie chcę spać sama, ale wiem, że nie uda mi się go przekonać.

Zasypiam, płacząc, a kiedy się budzę, Jacka już nie ma.

Bez niego mieszkanie jest takie puste.



Jeśli nigdy nie słyszeliście o Fabryce Rżnięcia, prawdopodobnie nie wiecie, że coś takiego w ogóle istnieje.

A nawet jeśli, sądząc po nazwie, domyślacie się, co to za miejsce – co, umówmy się, wcale nie jest takie trudne – nie macie pojęcia, co się tam dzieje.

W najśmielszych snach nie przyszłoby wam to do głowy.

Jeśli nie wiecie o jego istnieniu i nie macie pojęcia, co się tam wyprawia, prawdopodobnie lepiej, żeby tak zostało. Ale skoro zabrnęliście tak daleko... A co tam, i tak wam powiem.

To seksklub. Seksklub, który w swoim czasie owiany był najgorszą sławą.

Jeśli jakimś sposobem słyszeliście o Fabryce Rżnięcia i chcielibyście tam pójść, ale nie wiecie, gdzie ją znaleźć, nie próbujcie szukać, bo nigdy nie znajdziecie.



Anna i ja stoimy na zewnątrz opuszczonego, na wpół wyburzonego magazynu w dzielnicy miasta, w której nigdy wcześniej nie byłam. Nie miałam powodów, żeby się tam wybierać, tak jak nie ma ich nikt inny.

Nawet taksówkarz, który nas przywiózł, nie wiedział, dokąd jechać, i przez dwadzieścia minut kręcił się w kółko, próbując znaleźć właściwy porzucony magazyn w miejscu, gdzie są same porzucone budynki. Z jakiegoś powodu ulice w okolicy nie mają nazw. Nie ma tu ulic ani alei, północy, zachodu, wschodu ani południa. Tylko ciąg liczb, jak na stronie, na której można zobaczyć Annę.

Ale jesteśmy na miejscu. Księżyc wisi nisko na niebie, a w powietrzu czuć chłód, co jest dość niespotykane jak na tę porę roku. Jest mi cholernie zimno w związanej na brzuchu dzinsowej koszuli, skąpych szortach, które niemal zupełnie odsłaniają pośladki – równie dobrze mogłabym nosić skórzane spodnie kowbojskie z odkrytym tyłkiem – z gołymi nogami i w butach na obcasach, w których na tym gruzowisku z trudnością utrzymuję równowagę. Stoję na rogu ulicy, wyglądam jak dziwka i czuję się prawie zupełnie naga.



Jack i ja robimy sobie przerwę. Dla mnie brzmi to jak wymyślny sposób poinformowania mnie, że ze sobą zrywamy. Ale jest jeszcze gorzej. Boli jak zerwanie, tyle że bez zerwania.

Anna dzwoni i pyta, czy chcę z nią iść do Fabryki Rżnięcia, i nie ma nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać. Czego chce ode mnie Jack? Żeby siedziała w domu i użalała się nad sobą? To nie w moim stylu.

Fabryka Rżnięcia to ulubiony klub Anny. Jedyne miejsce, gdzie naprawdę czuje się jak w domu, znajduje spokój i może pobyć z ludźmi jej pokroju. Mówi, że chce mnie tam zabrać, żebym zrozumiała, kim jest i dlaczego robi to, co robi.

Dziś w klubie jest „sinoczarny” wieczór i Anna zapewnia mnie trzy czy cztery razy, że nie ma to nic wspólnego z tym, jak będą wyglądać nasze ciała po wyjściu z klubu.

– To przepisowy strój, głuptasie – tłumaczy.

Skóra i dzins. I nic poza tym. Żadnej bawełny, sztucznego jedwabiu, poliestru czy spandeksu.

Tyle że ja oszukuję.

Ukrywam pod dżinsem stanik i majtki.

Anna nie wie. A jeśli nawet wie, nie mówi nic na ten temat.

Przyszła do mnie do mieszkania. Razem szykowałyśmy się do wyjścia. Przyniosła też coś dla mnie, bo nosimy mniej więcej ten sam rozmiar. Uparła się, że mam się ubrać zgodnie z przepisami.

– Należy przestrzegać zasad – tłumaczyła. – To jedyna zasada, jaka obowiązuje w tym miejscu.

Ja również byłam uparta – do diabła z przepisowym strojem – i skromność wzięła górę. Tak więc włożyłam majtki i stanik, kiedy nie patrzyła.

Kazała mi spojrzeć na siebie w lustrze, a sama stanęła za mną z rękami na moich biodrach i uśmiechnęła się z zadowoleniem – znak, że dobrze wykonałam zadanie.

Ja jednak myślałam wyłącznie o tym, że wyglądam tandetnie i zdzirowato, jak młode gwiazdki filmu, które chcą trafić na okładkę „Maxima”, ale Anna przyjrzała się mi i stwierdziła:

– Przeleciałabym cię.

Zaraz potem znalazłam pretekst, żeby pójść do łazienki, gdzie z powrotem włożyłam bieliznę – stringi i balkonetkę. Obejrzałam pupę w lustrze, żeby mieć pewność, że nie widać mi majtek, i zapięłam dodatkowy guzik koszuli, tak że rowek między piersiami był nadal widoczny, ale to, co je podtrzymywało, już nie.

Anna grała zgodnie z zasadami. Wybrała czarny skórzany kombinezon, który leżał na niej jak druga skóra. Był zapinany na zamek, który biegł od szyi w dół i znikał między nogami. Nie mogła włożyć bielizny, nawet gdyby chciała, ponieważ popsułoby to cały efekt. Poza tym rozpięła zamek niemal do pępka, praktycznie odsłaniając piersi.

Kiedy poprawiała makijaż, spytałam, czego mam się spodziewać.

– Nie jest to elegancki bal – odparła. – To miejsce, do którego ludzie przychodzą się pieprzyć. Rozglądasz się, badasz grunt, decydujesz, co ci się podoba, i dołączasz do zabawy. Nic wielkiego.

Anna mówi, że Fabryka Rżnięcia to legendarne miejsce. Powstało, jeszcze zanim przyszła na świat. Zamykano je częściej niż Lindsay Lohan i Paris Hilton razem wzięte, z różnych powodów, jakie tylko można sobie wyobrazić. Za każdym razem klub przenosi się w inne miejsce i zaczyna swą działalność od nowa, z dala od ugłaskanego społeczeństwa i cywilizacji, tam gdzie może istnieć bez obaw, że jego bywalcy będą nękani i prześladowani.

Teraz przeniósł się tu.



Gdyby istniało miejsce o nazwie Nigdzie, prawdopodobnie wyglądałoby właśnie tak. Jak strefa działań wojennych. Jak zdjęcia zrujnowanego miasta gdzieś na drugim końcu świata, w kraju, który pozostaje w stanie wojny. Albo dawno zapomniane ruiny zaginionej cywilizacji. Wyludnione miasto. Puste ulice. Zbombardowane, ledwie stojące budynki. Żadnych mieszkańców. Żadnych śladów życia.

Właśnie tak tu jest. Upiornie i przerażająco. Jesteśmy dwiema dziewczynami stojącymi na skraju miasta. Nic nie wskazuje na to, że mieści się tutaj jakiś klub. Nie ma żadnego znaku. Żadnych ludzi. Niczego, co świadczyłoby o tym, że cokolwiek tu jest. Tylko coś, co wygląda jak graffiti. Równie prymitywne jak malowidła jaskiniowe z okresu paleolitu. Albo rysunki, które często widuje się na ścianach toalet.

Ogromny penis z jajami i skapującą z czubka kroplą spermy.

Białe plamy na czarnej od brudu ścianie. Pod nim dostrzegam nogi uniesione na kształt

lity V, jak diabelskie rogi. Przypominają nogi Anny przywiązanej do toalety w filmie, który widziałam na stronie internetowej. Między nogami jest dziura. Prymitywny rysunek waginy. Z zębami. Mnóstwem małych, ostrych zębów. Jeszcze niżej widzę strzałkę skierowaną w dół, na strome kamienne schody, które prowadzą pod ulicę.

Idąc po nich prosto w mrok, wyobrażam sobie, czym pachnie w Fabryce Rżnięcia. Może – jak w starym piwnicznym barze – wilgocią, pleśnią i słodczą alkoholi pitego w zamkniętej przestrzeni. Z każdym kolejnym krokiem czuję, jak gęstnieje wokół nas powietrze przesiąknięte wonią tajemnicy i dewiacji.

W końcu docieramy do nieoznakowanych czarnych drzwi, które przywodzą na myśl bramę do krainy cieni. Anna puka dwa razy i po krótkiej przerwie jeszcze trzy razy. Drzwi się otwierają. W środku jest prawie tak ciemno jak na zewnątrz. Potrzebuję czasu, żeby oczy przyzwyczyły się do półmroku. Tajemniczy ocieślały mężczyzna, jakich zwykle widuje się przed wejściem do lokali, bez słowa wpuszcza nas do środka.

Idę za Anną długim, wąskim korytarzem, którego ściany są tak blisko siebie, że można tu iść wyłącznie gęsiego – jak wejście do katakumb – i dalej schodami w dół. Znajdujemy się pod miastem. Mam wrażenie, że zeszyliśmy tak nisko, że przekopaliśmy się do jednego z kręgów piekła.

Stoimy przed ciężkimi stalowymi drzwiami pomalowanymi brudnozieloną farbą. Anna znowu puka i drzwi otwiera nam kolejny zwalisty mężczyzna.

Pierwsze, co mnie uderza, to zapach. Zamiast zwietrzałego alkoholu i pleśni czuję woń seksu – napalonych ciał, które wpadają na siebie i się łączą.

Kolejną rzeczą jest powietrze. Mokre i wilgotne. Takie, że człowiek od razu zaczyna się pocić.

Trzecią rzeczą jest dźwięk. Techno. Bo czymże jest klub bez muzyki techno, zwłaszcza niemieckiego techno? Niemieckiego gabber techno, które rozdziera uszy. Ogłupiającej muzyki, idealnej do pieprzenia się.

Wchodzimy do wielkiego prostokątnego pomieszczenia ze ścianami z cegły, barem po jednej stronie i stropem tak niskim, że wydaje się na wyciągnięcie ręki. Pełno tu rozmaitych dziwaków. Ludzi, którzy wyglądają jak dziwacy, i takich, którzy są dziwni z natury i zachowania. Wszyscy razem tworzą dość osobliwą zbieraninę. Mam wrażenie, że ściągnęli tu odmienicy z całego świata. Oni sami chyba nie mają pojęcia dlaczego. Wiedzą tylko, że tu jest ich miejsce. Tu nikt nie będzie ich osądzał, potępiał ani dziwnie się na nich patrzył. Tu mogą zaspokoić wszystkie swoje pragnienia.

Na obu końcach baru stoją dwie wielkie klatki, takie, w których zwykle trzyma się chomiki, tylko znacznie większe. W jednej siedzi naga dziewczyna, w drugiej chłopak. Przymocowane do prętów tacki na jedzenie i poidelka są puste. Stojący na barze nagi karzeł w cylindrze obrzuca dziewczynę orzechami ziemnymi.

Naprzeciw baru znajdują się łukowate przejścia prowadzące do innych części klubu.

– Tam dopiero zaczyna się zabawa – informuje mnie Anna. – Kiedy stąd wyjdiesz, trafisz do prawdziwego labiryntu. Łatwo się tam zgubić i człowiek ma wrażenie, że już nigdy nie znajdzie drogi.

Rozglądam się i powtarzam sobie, że to jeden z tych klubów, które często widuje się w filmach. Jest tu głośna, dudniąca muzyka, mrok i dziwacy, którzy nie wyglądają jak zwykli ludzie, którzy prawie w ogóle nie wyglądają jak ludzie. Główny bohater rozpaczliwie szuka czegoś albo kogoś, od kogo zależy powodzenie jego misji, ale to oczywiście, że to nie jest jego miejsce i nawet nie chce tu być.

Bohater, zwykle mężczyzna, jest spięty, oszczędny w słowach i zdecydowanie

heteroseksualny. Jak męska wersja Severine.

Klub przypomina burdel, w którym pracowała Severine. Miejsce, gdzie można popuścić wodze wyobraźni i wszelkie perwersje znajdują swoje spełnienie, niekontrolowane przez prawo, moralność i ludzi. To ogromne zagrożenie dla jego męskości i pozornie uporządkowanego życia.

Nikt go jednak nie przeleci. Nikt nie poda w wątpliwość jego męskości i nasz bohater opuści to miejsce bez szwanku.

Choć może ktoś się nim pobawi.

Z drugiej strony to, co widzę, nie przypomina sceny z żadnego filmu. Ponieważ sceny klubowe w filmach kręcone są przez ludzi, których noga nigdy nie powstała w prawdziwym klubie. Po prostu wymyślili to miejsce na potrzeby swojego głupiego filmu, po to żeby bohater mógł przechadzać się między dziwadłami bez poczucia smaku, tańczącymi niczym szaleńcy do najgorszej muzyki klubowej, jaką w życiu słyszeliście.

Ludzie kręcący sceny klubowe w filmach nigdy nie byli w tym klubie ani żadnym innym. Fabryka Rżnięcia to miejsce, w którym ludzi definiuje się na podstawie ich dziwactw, fetyszów i pragnień. Poza tym nic się nie liczy. Nikogo nie obchodzi, czy jesteś młody, czy stary, kim jesteś i czym zajmujesz się na co dzień, czy jesteś dozorcą, czy dyrektorem generalnym.



– Chcę, żebyś poznała Kubricka – mówi Anna i ciągnie mnie w stronę opartego o bar starszego mężczyzny. Kubrick jest właścicielem i menedżerem klubu. Nie Stanley, Larry; wszyscy mówią na niego Kubrick. Jest niski, gruby, łysy i pedziowaty, a do tego wygląda jak Żyd. Jest przykładem na to, że są ludzie, którzy zamiast dostać od życia jedną kiepską kartę, dostają od razu całą talię. Jednak Kubrick nie przejmuje się i wygląda na szczęśliwego.

Ma przyjemny uśmiech i miły sposób bycia. Wygląda na nieszkodliwego z długą, białą jak śnieg brodą i puszystymi siwymi włosami na całym ciele – na ramionach, piersi, brzuchu wielkim jak piłka plażowa, nie obwisłym, ale twardym i naprężonym jak mięsień. Przypomina Świętego Mikołaja. Gdyby Święty Mikołaj zamienił czerwony, obsyty futrem płaszcz na czarną skórzaną kamizelkę i wyciął sobie na piersi słowo SADYSTA.

Kubrick ma wycięte na piersi słowo SADYSTA, które wygląda, jakby ktoś je wrył otwieraczem do konserw. Jest zapisane dużymi poszarpanymi literami, które rozciągają się na jego torsie, między szyją a sutkami. Zastanawiam się, czy naprawdę jest sadystą, czy może ma nierówno pod sufitem, bo wycięcie czegoś takiego musiało boleć jak diabli.

Fabryka Rżnięcia jest jego miejscem, jego wymysłem i happeningiem. Panseksualnym laboratorium zmysłowych uciech, gdzie wszystko jest możliwe. Są tu rzeczy, których – choć trudno w to uwierzyć – nie zobaczycie nawet w internecie.

Jeśli zamierzacie nazwać swój klub Fabryką Rżnięcia, lepiej dopilnujcie, żeby był godny swojej nazwy. Kubrick najwyraźniej nie ma co do tego żadnych wątpliwości, bo wita mnie słowami:

– Mówię ci, kotku, to najlepszy seksklub na świecie. Nie ma drugiego takiego. Nazywa mnie „kotkiem”. O Annie mówi „ta tu”.

Jego potężne, mięsiste ramiona obejmują ją w talii i przyciągają do siebie, tak że piersiami ociera się o jego pierś. Ma ramiona jak szynki, a przedramiona jak kreskówkowy Popeye. Na jednym widzę niebieski tatuaż marynarza, na drugim dziwaczny symbol przypominający sigil albo piktogram, którego nie jestem w stanie rozpoznać.

Ściska Annę i mówi:

– Ta tu nie ma pojęcia, kiedy przestać. – Wybucho śmiechem i daje jej klapsa. Zaskoczona Anna wzdryga się i zaczyna chichotać. Kładzie mi rękę na piersi.

– Ma na imię Catherine – przedstawia mnie. – Jest tu pierwszy raz.
– Tak? – pyta Kubrick z udawanym zaskoczeniem. – Nie masz się czym przejmować, kotku – zwraca się do mnie. – Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi.
Nie jestem tego taka pewna, ale to, co mówi, brzmi szczerze.
– Zajrzyj w głąb siebie – ciągnie. – Podążaj za tym, czego chce twoje serce i czego pożąda ciało, a znajdziesz to.
Ni stąd, ni zowąd zaczyna mówić jak mistrz zen i udziela mi rad jak guru New Age.
Splata ręce na brzuchu, przez co jeszcze bardziej przypomina mędrca.
– To żaden sekret – mówi. – Jedyne, co powinnaś wiedzieć, to to, że każdy musi pieprzyć albo być pieprzonym. Oto cała filozofia.
Może nie brzmi jak hinduski guru Deepak Chopra, ale chyba wiem, o co mu chodzi.
Krótko mówiąc, filozofia Kubricka opiera się na doktrynach:
Każdy jest mile widziany.
Pieprz jednego, pieprz wszystkich.
Pieprz się, z kim chcesz i jakkolwiek chcesz.
To jedyne obowiązujące prawo.
– Jedno muszę ci powiedzieć – dodaje Kubrick, pochylając się w moją stronę i wskazując za siebie. – Trzymaj się z dala od karła.
Spoglądam ponad jego ramieniem na karła, który klęczy na szczycie klatki i warczy jak pies. Zamknięta w niej dziewczyna kuli się w kącie na posłaniu ze słomy.
– Dlaczego? – pytam. – Wydaje się nieszkodliwy.
– Jest naprawdę napalony – odpowiada Kubrick. – Może nie ma się czym pochwalić, ale nie znaczy to, że nie będzie próbował. Problem z karłami polega na tym, że wydaje im się, że są prawdziwymi macho, i nigdy nie robią nic na pół gwizdka. Więc albo się nad sobą użalają, albo chcą wyruchać cały świat. A ten tu to prawdziwy sadysta.
Znowu zerkam na karła, który wsparty na jednej ręce, w drugiej trzyma kutasa i sika przez kraty do wnętrza klatki. Biedna dziewczyna biega na czworakach tam i z powrotem, próbując umknąć przed strumieniem moczu, jednak kiepsko jej to wychodzi.
Chyba wyglądam na zszokowaną, bo Anna mnie uspokaja:
– Nie przejmuj się, ona to lubi. W przeciwnym razie by tam nie siedziała.
– Dobra, dzieciaki. – Kubrick klaszcze w dłonie niczym opiekun na obozie wakacyjnym.
– Muszę zająć się klubem i przelecieć parę osób. Bawcie się dobrze.
Zeskakuje ze stołka barowego i patrzymy, jak odchodzi i znika w przejściu niczym Biały Królik.
Anna odwraca się do mnie i mówi:
– Nie zgadniesz, czym on się wcześniej zajmował.
Odpowiadam, że nie mam pojęcia.
– Zgaduj – rzuca.
– Był psychoterapeutą?
– Nie.
– Instruktozem fitnessu?
Kręci głową.
– Bibliotekarzem?
– Nie.
– Anestezjologiem?
Śmieje się.
To bez sensu, myślę.

– Poddaję się – mówię na głos. – Czym?

– Był księgowym.

Próbuję wyobrazić sobie Kubricka w trzyczęściowym garniturze, ślęczącego w biurze nad księgami rachunkowymi. I nie potrafię.

– Ale nie zwykłym księgowym – dodaje Anna. Pochyla się do mnie i szepcze: – Księgowym w CIA.



Z opowieści Anny dowiaduję się, że jako księgowy Kubrick prowadził zupełnie normalne życie. Miał dom na przedmieściach, żonę, ustabilizowane życie erotyczne. I nie miał dzieci.

Ale skrywał też pewien sekret. Wymykał się do garażu i walił gruchę, oglądając magazyny dla mięśniaków. Nie chodzi o to, że udawał hetero, podczas gdy tak naprawdę był gejem, albo że skłaniał się bardziej w jedną czy drugą stronę. Po prostu znudził go seks z żoną i szukał nowych podniet.

Zaczął się zastanawiać, co jeszcze mogłoby go kręcić. Postanowił dać się ponieść wyobraźni i zobaczyć, dokąd go zaprowadzi. Zaczął zbierać katalogi.

Nie katalogi z bielizną. To byłoby zbyt oczywiste i łatwe. Katalogi mebli ogrodowych, nasion, roślin zbożowych, ziaren, narzędzi dentystycznych, drewna, metali i betonu. Spełniał swoje zachcianki i zbierał wszystko, co wpadło mu w oko. Patrzył na zdjęcia i doszedł do wniosku, że potrafi snuć szczegółowe fantazje erotyczne, które obracały się wokół przedmiotów, im bardziej przyziemnych, tym lepiej, ponieważ Kubrick szkolił się w erotyzacji otaczającego go świata.

Uznał, że taki świat byłby znacznie bardziej ekscytującym miejscem, dzięki któremu mógłby zapomnieć o codziennej harówce i zwykłym podmiejskim życiu. Byłby nawet lepszy od brandzlowania się w garażu.

Oto jak Kubrick znalazł swoje powołanie. Jako fetyszysta.

Koniec końców miał całą bibliotekę najdziwniejszych materiałów do walenia konia, jakie widział świat. Bibliotekę, która dla niewtajemniczonych wyglądała jak osobliwy zbiór książek, jakie można znaleźć na pchlim targu. Wkrótce w garażu nie było już miejsca na kolejne książki, jednak Kubrick był tak związany ze swoją kolekcją, że zamiast ją przenieść albo zredukować, postanowił sprzedać samochód.

Pewnego dnia zaczął rozmawiać o swoich zbiorach z kolegą z pracy i obaj uświadomili sobie, że coś ich łączy. Dotarło do nich, że żyją w kłamstwie. I postanowili otworzyć klub, żeby rozwijać swoje zainteresowania.

Z początku spotykali się po godzinach w pomieszczeniu na tyłach budynku. Była ich zaledwie garstka, siedzieli przy piwie i dyskutowali o swoich fantazjach. Przypominało to grupową terapię dla sadystów i zбочeńców. Niezwykle spokojną i cywilizowaną. Aż pewnego wieczoru, kiedy Kubrick opowiadał o wyjątkowo drastycznej fantazji dotyczącej węża ogrodowego, zraszacza i obornika, siedzący naprzeciw niego facet, który niedawno dołączył do grupy, wyjął penisa i zaczął się masturbować. Zamiast powiedzieć mu, żeby przestał, Kubrick mówił dalej, nie wierząc własnym oczom. Od tej chwili miał nowe wyzwanie. Chciał się przekonać, czy doprowadzi kolesia do orgazmu.

W miarę jak kontynuował swą opowieść, kolejni faceci w pokoju rozpinali rozporki i niebawem Kubrick próbował doprowadzić do orgazmu wszystkich swoich kolegów wyłącznie dzięki potędze swej wyobraźni. Nigdy w życiu nie był tak podniecony. Czuł się znacznie lepiej niż wtedy, gdy walił konia, przeglądając katalogi środków czyszczących, biżuterii i narzędzi z napędem elektrycznym.

Na kolejne spotkanie kilku facetów przyprowadziło swoje sekretarki i stażystki. Kiedy Kubrick siedział w środku koła i snuł swoje opowieści, zaczęli robić coś więcej, niż tylko się brandzlować. Grupa Kubricka szybko przerodziła się w grupę wsparcia dla seksoholików, w której nie stroniono od seksu, a wręcz do niego zachęcano. Ludzie zaczęli się przebierać i przynosić rekwizyty, a scenki, które odgrywali, z czasem stały się coraz bardziej wymyślne i rozbudowane.

Rozeszły się pogłoski i coraz więcej urzędników państwowych chciało się przyłączyć. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Coraz trudniej było utrzymać wszystko w tajemnicy. Mniej więcej w tym samym czasie Kubrick doszedł do wniosku, że ma dość fałszowania rachunków dla rządu, żeby ten mógł prowadzić swoje brudne wojny w odległych krajach całego świata, a potem wskazywał księgowych i żądał, by publicznie wszystkiemu zaprzeczali. Zdecydował, że poświęci się swojej prawdziwej pasji i będzie pomagał ludziom odkrywać i aktywować ich perwersje.

Nie bardzo wierzę w to, co słyszę, więc przerywam Annie i mówię:

– Chcesz powiedzieć, że tak właśnie powstała Fabryka Rżnięcia? Jako działający po godzinach seksklub z siedzibą w Langley?

– Chyba tak – przyznaje. Milknie na kilka sekund, jakby pogrążyła się w rozmyślaniach. Chwilę później dodaje: – Wiesz, że najwięksi dziwacy pracują dla rządu.

Mówi, że Kubrick nadal ma tam koneksje.

– Nie uwierzysz, jacy ludzie tu przychodzą – ciągnie.

Czekam, aż mi powie, ale tego nie robi, a ja nie pytam, bo nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć. Nie denerwuje mnie to, co od niej usłyszałam, ale całokształt tego, czego dowiedziałam się o tych, którzy mają władzę, i tym, co naprawdę dzieje się za zamkniętymi drzwiami rządowych budynków.



Jestem w Fabryce Rżnięcia i czuję się jak Al Pacino w *Zadaniu specjalnym*. Jestem jak Al Pacino, który udaje geja. I wysyła błędne sygnały.

Żółta chusteczka w lewej tylnej kieszeni: lubisz sikać na innych.

Żółta chusteczka w prawej tylnej kieszeni: lubisz, kiedy inni sikają na ciebie.

Wysyłam błędne sygnały, nie wiedząc nawet, że jakiegokolwiek wysyłam, i zauważam kolesia, który przygląda mi się z drugiego końca baru. To młody blondyn, z gołą klatką piersiową, umięśniony i nieprzyzwoicie przystojny, z fryzurą na pazia, w której każdy inny facet wyglądałby śmiesznie, i idealnym ciałem. Wygląda jak model, który nawet w najgłębszych ciuchach jest do tego stopnia opanowany, że i tak przyciąga uwagę. Stoi oparty o bar, z łokciami na kontuarze, w rozkroku, by jeszcze bardziej podkreślić zawartość obcisłych skórzanych spodni.

Nie jest w moim typie i nie przepadam za blondynami, ale jego swoboda i pewność siebie sprawiają, że nie mogę oderwać od niego wzroku. Widzę, że dokładnie o to mu chodzi.

Spogląda na mnie chłodno, niczym lew na swoją ofiarę, czekając na odpowiednią chwilę, by się na nią rzucić. Choć stoi bez ruchu, mam wrażenie, że rozpoczął polowanie. Chce, żebym wiedziała, że czai się w pobliżu, że mnie sobie upatrzył i kontroluje mnie swoim spojrzeniem.

Tymczasem ja chcę, by wiedział, że nie jestem łatwa, że nie jestem sama i mam wsparcie, dlatego odwracam się, by porozmawiać z Anną. Tyle że jej już nie ma. Przerazona rozglądam się po pomieszczeniu, ale nigdzie jej nie widzę. Spoglądam za siebie. Blondyn nadal się na mnie gapi. Wie, że jestem bezbronna i nie mam się gdzie ukryć. Postanawiam, zanim cokolwiek zrobi, schronić się w łazience, z nadzieją, że może tam znajdę Annę.

W normalnych okolicznościach byłoby to świetne posunięcie, ponieważ damska toaleta jest jak klasztor, jak świątynia oferująca słabej płci schronienie. To miejsce, w którym można się

zwierzyć, gdzie najskrytsze tajemnice wychodzą na światło dzienne, i do którego mężczyźni nie mają wstępu.

Jest tylko jeden problem. Łazienka w Fabryce Rżnięcia jest koedukacyjna. I, prawdę mówiąc, nie tyle jest to łazienka, ile wymówka dla tych, którzy lubią sporty wodne i anonimowy seks. Na środku stoi koryto dostosowane do potrzeb ludzi, którzy chcą się wysikać, wykapać albo połączyć jedno z drugim, tak jak robią to niektórzy. Kabiny znajdują się po obu stronach łazienki; jest ich dwadzieścia albo trzydzieści i wszystkie mają dziury w drzwiach – jak te w szafie Marcusa – z których wystają części ciał. Potrzebuję chwili, by się rozejrzeć, przypatrzeć się wszystkiemu i stwierdzić, że nie jest to schronienie, jakiego szukałam.

Wychodzę z łazienki wprost na skąpo oświetlony korytarz, który prowadzi do głównej sali klubu. Jest tam, czeka na mnie w ciemnej wnęce.

Z początku go nie zauważam, ale kiedy przechodzę obok, wyciąga rękę i chwyta mnie za ramię.

Przyciąga mnie do siebie. Nie protestuję. Pozwalam, by mnie wziął.

Odwraca mnie i przyciska do ściany.

Ściska mnie w pasie i napiera na mnie ciałem.

Całuje mnie w usta, podczas gdy jego ręka błądzi po moim ciele, po plecach i ramionach.

Pochyla się, trąca mnie nosem niczym pies i znajduje to magiczne miejsce na mojej szyi, w połowie drogi między obojczykiem a uchem, strefę erogenną, którą wystarczy dotknąć, żebym otworzyła się niczym szkatułka. Jest mi tak dobrze, że jeszcze zanim dopamina dociera do mózgu, zastanawiam się, jak to zrobił.

Ukrywa nos za moim uchem i wciąga mój zapach. Jego usta, delikatne i wilgotne, błądzą po mojej szyi, język kreśli na mojej skórze przedziwne znaki, jakby czegoś poszukiwał. W końcu dotyka ucha i muska małżowinę, pozostawiając za sobą cieniutką nitkę śliny. Drażni płatek i kęsa go, jakby chciał, żebym przekonała się, jak ostre ma zęby.

Jęczę i słyszę, jak szepcze mi do ucha:

– Lubisz to. – Nie jest to pytanie, raczej stwierdzenie, bo dobrze wie, co robi, dokąd mnie zabiera i jak, jedną po drugiej, pokonać moje linie obrony.

Zanurza język głęboko w moim uchu, tak że robi się wilgotne. Znowu jęczę. Z rozkoszy i w zapomnieniu kręci mi się w głowie. Moje ciało drży, czekając, aż on znowu mnie dotknie.

On jednak każe mi czekać i wpycha mnie głębiej do wnęki. Tam, gdzie jest ciemno, intymnie i gdzie nikt nas nie zobaczy. Podnosi mnie i sadza na wąskiej półce, która biegnie wzdłuż tylnej ściany, na wysokości pasa.

Moje stopy ledwie dotykają podłogi. Obcasy drapią ją, próbując znaleźć oparcie dla nóg; zapieram się rękami i odchylam do tyłu, żeby nie spaść.

Ściana jest mokra od potu. Jakby całe ciepło i wilgoć zgromadziły się w tym maleńkim pomieszczeniu. Jednocześnie mam wrażenie, że jest tu zimno i duszno. Trzymam się tej myśli, bo czuję, że płonę od środka.

Widząc, że jestem bezbronna i nie stawiam oporu, jego żar się wzmaga. Staje się coraz bardziej zuchwały i coraz mniej delikatny.

Jego pożądanie jest niczym pies spuszczone ze smyczy.

Przyciska usta do moich ust i całuje mnie brutalnie, używając warg, języka i zębów.

Jego dłonie błądzą po moim ciele. Jedna zatapia się w moich włosach, druga wędruje pod koszulę i dotyka stanika. Przez materiał ugniata moją pierś. Palce muskają i szczypią brodawkę.

Czuję, jak nabiega krwią. Kurczy się i twardnieje. Jest tak wrażliwa, że zagryzam wargi, żeby nie krzyknąć, gdy ociera się o bawełnę.

Oddycham płytko i szybko. Słyszę własny jęk i to podnieca mnie jeszcze bardziej.

Trąca moją stopę, dając mi znać, że chce, bym stanęła w rozkroku, kolanem rozkłada mi nogi i przyciska udo do mojego krocza. Jego pachwina ociera się o moje udo i czuję, jaki jest twardy. Unoszę nogę i wypycham biodra do przodu, tak by mógł wejść głębiej między moje nogi.

Siedzę na skraju półki, która wrzyna mi się w tyłek. Czuję ból, ale nie dbam o to, bo mój kochanek pieprzy mnie swoim udem.

Opieram dłonie na jego piersi i szykuję się na to, co nastąpi za chwilę. Jest mi tak dobrze, że boję się, że oszaleję, i wiem, że nie kontroluję sytuacji.

Wydaje mi się, że z powodu gorąca, rozkoszy i bólu straciłam przytomność. Nagle widzę siebie. Widzę jego na sobie, zupełnie jakbym opuściła własne ciało.

Węzeł mojej koszuli jest rozwiązany.

Rozpięty biustonosz zwisa mi z ramion.

Piersi są nagie i śliskie od potu. Brodawki – różowe i nabrzmiałe.

Szorty wiszą na jednej nogawce. Druga noga jest owinięta wokół jego pasa.

Trzymam rękę w jego spodniach. Jestem wilgotna i reaguję drżeniem na każdy dotyk.

Czuję się tak, jakbym właśnie się obudziła. Wszystko jest zamazane i niewyraźne, a muzyka dociera do mnie z daleka.

Ale słyszę wyraźnie jego głos:

– A więc wcale nie jesteś taka grzeczna.

Mówi coś o mnie, czego wcale nie chcę wiedzieć. Mam wrażenie, że sobie ze mnie kpi.

Chwilę później wybucha nieprzyjemnym, złośliwym śmiechem, który działa na mnie jak policzek. Wraca mi świadomość. Znowu jestem w swoim ciele. Naga i zawstydzona. Nie chcę, żeby to trwało. Nie tu, nie teraz i nie tak.

Podnoszę głowę, patrzę ponad jego ramieniem i dopiero teraz dostrzegam, że nie jesteśmy sami.

Widzę ośmiu albo dziewięciu facetów w skórach. Mówią „facetów w skórach”, mam na myśli koleśków rodem z gejowskich pornosów z lat siedemdziesiątych. Wyjątkowo pięknych, szczupłych i umięśnionych. Tłoczą się przed wejściem do wnęki; dwóch albo trzech weszło już do środka. Ci, którzy stoją z tyłu, wyciągają szyje, przepychając się, żeby mieć lepszy widok.

Trzej stojący z przodu odchylają się, żeby zachować dystans między nami i nimi. Od pasa w górę wszyscy są nadzy. Rozpięte, opuszczone do bioder spodnie odsłaniają gęste ciemne włosy łonowe i wiszące nad rozporkami jaja. Wielkie, szorstkie, spocone dłonie pocierają wściekle sterczące członki.

Jestem kompletnie zbita z tropu i przerażona, bo nie wiem, czy brandzłują się na mój widok, czy to on tak na nich działa.

– Nie mogę – jęczę i delikatnie go odpycham. – Naprawdę muszę już iść. – Słyszę własny łamiący się głos. – Muszę znaleźć przyjaciółkę.

Jest zupełnie tak jak na planie filmowym, kiedy reżyser krzyczy: „Cięcie!”. Czar pryska i mężczyźni zaczynają się rozchodzić w poszukiwaniu nowych, bardziej satysfakcjonujących wrażeń. Ubieram się pospiesznie i bez słowa przepycham się między nimi.

Idę korytarzem, roztrzęsiona, zmęczona i podniecona; próbuję zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Część mnie chciała dokończyć to, co zaczęłam, ale się wystraszyłam. Zupełnie jak z szaleńczą jazdą na karuzeli w wesołym miasteczku, kiedy człowiek nagle uświadamia sobie, gdzie jest i co się zaraz wydarzy, a radosne podniecenie zmienia się w lęk.

Niczym bohater w filmowej scenie klubowej szukam kogoś. Szukam Anny.

Wydaje mi się, że wracam do głównej sali, do pomieszczenia z barem, gdy tak naprawdę idę w przeciwnym kierunku. Nagle uświadamiam sobie, że Anna miała rację, to miejsce jest jak

labirynt. Wszystkie przejścia wyglądają tak samo. Skręcam raz, drugi, trzeci i kompletnie się gubię. Idę wciąż w tym samym kierunku, z nadzieją, że rozpoznam jakiś szczegół, ale się mylę. I kiedy wydaje mi się, że już nigdy nie znajdę drogi powrotnej, skręcam za rogiem i widzę Annę. Nie można jej nie zauważyć. Wchodzę do ogromnego pomieszczenia pełnego ludzi, którzy myślą i poruszają się, jakby byli jednym ciałem, i działają instynktownie bez względu na to, czy chodzą, patrzą, czy się pieprzą.

Wysoka na dziewięć metrów i szeroka na dwanaście tylna ściana pomieszczenia służy jako ekran, na którym wyświetlany jest film z Anną w roli głównej. To jeden z jej klipów, które można znaleźć na stronie SODOMY. Tak przynajmniej mi się wydaje, bo nigdy wcześniej go nie widziałam. Anna ma odkryte piersi i oczy zasłonięte zawiązanym wokół głowy czarnym podkoszulkiem. Ale nie mam wątpliwości, że to ona. Poznają długie do ramion jasne włosy i jej ciało – zmysłowe, krągłe, blade i jakże delikatne.

Siedzi na ławce wykonanej z kilku nieheblowanych i nielakierowanych desek, zbitych razem bez dbałości o wygodę czy stabilność. Ręce ma rozłożone na oparciu i związane grubą, szorstką liną, której pętle zaciskają się wokół jej ciała – jedna tuż nad piersiami, druga wokół talii.

Nie wiem, co się wydarzyło do tej pory, ale tułów Anny jest zaczerwieniony, jakby została wychłostana. Głowa opada na pierś, a z otwartych ust sączy się ślina. Długa, gęsta nitka płwociny spływa między jej piersiami, gdzie ślady po chłóście są bardziej czerwone i sprawiają wrażenie bolesnych. Jej pierś z trudem unosi się i opada, jakby chwilę temu przebiegła maraton.

Patrzę na Annę i widzę Séverine, z przepaską na oczach, przywiązaną do drzewa, i uświadamiam sobie, że są takie same – dwie śmiertelne blondynki, niewolnice własnych żądz.

Odwracam się i widzę Annę – tę prawdziwą – kuczającą nago na platformie przed ścianą, na której odbywa się projekcja. Jest gwiazdą ekranu i sceny. Nie zauważyłam jej od razu, bo otacza ją tłum mężczyzn, którzy próbują zbliżyć się do niej, jak łowcy autografów otaczający młodą aktoreczkę w dniu premiery jej pierwszego wielkiego filmu. Jednak zamiast wymachiwać kartkami papieru i długopisami, machają jej przed nosem kutasami. A ona chwyta je, dbając o to, by każdy z nich dostał to, po co przyszedł, i żeby żaden nie odszedł rozczarowany.

Jej ciało lśni od potu i spermy. Twarz promienieje. Maluje się na niej ta sama ekstatyczna rozkosz, którą widziałam na filmie z wibrowiertarką.

Stoję tam, patrzę na to wszystko i uświadamiam sobie, że oglądać takie rzeczy na filmie to jedno, a widzieć je na własne oczy to zupełnie coś innego. Kiedy patrzysz, jak coś takiego przytrafia się najlepszej przyjaciółce, masz wrażenie, że to samo dzieje się z tobą.

Oto, co przychodzi mi do głowy, gdy widzę Annę osaczoną przez tych wszystkich oszalałych, napalonych facetów, pozbawioną ubrań, bezbronną i przekraczającą wszelkie granice. Rozpoznaję w niej siebie. Wydaje się taka spokojna, odprężona i beztroska, skupiona wyłącznie na sobie, własnym ciele i możliwościach. W całym tym chaosie ona jedna sprawuje kontrolę. I czerpie z tego nieopisaną rozkosz. Już samo patrzenie na nią powoduje, że się podniecam. W końcu uświadamiam sobie, że ja również chcę tam być, że od tej chwili nic już nie będzie takie samo. Już nigdy nie będę taka jak dotąd. W końcu przekroczyłam pewną granicę.



W snach jestem odważna. W snach bez końca odtwarzam to, co wydarzyło się w Fabryce Rżnięcia. I nie uciekam. Zostaję tam, gdzie jestem, z tyłkiem opartym o kamienną półkę i nogami oplecionymi wokół jego talii. Pozwalam, by mnie wziął.

Pozwalam, by mnie pieprzył, podczas gdy inni czekają na swoją kolej. Widzę, jak wpatrzeni we mnie plują na dłonie, pocierają kutasy i podchodzą coraz bliżej.

Czuję się jak hostessa w boksie na wyścigach samochodowych, otoczona na wpół nagimi mechanikami, którzy macają lśniące od oleju klucze nastawne. Ryk silników wypełnia mi uszy. Kręci mi się w głowie i jestem odurzona spalinami. Gotowa dać się pożreć pożądaniu tych facetów.

Niebawem dochodzą do wniosku, że nie zamierzają dłużej czekać, i wszyscy razem ruszają w moją stronę. Osaczają mnie. Wokół mnie wyrasta ściana mężczyzn, oszalałych, niepowstrzymanych, pragnących zwrócić moją uwagę.

Dźgają mnie sterczącymi pałami. Nagle mam wokół siebie więcej kutasów, niż jestem w stanie przyjąć. Tyle że nie wiem, co z nimi zrobić. Przytłacza mnie to i podnieca.

Oto co zrozumiałam:

W snach jestem bardziej jak Anna.

Chętna.

Chciałabym być taka jak ona.

Zachłanna.

Od tej chwili postanawiam, że będę bardziej jak ona.

Wyzwolona.



Dwa dni później Jack przychodzi po świeże ubrania. Nie było go tylko parę dni, ale i tak mam wrażenie, że wszystko się zmieniło i że do domu wszedł zupełnie obcy człowiek. Jest chłodny i nie wiem, jak to zmienić. Trzymam się z daleka, bo nie chcę go denerwować. Pół godziny później już go nie ma.

Prawie nie rozmawiamy. To znaczy on daje mi jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Oznajmia tylko, że wyjeżdża na tydzień, na drugi koniec stanu, żeby pomóc organizować ważną kampanię dla Boba. Do jakiejś zapadłej dziury, gdzie bezrobocie to norma, frekwencja w wyborach jest niska, a Bob musi dotrzeć do każdego potencjalnego wyborcy. Potrzebuje miejsca, żeby pokazać, że mu zależy. Najśmieszniejsze jest to, że wybrał jedno z tych miejsc, do których politycy jeżdżą tylko wtedy, kiedy zależy im na głosie. Potem znikają i wracają dopiero wtedy, gdy ubiegają się o reelekcję. Według mnie Bob wcale nie jest inny.

Niezależnie od tego, jak bardzo podziwia go Jack, bez względu na to, jak wielkie sukcesy odnosi, w jakim stopniu reprezentuje „nową” politykę i pomstuje na starą, musi grać według ustalonych zasad, w tę samą grę, w którą politycy grają od niepamiętnych czasów. Ponieważ reguły określono tak bardzo dawno temu, równie dobrze można by je było wykuć w kamieniu.

Ktoś tak ambitny i zdeterminowany jak Bob czasami może je nagiąć. Ale żaden polityk nie zmienia zasad gry, bo boi się, że wszystko popsuje i runie domek z kart, wtedy bowiem każdy zacznie dbać tylko o własną skórę. To gra, w której wszyscy przegrywają. Ponieważ polityka opiera się wyłącznie na przewadze.

W tej kwestii Jack i ja się różnimy.

W sprawach polityki on jest idealistą. A ja realistką.

W życiu on jest pragmatykiem. A ja fantastką.

Mówią, że przeciwieństwa się przyciągają. Tyle że w naszym przypadku jeszcze bardziej nas od siebie oddaliły. Rekompensuję sobie to, spędzając czas z Anną, ale to nie pomaga, bo wiem, że Jack by tego nie pochwalał, nawet jeśli nie powiedziałby tego na głos. Wiem, że nie podoba mu się to, jak szybko ja i Anna stałyśmy się sobie bliskie. Jego złość potęguje fakt, iż wie, że nigdy nie pozwolimy, by stał się częścią naszego małego świata.

Nie dlatego, że jej nie lubi. Bo wiem, że tak nie jest. Myślę, że Jack – jak każdy facet, który miał okazję poznać Annę – w głębi duszy marzy o tym, żeby ją przelecieć. Nie mam do niego pretensji; na jego miejscu też chciałabym ją zerżnąć. Gdyby był ciekaw i powiedział mi, że tego właśnie chce, nie zrobiłabym awantury i nie próbowałabym go powstrzymać. Wręcz zachęcałabym go do tego.

I chciałabym móc patrzeć.

Chciałabym patrzeć, jak Anna uwodzi mężczyznę swoim ciałem. Mojego mężczyznę.

Chciałabym patrzeć, jak Jack ją pieprzy. Patrzeć z zewnątrz na swoje własne życie seksualne.

Ja wiem, jak to jest być pieprzoną przez Jacka. Teraz chcę to zobaczyć. Chcę wizualnego dowodu na to, jak to jest.



Widzę ich razem. Samych. Nagich. W naszej sypialni – mojej i Jacka. Czuję jego zdenerwowanie, bo nigdy dotąd nie był z kimś takim jak Anna. Kimś tak opanowanym, świadomym swego ciała i drzemiącej w nim siły. Nigdy nie był z kimś tak świadomym własnej seksualności.

W sprawach seksu nie jestem żadnym ekspertem, ale nie jestem też naiwna. Gdy patrzę na penisa, wiem, kiedy sterczy. Wiem, jak go trzymać, co z nim robić i co z niego tryska. Znam ciało Jacka na wylot. Każdy jego milimetr, każde zagięcie i zaokrąglenie. Wiem, co lubi, tak jak wiem, kiedy i który nacisnąć przycisk, żeby było mu dobrze. Uważam jednak, że muszę się jeszcze wiele nauczyć i że mogę nauczyć się tego od Anny, obserwując każdy jej ruch.

Jack leży na łóżku, na plecach. Jest twardy, jak zawsze, a jego ciało jest sztywne i spięte, nie dlatego, że czeka go seks z Anną, ale z powodu nieśmiałości i zawstydzenia.

Anna pełza po jego ciele, tak jak w moich fantazjach Marcus pełza po mnie. Siada okrakiem na nogach Jacka i pochyla się nieco. Opiera jedną rękę na jego piersi, liże palce wskazujący i środkowy drugiej ręki i wkłada je między uda, nawet na chwilę nie przestając patrzeć na Jacka.

Opiera dłonie na jego piersi, podnosi się i leniwie ociera cipką o sterczący członek. Jej wargi sromowe rozchylają się jak płatki kwiatu, a kutas Jacka jest lśniący i śliski od jej soków.

Anna pochyla się, aż znajduje miejsce, gdzie czubek jego kutasa dotyka lechtaczki; jej ruchy stają się szybsze, tak by oboje czerpali z tego jak największą przyjemność. Przyciska penisa do cipki i kręci biodrami, ocierając się o niego. Słyszając jej przyspieszony oddech, Jack wydaje z siebie serię krótkich westchnień. Czuje, że z każdym ruchem staje się coraz bardziej wilgotna. Jej soki gromadzą się u nasady członka, spływają po mosznie i między udami.

Anna pochyla się, dotyka dłonią policzka i całuje go w usta, muska szyję i pierś. Jej pieszczoty są tak delikatne i tak szczere w swym oddaniu, że Jack odzyskuje spokój. Dynamika między nimi zaczyna się zmieniać. Jack na powrót staje się sobą. Odzyskuje dawną śmiałość i zdecydowanie – dwie rzeczy, które strasznie mnie w nim kręcą. Widać to po sposobie, w jaki jej

dotyka, po tym, jak steruje ciałem Anny, tak by przejąć nad nim kontrolę.

Patrzę na nich niczym wszechwiedzący obserwator, ponieważ widzę ich jednocześnie z różnej perspektywy. Jestem w samym środku akcji – czuję to co oni i na zawołanie mogę podróżować między ich ciałami – i poza nią, obserwując ich z zewnątrz.

Anna pochyla się na łóżku, podczas gdy Jack stoi na podłodze i posuwa ją od tyłu. Lewą ręką trzyma ją za włosy, jak doświadczony jeździec, który szarpiąc lejce, chce zmusić konia, by przeszedł od klusa do galopu – owija je sobie wokół dłoni, w drugiej ręce trzymając bat.

Szarpie ją za włosy z taką siłą, że naprężają się niczym struny, jakby zebrała je z tyłu głowy w ciasny kucyk. Jej głowa jest uniesiona, a wygięty w łuk kręgosłup tworzy dziwaczną literę J. Jack zamaszystym ruchem uderza ją w pośladki. Towarzyszący temu dźwięk przypomina plaśnięcie mokrego ręcznika w męskiej szatni.

Widzę, jak pupa Anny robi się coraz bardziej czerwona, za każdym razem, gdy Jack odsuwa rękę, by chwilę później znów ją uderzyć. Widzę, jak falują jej pośladki, kiedy w nią wchodzi. Widzę jego jaja, mokre i lepkie od potu i śluzu, objijające się o dużą, nabrzmiąłą łechtaczkę. Jego pchnięcia są tak mocne, że Anna miauczy jak kotka.

Jack ma wyraz twarzy, jakiego nigdy u niego nie widziałam – pełen skupienia i determinacji, jakby chciał zajeździć Annę na śmierć. Jakby zamierzał pieprzyć ją tak długo, aż jej ciało da za wygraną i się pod nim załamie.

Nawet wtedy będzie ją rznął, bez przerwy i bez litości, aż upadnie na twarz i znieruchomieje. Dopiero wówczas, niczym zwycięzca, wyciągnie twardego, mokrego, drżącego kutasa i zacznie się brandzlować, wściekle pocierając go dłonią.

Nigdy nie widziałam takiego Jacka. Nigdy nie był tak wulgarny, zwierzęcy i drapieżny. Pieprzy Annę tak, jak nigdy nie pieprzył mnie, jakby otworzyła ukryte w jego wnętrzu sekretne drzwi, tak samo jak zrobiła to ze mną.

Zobaczyłam wszystko, co chciałam zobaczyć. Dość mam już patrzenia. Teraz chcę się przyłączyć.

Widzę siebie razem z nimi. Nie jest to trójkąt, jakie widuje się w filmach porno, czy taki, o jakich fantazjują faceci, gdzie superogier z wielkim kutasem i językiem Gene'a Simmonsa jakimś cudem zaspokaja obie kobiety naraz, niczym cyrkowy atleta, który potrafi podnieść dwie dziewczyny siedzące mu na bicepsach. My dwie też nie jesteśmy napalonymi sukubami, które rzucają się na faceta, obezwładniają go, duszą, pieprzeniem zmuszają do uległości i kradną jego siły życiowe.

Nie. Jest inaczej. To coś więcej. To dzieje się naprawdę.

Widzę siebie z Jackiem i Anną, tworzących idealne koło.

Leżymy na boku, z twarzami ukrytymi w krocach naszych partnerów. Ja obciążam Jackowi, który liże cipkę Anny, podczas gdy ona robi mi minetę. Smakujemy się nawzajem. Dajemy i bierzemy. Jesteśmy jak wąż, który pożera własny ogon.

Kiedy Jack zbliża usta do odbytu Anny i wkłada palce w jej szparkę, słyszę jej stłumiony jęk, gdy na chwilę odrywa usta od mojej cipki i robi to samo co on. Czuję jej język, który bada mój odbyt – liże go, smakuje i wciska się do środka, podczas gdy jej palce rzną moją cipkę z szybkością tłoków, w zupełnie innym rytmie.

To jak sztuczka, której człowiek uczy się w dzieciństwie, kiedy głaszcze się po brzuchu i jednocześnie klepie po głowie, próbując nie stracić rytmu. Chodzi o to, by zapomnieć, że się to robi; trzeba tylko poruszać rękami – instynktownie i niezależnie. Tak samo jest z seksem. Dobrym seksem. Ciało pozostaje w ciągłym ruchu, podczas gdy umysł odpoczywa, traci kontrolę i chłonie wszystko niczym gąbka.

To, co robi Anna, jest cudowne, dlatego zmieniam pozycję, by zrobić to samo Jackowi.

Wodzę językiem wokół jego odbytu, czego nigdy wcześniej nie robiłam, bo chłopcy – zwłaszcza tacy macho jak Jack – nie znoszą, kiedy ktoś ich tam dotyka.

Jednak teraz liżę jego odbytu, a on nie narzeka. Słyszę, jak jęczy; cicho, jakby nie chciał, żebyśmy go słyszały, ale ja słyszę. Kiedy zaczynam pieścić ręką jego członek, delikatnie przekręcając napletek, nie może się powstrzymać i jęczy, tym razem nieco głośniej.

Jesteśmy trzema ciałami, które stopiły się w jedno. Nie mamy charakteru ani osobowości. Nie ma Jacka, Catherine ani Anny. Nie ma mężczyzny ani kobiety. Jesteśmy jedną istotą, jedną płcią. Pieprzymy się jak maszyna. Poruszamy się w tym samym rytmie. Oddychamy w tym samym rytmie. Zgodnie jęczymy. Współgramy ze sobą.

To więcej, niż mogłam sobie wyobrazić.



Teraz pamiętam. Teraz wszystko pamiętam. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy dowiedziałam się, czym jest seks. Nie sam akt, ale pożądanie. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Wiem, że zabrzmiało to dziwnie i nieprawdopodobnie, ale przysięgam, że to prawda.

Kiedy miałam jedenaście, dwanaście albo trzynaście lat – nie przypominam sobie dokładnie – moja najlepsza przyjaciółka pokazała mi pożółkłe, zniszczone papiery, które znalazła w szufladzie biurka swojego ojca, i czytała mi je, kiedy leżałyśmy na podłodze w jej sypialni.

Była to historia erotyczna. Naprawdę nieprzyzwoita, napisana w formie listu. Pornografia bez zdjęć. Pornografia sprzed ery taśm wideo, DVD, telefonów komórkowych i internetu. Pornografia, przy której obrazy pojawiają się w głowie.

Ustaliliśmy, że list tak naprawdę nie należał do jej ojca, tylko do dziadka, który wyjechał walczyć w Wietnamie. Jediną rzeczą, jaka wróciła do domu, była poobijana skrzynka pełna zatęchłych, spleśniałych pamiętek po miejscu, które zostawił za sobą, i rodzinie, która go straciła. Wśród nich znalazłyśmy jedwabną halkę jej babki, nadal pachnącą perfumami, których użyła na pierwszej randce, zdjęcia jej ojca z dzieciństwa – stare, wyblakłe i poznaczone zaciekami przypominającymi zaschnięte łzy, a także stos listów przewiązanych niebieską wstążką. Wśród nich był ten opowiadający sprośną historię, zaadresowany do dziadka mojej przyjaciółki, ale nie wiedziałyśmy, kto go wysłał, bo nadawca się nie podpisał. Na kopercie brakowało adresu zwrotnego.

Kilka dni temu znalazłam na forum internetowym pewną historię. Była to ta sama opowieść, z której ktoś usunął szczegóły. Parę osób napisało, że to kopie materiałów dla żołnierzy stacjonujących za granicą, przy których mieli się masturbować. Przez lata przekazywano ją kolejnym pokoleniom żołnierzy biorącym udział w kolejnych wojnach, aż w końcu trafiła do szuflady w biurku ojca mojej koleżanki, a stamtąd do naszych niewinnych rąk.



Gdybym wiedziała wówczas to, co wiem teraz, powiedziałabym jej, żeby przestała czytać, zanim dotrze do końca. Kazałabym jej przestać, zanim w ogóle zaczęła. Kazałabym jej odłożyć listy tam, gdzie je znalazła, z powrotem do skrzynki. Nie były nasze. Nie były przeznaczone dla naszych oczu. Nie musiałyśmy wiedzieć, co w nich jest. Ani wtedy, ani teraz, ani nigdy.

Dzieci mają wiele wspaniałych naturalnych talentów, które powinny wzbudzać zazdrość i podziw. Jedyne, czego im brakuje, to dalekowzroczność.

Z jakiegoś powodu nie potrafią dostrzec związku między bieganiem z rozwiązanymi sznurowadłami a potknięciem się, upadkiem i zdartymi kolanami, które będą piekły jak diabli.

Nie rozumiem, że jeśli włożą palec do psiego tyłka, pies wyszczerzy kły, zacznie warczeć i może ugryźć. Ponieważ pies jest jak facet, który odsiaduje wyrok za gwałt zbiorowy; wchodzi pod prysznic z mydłem w jednej ręce i nożem własnej roboty w drugiej. Ma wszystko gdzieś, a palec w tyłku psa to to samo, co gwałt w więzieniu. Nawet jeśli należy do pięciolatka, który traktuje to jak niewinną zabawę.

Nie rozumiem, że jeśli narobią w spodnie, będą czuły dyskomfort i śmierdziały. Nie wspominając o bieganiu do mamy i próbach opowiedzenia jej przez potoki łez, co się stało. Ale nawet jeśli dzieciom brakuje dalekowzroczności, to nie brakuje im zmyślności. Wiedzą więc, że

gdy pojawia się kupa, najwyższy czas uderzyć w płacz. Choćby po to, żeby wzbudzić wystarczająco dużo litości, by łatwiej było im znieść upokarzający proces mycia.

Gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz, kiedy rodzice po raz pierwszy zabrali mnie jako małą dziewczynkę do grotty Świętego Mikołaja, ubraną w śliczną falbaniastą różową sukienkę, z cukierkami w kształcie laski przyszytymi do spódniczki, poprowadzili po sztucznej trawie wśród przerażających mechanicznych elfów, które machały sztywno rękami jak babcia tańcząca podczas sylwestrowej imprezy do piosenek Katy Perry, i posadzili na wielkim jak kłoda czerwonym kolanie Świętego Mikołaja, a on pochylił się nade mną tak bardzo, że jego długa siwa broda mnie połaskotała, i spytał, jakie mam marzenie... Więc gdybym wtedy wiedziała to co teraz, spjrzałabym w jego wilgotne, przepite oczy i powiedziała: „Poproszę o dalekowzroczność”.

Dzięki temu uniknęłabym całej masy kłopotów, rozczarowań i umazanych kupą majtek. Ale przede wszystkim uchroniłabym siebie przed sobą samą.

Wtedy jednak, kiedy leżałam na kosmatym dywanie w sypialni mojej przyjaciółki, która ścisnęła w dłoniach poółkłę strony, gotowa czytać na głos ich zawartość, wciąż byłam dzieckiem. Co więc mogłam wiedzieć?

Dlatego ją podpuszczałam.

Byłyśmy jak Adam i Ewa, gotowi skosztować owocu z drzewa poznania. Ciekawość wzięła nad nami górę, nie mogłyśmy się powstrzymać i za jednym zamachem zjadłyśmy cały ten przekłęty owoc, zaśmiewając się do łez przy najbardziej sprośnych fragmentach.

Jednak reszta historii, ta mroczna i dziwaczna, wydawała się obca naszym młodym, niewinnym i wciąż jeszcze rozwijającym się umysłem. Ponieważ nie rozumiałyśmy i nie doświadczyłyśmy niczego, co nadawałoby temu jakikolwiek sens, nie wpłynęło to na nas. A przynajmniej tak mi się wydawało.

A oto coś, czego nie potrafię wytłumaczyć:

W jakiś sposób opowieść, którą pierwszy raz usłyszałam od przyjaciółki – całą, ze wszystkimi pikantnymi szczegółami – pozostała ze mną, niczym pasożyt zaszyła się w mojej podświadomości, gdzie zadomowiła się na dobre.

Przez lata nie miałam pojęcia o jej istnieniu.

Nie tylko zapomniałam, że słyszałam tę historię, ale też puściłam w niepamięć splot wydarzeń, które doprowadziły do tego, że ją poznałam. Moja przyjaciółka zaś jest teraz głosem bez twarzy i imienia i tylko ulotne wspomnienia przypominają mi o tym, że w ogóle istniała.

Z wyjątkiem snów.

W snach pamiętam wszystko. Pamiętam dokładnie, jak czytała, o czym była ta historia i jak na mnie wpłynęła.

W snach, jedną za drugą, odtwarzam kolejne sceny, tu i ówdzie dodaję nowe szczegóły, żeby historia wydawała się bardziej barwna i wiarygodna. Inne wyrzucam. Zatrzymuję te, które są potrzebne jak fastryga, by materiał opowieści nie rozszedł się na szwach.

Wystarczy jednak, że się obudzę, i wszystko znika. Tracę wspomnienia. Jak przez mgłę pamiętam wyrywkowe fragmenty, z których nie jestem w stanie odtworzyć całości. Nocą wszystko wraca i sen zaczyna się od nowa.

Myślę, że z biegiem czasu udoskonaliłam tę opowieść i stworzyłam z niej piękny, skomplikowany patchwork seksualnych fantazji, katalog snów erotycznych, które nawiedzały mnie od okresu dojrzewania aż do teraz.

Jednak w ciągu ostatnich tygodni coś się stało; coś wydobyło mój sen na światło dzienne. Powrócił do mnie cały, ze wszystkimi szczegółami, wdzierając się do świadomości. A teraz opowieść ta wydaje mi się równie realna jak moje życie. A moje życie, podobnie jak życie

Severine, zaczyna przypominać sen na jawie.

Nie będę kłamać. Boję się zobaczyć, co tak długo tkwiło we mnie, rosło i dojrzewało. To wiele tłumaczy, przynajmniej jeśli chodzi o ścieżkę, po której kroczę, rzeczy, które widziałam, i miejsca, w których byłam. I powody, dla których tak bardzo fascynuje mnie Anna.



We śnie jestem niewiele starsza niż teraz. Mieszkam sama w wielkim mieście. Nie ma ze mną Jacka. Nie jest częścią snu i nigdy nią nie był. Od lat nie miałam chłopaka i nienawidzę wracać po pracy do pustego mieszkania. Tak więc codziennie wczesnym wieczorem idę na spacer. Najczęściej spaceruję po okolicy, wokół domu. Czasami jadę taksówką do pobliskiego parku i wałęsam się bez celu po wąskich alejkach obsadzonych majestatycznymi wiązami, dębami i cyprysami, obok stojącego na wzgórzu krytego podium dla orkiestry, które wygląda jak grecka świątynia.

Spacerując, rozkoszuję się urokami miasta, opuszczam swoje ciało i uwalniam umysł od wszelkich myśli. W najładniejsze wieczory, kiedy na miasto spływa nieziemski złoty blask, przytłacza mnie moje dobre samopoczucie, które nie opuszcza mnie nawet po tym, jak wracam do domu, i sprawia, że długie samotne noce stają się bardziej znośne.

Jednak w głębi duszy czuję się bardzo nieszczęśliwa i niespełniona. Płonie we mnie dzika namiętność i czekam na dzień, kiedy znajdę kogoś, kto nie tylko stanie się częścią mojego życia, ale też zaspokoi potrzebę spełnienia tłumionych pragnień, które w miarę upływu czasu stają się coraz bardziej szalone i ekstremalne.

Jest jednak ktoś, sąsiad z mieszkania naprzeciwko, choć nigdy się nie poznaliśmy ani nawet nie mieliśmy okazji porozmawiać. Kiedy mija mnie na korytarzu, próbuję zwrócić na siebie jego uwagę, on jednak spuszcza wzrok i unika mojego spojrzenia. Ale wiem, że w nocy mnie podgląda. Czuję na swoim ciele jego wzrok. Czuję jego tęsknotę i pożądanie i wiem, że mnie pragnie. Tak więc szykując się do snu, chodzę nago po mieszkaniu, przy włączonym świetle i podniesionych roletach, żeby miał lepszy widok. A kiedy leżę w łóżku, onanizuję się, myśląc o tym, jak zamknięty w swoim mieszkaniu gapi się przez okno i wali konia na mój widok. Widzę pragnienie malujące się na jego twarzy. Tak jest zawsze. On podgląda mnie. Ja podglądam jego, jak podgląda mnie. To pętla przyczynowo-skutkowa cielesnych pragnień, które nigdy nie znajdują spełnienia.

Pewnego jesiennego wieczoru, kiedy zamierzam wyjść na spacer, dzwoni moja najlepsza przyjaciółka. Rozmawiamy przez chwilę, a gdy wychodzę z mieszkania, jest już prawie ciemno. Widzę nadjeżdżającą taksówkę. Bez zastanowienia wyciągam rękę, żeby ją zatrzymać. Samochód podjeżdża do krawężnika i zatrzymuje się w połowie drogi do następnej przecznicy. Podbiegam do niego, zdyszany głos podaję kierowcy adres i opadam na siedzenie pasażera.

W taksówce unosi się słodki chemiczny zapach mięty pieprzowej, jakby ktoś przed chwilą tu wysprzątał. Nie palą się żadne światła. Jestem tak pogrążona w myślach, że nawet nie zauważam, jak tu ciemno.

Gdzieś obok wyczuwam ruch. Chwilę później widzę dłoń w rękawiczce ściskającą szmatkę. Słyszę własny krzyk. Ale jest już za późno.

Unoszą mnie ramiona wielkiego niezdarne go mężczyzny. Czuję na twarzy powiew chłodnego nocnego powietrza. Odwracam głowę i mam przed oczami majaczące nade mną masywne szmaragdowozielone drzwi. Otwierają się, jednak nie widzę nikogo ani niczego. Mężczyzna przenosi mnie przez próg, gdzie po raz kolejny ogarnia mnie czarny jak atrament mrok.

Następne, co pamiętam, to jasne światło, które sączy się z góry, ciepłe niczym

późnopołudniowe słońce. Przez chwilę zastanawiam się, czy przypadkiem nie zasnęłam w parku. Czy to wszystko nie było strasznym snem. Jednak zmysły mówią mi coś innego.

Ręce mam związane za głową. Czuję dziwny ucisk wokół ust. Są suche i popękane. Słyszę szelest, z początku tuż obok, później nieco dalej. Im więcej wokół mnie nieznanych szczegółów, tym bardziej jestem przerażona.

Gdy zmuszam się, żeby otworzyć oczy, oślepia mnie światło. Zagadkowe postaci przesłaniają jego źródło, chodząc tam i z powrotem, dzięki czemu mogę się rozejrzeć.

Jestem w starym teatrze i spoglądam na widownię ze sceny oświetlonej jednym reflektorem. Publiczność składa się z mężczyzn i kobiet ubranych jak na bal maskowy. Spoglądają na mnie obojętnie zza weneckich masek i szepczą wyczekująco, jakby czekali na rozpoczęcie przedstawienia.

Siedzę na czymś w rodzaju fotela ginekologicznego. Moje stopy są uwięzione w metalowych strzemionach. Dopiero teraz dociera do mnie, że ręce mam związane ciasno za zagłówkiem liną, która drapie i wrzyna się w nadgarstki. Usta są zakneblowane czerwoną szmatką. Nie jestem w stanie poruszać głową, więc pole widzenia mam zawężone do zaledwie kilkunastu centymetrów.

Czuję się kompletnie bezbronna. Mimo to nie panikuję. Adrenalina sprawia, że umysł mam jasny i bystry, wolny od jakichkolwiek emocji. Dochodzę do wniosku, że wszelki opór jest pozbawiony sensu. Może jedynie pogorszyć sytuację.

Trzy kobiety, trzy postacie, które widziałam, krzątają się wokół mnie niczym ptaki. Mają uszyte z czarnego szyfonu jajowate kaptury z rozcięciem zaczynającym się na czubku nosa i z otworami na oczy wielkości monet. Do tego pasujące bolerka wykończone skórzaną uprzężą, która biegnie wzdłuż klatki piersiowej i pod pachami, odsłaniając ich piersi.

Jedna z kobiet sięga po nożyce i płynnym ruchem rozcina moją sukienkę od szyi po sam dół. Dotyk zimnej stali przywodzi na myśl kroplę lodowatej wody spływającą z szyi wprost do pępka. Sukienka opada jak kurtyna magika. Moje blade, jasne ciało jest zaróżowione od gorąca. Chwilę później kobieta rozcina mi majtki na biodrach. Wstyd z powodu całkowitej nagości doprowadza mnie do tego, że zaczynam się wiercić.

Kobieta cofa się, jednak w jej miejsce pojawiają się dwie kolejne, jakby wszystko zostało przygotowane z myślą o mnie. Jedna różowi moje sutki, malując je szminką. Masuje je i szczypie, żeby ją rozprowadzić, a gdy kończy, sutki lśnią głęboką karmazynową czerwienią, która przywodzi na myśl jesienne odcienie liści dębu, płonących na tle srebrzystobłękitnego nieba w czasie moich wieczornych spacerów po parku.

Druga używa szczotki do pielęgnacji psów i rozczesuje mi włosy łonowe. Za każdym razem, gdy metal drapie moją skórę, krew zaczyna mi szybciej krążyć i dostaję zawrotów głowy.

W pewnej chwili wszystkie trzy stają wokół mnie, dwie po bokach i jedna z przodu. Trzymają przed sobą pawie pióra, którymi mnie okrywają. Jedna po drugiej opuszczają je, wachlują mnie i dotykają, po czym znowu je podnoszą. I tak po kolei. Wachlują, muskają, podnoszą. Wachlują, muskają, podnoszą.

Dotykają piórami moich ramion i pach, piersi i łona. Robię się coraz bardziej wrażliwa, czuję każdy puszek tańczący na moim ciele, czekam, gdzie tym razem mnie dotknie i jaki nakreśli znak.

Pióra przejmują nade mną kontrolę i wszystko, co widzę, to ich oka – błękitne, rdzawe i zielone – które pieszczą moje ciało, łopoczą i wprowadzają mnie w trans. Dzielą się i mnożą, aż są ich tysiące. Gapią się na mnie. Głodne oczy, które chcą mnie pożreć. I pragnę tego bardziej niż czegokolwiek.

Dzwoni dzwon. Kobiety znikają, jakby w ogóle ich tam nie było. Publika zamiera. Znowu

oślepia mnie światło.

Płynę ku niemu, w ciszy, w przestrzeni, gdzieś między pragnieniem i byciem.

Naprzeciw mnie pojawia się mężczyzna. Zatknięta za uszy maska arlekina zakrywa jego twarz aż do ust i okala całą głowę. Zrobiona jest z czegoś, co przypomina spaloną skórę, z uformowanym nosem, policzkami i oczodołami – jakby ktoś nałożył mu na twarz drugą twarz. Nagi tors, szerokie barki i umięśnione ramiona; pięknie zarysowane i podkreślone, wyglądają jak rzeźbione w kamieniu. Renesansowy ideał piękna. Mój ideał mężczyzny. Jedyne, czego nie mogę zobaczyć, jak w posągach w Watykanie, to jego męskość, która – tak sobie wyobrażam – wisi celowo ukryta przed moim wzrokiem.

Mężczyzna podchodzi do mnie. Nie ma wymiany zdań, spojrzeń ani zbędnych uprzejmości. Żadnej gry wstępnej. Chwyta moje nogi tuż nad kostkami, jakby szukał oparcia, odchyła się w tył, spogląda w dół i wypycha biodra do przodu.

Kiedy we mnie wchodzi, zgromadzony na widowni tłum wydaje z siebie stłumiony jęk; ten sam dźwięk dobywa się z dziesiątek gardel i choć nie widzę, dlaczego tak się dzieje, czuję to. Czuję, jak się otwieram, gotowa go przyjąć. Czuję, jak on otwiera tę część mnie, która do tej pory pozostawała zamknięta. Jak gdyby jednym gwałtownym pchnięciem skruszył mur i wyzwolił moje pragnienia. Myślę o dziobie statku torującym sobie drogę przez lód. Wiem, że to dopiero początek, ale zastanawiam się, jak daleko będę w stanie się posunąć i jak wiele potrafię znieść. Pragnę tego wszystkiego.

Moją uwagę przyciąga kolejny mężczyzna, który pojawia się na scenie. Zaraz potem widzę następnego i jeszcze jednego. Jest ich sześciu, siedmiu, ośmiu, dziewięciu. Tworzą wokół mnie mur. Wszyscy w maskach, nadzy i podnieceni. Za nimi stają kolejni.

Tym razem nie słyszę dzwonu. Ręce błądzą po moim ciele, dotykają moich piersi, nóg, wciskają się do ust, rozchlapują pot, który gromadzi mi się w pępku. Intensywność ich pożądania przeraża mnie.

Zastanawiam się, kim są ci mężczyźni i skąd się wzięli. Patrzą na nich i wyobrażam sobie, że za maskami kryją się ci, o których fantazjuję, leżąc w pustym łóżku. Mężczyźni, którzy uśmiechają się, gdy mijam ich na korytarzu apartamentowca, rozbierają mnie wzrokiem na ulicy albo zerkają ukradkiem w zatłoczonym metrze.

Wracają do mnie, gdy dotykam się w środku nocy, kiedy moje seksualne fantazje budzą się do życia. Czuję je teraz w najgłębszych zakamarkach ciała, jakby to one mnie pieściły, a ręce, które dotykają moich piersi, należały do kogoś innego. Dłonie dotykające mnie w tej chwili są dłońmi wszystkich kochanków, których nigdy nie miałam i których zawsze pragnęłam. To ręce mężczyzny z naprzeciwka, którego dotyku nigdy nie poczułam.

Nie mam pojęcia – nawet teraz, kiedy to wszystko dzieje się naprawdę – że on również tu jest, siedzi wśród publiczności i na mnie patrzy. Przyszedł tu z przyjaciółką; wyczuwając jego niezadowolenie, zaproponowała mu wspólne wyjście. Wyjątkową rozrywkę w najbardziej ekskluzywnym klubie, do którego mogą wejść jedynie najbogatsi.

Nosi maskę, jak pozostali, żeby ukryć swoją tożsamość. Początkowe zdumienie wywołane moim widokiem ustępuje miejsca pożądaniu, budzącemu się w nim wraz ze świadomością, że oto może podziwiać moje ciało z bliska, spotęgowanemu poruszeniem wśród publiczności.

Chce interweniować i pokazać mi swoją twarz, ale boi się tego, co się może stać, obawia się, że oboje poniesiemy konsekwencje, a oszalały tłum rzuci się i rozszarpie nas na strzępy. W końcu daje za wygraną, skupia się na własnych pragnieniach i zawiera swój los publiczności.

Gdybym tylko wiedziała, że jest tam ktoś, kogo znam, gdybym go zauważyła, wszystko potoczyłoby się inaczej. Być może nie poddałabym się preznaczeniu.

Knebel zostaje wyjęty z moich ust, lina krępująca ręce opada na podłogę. Jestem wolna. Ale nie wzywam pomocy i nie próbuję uciekać. Od tej chwili wolność oznacza dla mnie coś więcej.

Jestem głodna. Tak głodna jak ukryte za maską oczy i palce, które czepiają się mojego ciała. Instynktownie sięgam po coś, by zaspokoić swoją potrzebę, wziąć coś do ust i zająć czymś ręce. Ciało mam czerwone i poobcierane od klapsów, szczypania i dotykania. Równie czerwone jak płomienne liście dębu. Nie przeszkadza mi to, bo czuję, że jest to zgodne z moją naturą. Wiem, że do tego właśnie zostałam stworzona.

Pierwszy raz jestem w stanie podnieść się z fotela i spojrzeć ponad głowami mężczyzn, którzy walczą o dostęp do mnie. Patrzę na publiczność i wszędzie dookoła widzę kłębowisko ciał. Zabawiają się parami albo w trójkątach, stykają się biodrami i ustami. Łączą się i pozostają w ciągłym ruchu. Jak glify w alfabecie pożądania. Uniwersalny język, który nie wymaga wyjaśnień. Świadomość, że to wszystko moja zasługa, podnieca mnie do granic możliwości. Moje pożądanie stworzyło to miejsce i to ono mnie tu przywiodło. Nagle rozumiem, co to znaczy być oszalałym z rozkoszy.



W tym momencie docieramy do ostatniej kartki i historia się urywa. Tu również każdej nocy kończy się mój sen. Bez względu na to, jak bardzo próbuję zmieniać go i kształtować, nie potrafię wyśnić go do końca. Szukam w pamięci, czy jest może coś, co przeoczyłam, gdy usłyszałam tę opowieść, albo coś, o czym zapomniałam – coś, co umknęło mojej uwadze. I jedyne, co przychodzi mi do głowy, to:

Siedziałyśmy na podłodze i próbowałyśmy wyobrazić sobie wszystkie możliwe zakończenia. Baśniowe zakończenia, kiedy tajemniczy wielbiciel niczym rycerz w lśniącej zbroi wpada na scenę, by uratować ukochaną, i wynosi ją na rękach przez ogromne zielone drzwi wprost do jej domu, gdzie mieszkają długo i szczęśliwie. Bo dla dzieci wszystkie baśnie mają szczęśliwe zakończenie. A przecież tym właśnie był dla nas list – baśnią, taką jak ta o Królewnie Śnieżce albo o Jasiu i Małgosi, równie mroczną, przerażającą i nierzeczywistą.

Nie wierzę już w baśnie. Poznałam się na nich.

Szczęśliwe zakończenia to jedna wielka ściema.

A sen?

Żyję w nim teraz.

Wiem to.

Jednak zakończenie nadal nie zostało napisane.



Każda z was była kiedyś w takiej sytuacji.

Jesteś na imprezie.

Stoisz – albo siedzisz – pilnując własnego nosa i dyskretnie się rozglądając. A może jesteś z przyjaciółką, rozmawiacie o głupotach, o których tylko wy wiecie i które tylko was obchodzą, i śmiejecie się z żartów, które tylko was bawią. I nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się on.

Nie wiesz, kim jest, tak jak nie wie tego twoja przyjaciółka. Nie pamiętasz nawet, żebyś go już widziała. Możliwe, że zauważyłaś go zaraz po wejściu, ale niespecjalnie zaprzętałaś sobie nim głowę. Może nawet uśmiechnęłaś się do niego. Instynktownie. A on odczytał to jako sygnał, jako zaproszenie.

A teraz stoi przed tobą. Mówi „cześć” i przedstawia się, bo dla niego impreza to miejsce, w którym poznaje się ludzi. Postanowił cię poznać. Ale to wcale nie znaczy, że ty również masz ochotę go poznawać. Prawdę mówiąc, po trzydziestu sekundach spędzonych w jego towarzystwie masz pewność, że jest wręcz odwrotnie. Dopiero się poznaliście, a już wiesz wszystko, co kiedykolwiek chciałabyś wiedzieć na temat tego człowieka. I zaczynasz myśleć, jak się od niego uwolnić.

To jest właśnie takie przyjęcie.

A Dickie jest tym właśnie facetem.

Dickie pracuje w branży betoniarskiej. Jak nikt zna się na prefabrykowanej masie betonowej. Całe życie ma do czynienia z budownictwem i różnymi kruszywami. Jest prezesem zarządu w firmie będącej jednym z największych na świecie dostawców materiałów budowlanych. Beton to jego życie i podchodzi do niego bardzo emocjonalnie. Próbuje mnie przekonać, że pierwsze zapiski dotyczące cementu są równie ważne dla historii świata, jak odkrycie ognia. Że jego życiowe powołanie ma równie wielkie znaczenie dla rozwoju ludzkości, jak archeologia, medycyna i filozofia razem wzięte.

Jednak Dickie nie jest Matką Teresą. Dickie ma biura w każdej strefie działań wojennych na świecie. Produkuje wystarczająco dużo betonu, by odbudowywać miasta szybciej, niż można je zniszczyć.

– Wojna to wspaniały interes – mówi.

Anna rozmawia z kolegą Dickiego, Freddie, menedżerem funduszu hedgingowego. Chichocze i wygląda, jakby rzeczywiście świetnie się bawiła. Dickie może i jest obrzydliwie bogaty, ale podczas rozmowy jest równie sztywny jak branża, w której robi. Zanudza mnie na śmierć. Słuchając go, mam ochotę rozebrać się i pilnować ubrania. Zwłaszcza majtek.

Gdybym tylko miała je na sobie. Jeśli włożyłabym majtki, z chęcią bym je zdjęła, żeby ich popilnować.

Ale nie włożyłam.

Oto co mam na sobie: czarną koronkową przepaskę, która przesłania mi oczy, białe podkolanówki, czerwone szpilki bez pięt i sięgającą podłogi krwistoczerwoną pelerynę, pod kolor mojej ulubionej szminki. Jak już wspominałam, jestem bez bielizny.

Anna ma filigranową metalową maskę w kształcie motyla i szmaragdowozieloną pelerynę, którą otula się jak futrem. Razem wyglądamy jak światła na skrzyżowaniu.

Maski i peleryny to tego wieczoru obowiązkowy strój. Nie żadne skóry i dżins. Maski

i anonimowość. To tematyczne seksparty. Impreza w stylu *Oczu szeroko zamkniętych*.

To miejsce w niczym nie przypomina Fabryki Rżnięcia. Jest inne. Ekskluzywne i elitarne.

Zastanawiam się, co powiedziałby o nim Kubrick. Stanley, nie Larry. Stworzył drobiazgową baśń o przenikaniu się płci, bogactwa, władzy i przywilejów. Jego ostatnie dzieło, najdłuższe ujęcie w historii kinematografii, film, w którym – jak we wszystkich przez niego nakręconych – każdy szczegół, każdy detal struktury i inscenizacji pojawia się z jakiegoś powodu. Film, w który włożył tyle pasji i pracy, że zmarł, nie mając okazji podziwiać swego dzieła.

Może to i lepiej. Bo jedyną rzeczą, jakiej Stanley Kubrick prawdopodobnie nie przewidział, był fakt, że ludzie, o których ten film opowiadał, potraktują go bardzo dosłownie. Nieliczni bogacze, których władza i przywileje pozwalają im żyć według własnych społecznych, moralnych i seksualnych zasad – zasady te nie dotyczą zwykłych śmiertelników – i którzy myślą, że dekadencja to coś, co można kupić, błyskając kartą kredytową, albo wybrać w salonie wystawowym, pomylili go z przydługą reklamą ekskluzywnego klubu dla swingersów i postanowili stworzyć to miejsce, w którym teraz jestem.

To salon ogromnego, urządzonego ze smakiem prywatnego domu, pełnego antyków i reprodukcji dzieł sztuki. Gdzieś na wsi, ale nie wiem dokładnie gdzie. Anna też nie wie, bo przyjechałyśmy samochodem wynajętym przez Bundy'ego i po drodze zasnęłyśmy, ukołysane do snu szumem silnika, tylnymi światłami jadących przed nami samochodów i delikatnym zarzucaniem na krętych wiejskich drogach, które zaczęło się, gdy tylko wyjechałyśmy z miasta. Ocknęłam się, kiedy Anna dotknęła mojego ramienia i delikatnie mną potrząsnęła.

– Catherine... Catherine... obudź się – szepnęła. – Jesteśmy na miejscu.

Dopiero teraz dociera do mnie, że nie wiem, gdzie jesteśmy, i nie mam pojęcia, jak to sprawdzić, bo na zewnątrz jest ciemno, a okiennice w domu są pozamykane. Czuję się jak na planie filmu. Cała rzeczywistość jest zamknięta w tym domu.

Są tu ogromne stoły z wykwintnym jedzeniem, co przywodzi na myśl rzymskie uczyty. W kubełkach z lodem chłodzą się butelki win Magnum i Veuve Clicquot. Na obrotowych srebrnych tacach piętrzy się kawior Beluga. Zanurzone w lodzie półmiski z owocami morza – ostrygami, małżami i krewetkami – przypominają kolorowe klomby. Całości dopełnia paszтет strasburski. Otaczający mnie ludzie są tak znudzeni tym przepychem, że nikt nawet nie sięga po jedzenie. Kamerdynerzy w smokingach i czarnych maskach ze stoickim spokojem krążą między gośćmi, serwując szampana.

Czuję się, jakby ktoś otworzył drzwi, do tej pory dla mnie zamknięte – drzwi do miejsca, o którego istnieniu nie miałam pojęcia – i zaprosił mnie do środka. Dlaczego miałabym odmówić? Dlaczego miałabym nie zakosztować życia w tej zakazanej strefie?

Teraz nie przypomina to orgii. Wszyscy zachowują się wytwornie i są wobec siebie niezwykle uprzejmi. Zupełnie jak na burżuazyjnym koktajlu. Zerkam na Annę, jakbym chciała powiedzieć: „Nie wierzę! Czy właśnie po to tu przyjechałyśmy? To wszystko, na co stać Bundy'ego?”. Z drugiej strony jestem pod wrażeniem, ponieważ ci faceci i Bundy to zupełnie inna liga. Dwa różne światy.

I dlatego my tu jesteśmy, a Bundy i jego groteskowe ciało nie. Mam wrażenie, że pasowałby tu jak wół do karety, ale to właśnie on załatwił dziewczyny. Anna porusza się między tymi światami z gracją i niebywałą łatwością. Jej seksualność stanowi uniwersalny klucz, a ja jestem jej osobą towarzyszącą.

Myślę, że Dickie przekroczył sześćdziesiątkę, ale to już ten wiek, gdzie liczby przestają mieć znaczenie i jeszcze trudniej je odgadnąć. Ma bujną siwą czuprynę – włosy są zaczesane do tyłu – i ciało jak worek ziemniaków, niezgrabne i rozszerzające się ku dołowi. Nosi maskę Zorro

i białą satynową pelerynę z czerwoną lamówką, taką, jakie noszą księża. Poza tym Dickie jest... jak by to ująć... roznegliżowany. Bardziej niż duchownego przypomina emerytowanego superbohatera ze skłonnościami do obnażania się. Kapitan Beton.

Siedzi ze skrzyżowanymi nogami i rozprawia o technikach produkcji cementu. Kutas i jaja leżą bez życia na jego udzie i wyglądają na równie znudzone jak ja.

Freddie jest dużo młodszy, wystarczająco młody, żeby być synem Dickiego. Ma na sobie sutannę, która pasuje do peleryny Dickiego, jakby wynajęli jeden kostium i rzucali monetą, który co włoży.

Kiedy słucham Dickiego, ogarnia mnie nieopisany smutek, robię jednak, co mogę, żeby tego nie okazać. Udamę zainteresowaną i próbuję podtrzymać rozmowę. Ale nigdy w życiu nie nazywałam nikogo Dickiem i nie zamierzam tego zmieniać. Zwracam się do niego per Richard.

– Richardzie... – mówię.

– Dickie – poprawia mnie, przerywając mi po raz trzeci albo czwarty. – Mów do mnie Dickie.

Po raz trzeci albo czwarty udaję, że go nie słyszę.

– Dobrze, Richardzie. Opowiedz mi, proszę, jeszcze raz, jakie korzyści płyną z wykorzystywania wysokowartościowego i wysoko wytrzymałego betonu.

Od czasu do czasu używam żargonu, żeby myślał, że go słucham.

– Pompowność, skarbie – odpowiada. – Pom-po-wal-ność – powtarza dla lepszego efektu.

– I ograniczone kurczenie się – dodaję.

– Mniejsze odkształcanie się – ciągnie. – Mniejsze opadanie i wypaczanie. Chcesz, żeby był twardy i prosty, no i jest twardy i prosty.

Przecina powietrze ręką i wybucha gardłowym śmiechem.

– Chyba już rozumiem – przyznaję.

Wykazałam odrobinę zainteresowania i wygląda na to, że rzeczywiście wiem, o czym mówię, tak więc Dickie kontynuuje swój wywód. Opadam z sił.

Na ścianie za jego plecami wisi rząd oprawionych w ramy reprodukcji naszkicowanych od ręki, prymitywnych obrazków przedstawiających mężczyzn i kobiety pieprzających się w różnych konfiguracjach. Od razu rozpoznaję w nich obrazki z książki, którą Brigitte Bardot kartkuje w *Pogardzie* Godarda. Książki, którą wulgarny amerykański producent podarował jej mężowi scenarzyście, żeby pomógł mu poprawić scenariusz niemieckiego reżysera Fritza Langa, przypominający tandetną wersję greckiego mitu, bez szans na jakikolwiek sukces.

Tak więc producent daje mężowi Bardot album ze sztuką pornograficzną z okresu starożytnego Rzymu, żeby miał się przy czym brandzlować i o czym pisać, i liczyć, że w efekcie powstanie dzieło, które przyciągnie ludzi do kina. Obrazki z książki i reprodukcje, które widzę na ścianie, zostały stworzone do konkretnego celu – były swoistą instrukcją obsługi i erotycznym bodźcem dla patronów burdeli w Pompejach, gdzie zostały znalezione. Domyślam się, że tu trafiły z tego samego powodu.

Dickie nie przestaje gadać i jedyne słowa, które wyłapuję, to: rozładunek, wibratory i odbarwienie. Nie mam pojęcia, czy nadal mówi o cemencie, czy zaczyna świntuszyć, ale przypuszczam, że skoro kręci go prefabrykowana masa betonowa, należy do ludzi, którym niewiele potrzeba do szczęścia. Tyle że ja się do tego nie nadaję.

– Odbarwienie – mówię.

– Tak, kociaku, odbarwienie – powtarza. – Od nieczystości. W wodzie.

– No tak – rzucam. Czuję, że jeszcze bardziej opadam z sił. Rozglądam się po pokoju, patrzę na nagich mężczyzn i kobiety w różnym wieku, o różnych kształtach i rozmiarach

i zastanawiam się, w jakich branżach pracują.

Tworzywa sztuczne. Biotechnologia. Handel bronią. Paliwa. Farmacja. Logistyka. Transakcje towarowe.

Wszyscy ci bezimienni biurokraci, którzy zarządzają korporacjami, ludzie, o których nigdy nie słyszeliście, a których decyzje wpływają na każdy aspekt waszego codziennego życia – począwszy od tabletek łykanych przed śniadaniem, poprzez benzynę wlewaną do baków samochodów, a skończywszy na piankowych poduszkach, na których w nocy kładziecie głowę – oni również prowadzą życie erotyczne. Muszą przecież pieprzyć. I wyobraźcie sobie, że robią to tu. W tym miejscu. Na ekskluzywnych przyjęciach, takich jak to, zorganizowanych w ten sposób, by chronić ich godność, jeśli nie moralność. Noszą maski, tak by w życiu prywatnym mogli być równie anonimowi, jak w życiu publicznym.



Chce mi się sikać i uświadamiam sobie, że jest to idealna okazja, by uwolnić się od Dickiego i Freddiego.

– Wybaczcie nam, panowie – mówię. – Musimy skorzystać z toalety.

Odchodzimy tak szybko, jak pozwalają na to nasze buty, do łazienki na piętrze.

Stoimy obok siebie przed lustrem i poprawiamy makijaż.

– Co to za miejsce? – pytam Annę.

– Nazywają je Klubem Julietty.

– Co to ma być, do cholery?

– Wiem tyle co ty – odpowiada. – Tak to nazywają. Ujmijmy to w ten sposób: Fabryka Rżnięcia jest dla zwyczajnych ludzi. Ci tutaj nie są zwyczajni.

– Właśnie widzę. Jakim cudem dostał się tu ktoś taki jak Bundy?

– No wiesz... – Chichocze. – Bundy jest pełen niespodzianek. Niezbadane są jego ścieżki.

– To znaczy? – pytam zaintrygowana.

– Może nie wygląda najlepiej, ale jest naprawdę dziany. Ma słabość do bogatych dziewczyn, takich jak on, które zrobią dla niego wszystko. Panienek z sześciocyfrową sumą na koncie, które i tak pracują jako striptizerki. Założył nawet dla nich specjalną stronę.

– Niech no zgadnę. Obrzydliwie Bogate Zdziry?

– Skąd wiedziałś? – Anna wydaje się autentycznie zaskoczona.

– Przeczucie – odpowiadam.

Nakładam szminkę, podczas gdy ona pudruje policzki. Ogląda w lustrze swoją twarz, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku, i mówi:

– Wiesz, starsi faceci naprawdę wiedzą, jak zadowolić kobietę.

Zawsze kiedy myślę, że już nic więcej nie powie, Anna rzuca kolejną złotą myśl, kolejny klejnot, który przewraca mi w głowie. Nie przestaje mnie zadziwiać. I mówi to tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Co?

– Są napaleni jak osiemnastolatki, ale ich ciała nie dają rady.

Wybucham śmiechem.

– Mówię poważnie – zapewnia mnie Anna. – Zachowują się jak szaleńcy, aż w końcu dostają zadyszki. Wtedy muszą przestać, dojsć do siebie i odzyskać siły. I zabawa zaczyna się od nowa. W ten sposób mogą się bzykać całą noc.

– Młodszy faceci też tak potrafią, więc gdzie ta różnica?

Chwilę później czuję się, jakbym siedziała w pokoju razem z Dickiem.

– Młodzi faceci zawsze mają coś do udowodnienia – tłumaczy Anna, wykręcając szminkę. – Zasada jest taka, że ci, którzy naprawdę dobrze wyglądają, są tak próżni, że nie mają za grosz wyobraźni.

– Wiem coś o tym. – Przypominam sobie mojego byłego chłopaka, zawodnika drużyny futbolowej.

– Chcą się pieprzyć przed lustrem, żeby mogli spoglądać na siebie z różnej perspektywy – ciągnie Anna. – Jakby kręcili pornosy ze sobą w roli głównej. Pieprzą siebie samych, a ty jesteś dekoracją na planie. Starsi faceci skupiają się na tym, żeby tobie było dobrze. I zawsze chcą spróbować czegoś nowego, ponieważ wszystko już przerabiali i znają na pamięć każdą sztuczkę. Jeszcze jedno – dodaje, poprawiając maskę. – Twardy kutas nigdy nie zdradza wieku. Nieważne, ile ma lat, jeśli wciąż działa, jak należy. Poza tym właściwie nie musisz ich dotykać. Łykają viagrę i chwilę później są gotowi.

Mówiąc to, pstryka palcami.



Nie wiem, jak długo byliśmy w łazience, ale kiedy wychodzimy, przyjęcie nie wygląda tak samo. Ani trochę. Zmieniła się energia. Zupełnie jakby podczas naszej nieobecności ktoś zadzwonił dzwonkiem, jak na giełdzie papierów wartościowych, gdzie na parkiecie robi się tłoczno jak w ulu, a dookoła słychać stukanie na klawiaturach.

Tutaj nikt nic nie mówi. Wszyscy się pieprzą. W parach, trójkątach, czwórkami albo indywidualnie, jeśli ktoś woli wyłącznie patrzeć.

Stoimy na szczycie schodów, obserwuję to wszystko i muszę przyznać, że czuję się przytłoczona. Nagle dociera do mnie, że nie mam się gdzie ukryć ani dokąd uciec. Czas stawić czoła wyzwaniu albo się nie odzywać. Potrzebuję chwili, żeby zebrać się w sobie, wziąć głęboki wdech i przystąpić do dzieła.

– Idź na dół – zwracam się do Anny. – Dołączę do ciebie za minutę. Chcę przez chwilę popatrzeć.

– Dobrze – rzuca i zbiega na dół, gotowa w każdej chwili przyłączyć się do zabawy.

Wychylam się przez balustradę, spoglądam w dół na ludzi pieprzących się w salonie i zauważam faceta, który wyraźnie mi się przygląda. Nie mam pojęcia, co takiego we mnie jest, że przyciągam samych dziwaków. Może wydzielam jakiś dziwny zapach.

Coś nurtuje mnie w jego masce. Wydaje się dużo bardziej wyszukana od tych, które widziałam tu do tej pory. I nagle sobie przypominam. To mężczyzna z moich snów, renesansowy człowiek w masce arlekina, który mnie otwiera.

Myśl pojawia się w mojej głowie na ułamek sekundy, bo tyle czasu mija od chwili, gdy go zauważam, do momentu, kiedy rusza w moją stronę. Serce mi dudni. Stoję jak sparaliżowana, podczas gdy on, niczym rasowy drapieżca, skupia na mnie całą swoją uwagę. Czas płynie wolniej i mam wrażenie, że widzę każdy jego ruch w zwolnionym tempie. Przyglądam się mu, skupiając się na szczegółach.

Kroczy dumnie, pewny siebie i swojego uroku. Skórę ma opaloną i szorstką, ciało napięte, umięśnione i jędrne. Wygląda na to, że dba o siebie i ćwiczy. Jego postura przemawia do mnie; to człowiek świadomy swojej siły i wie, jak ją wykorzystać. Muszę przyznać, że wygląda dobrze jak na swój wiek, a przypuszczam, że jest co najmniej po czterdziestce.

Jest tak blisko, że czuję jego zapach. Pachnie bogactwem. Kiedy w końcu przede mną staje, należąca cała do niego. Ma w sobie coś, ale nie potrafię tego nazwać. I nagle już wiem. Przypomina mi Jacka.

Nie Jacka teraz. Później. Jacka w przyszłości.

Zawsze mówiłam sobie, że chcę się zestarzeć u boku Jacka. Czasami lubiłam sobie wyobrazić, jacy będziemy w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, przeżywszy ze sobą prawie pół życia. Zastanawiałam się, jak będziemy wówczas wyglądać, jakie będą nasze relacje, jaki będzie nasz seks.

Uświadamiam sobie, że ten mężczyzna uosabia moje wyobrażenie o tym, jak Jack będzie wyglądał w przyszłości.

Wiem, jak to brzmi. Jak wymówka, i po części tak właśnie jest. To wymówka, którą znalazł mój mózg, by usprawiedliwić to, co czuje ciało. A czuje ono niesamowity pociąg do tego człowieka, którego tożsamości nie znam i nigdy nie poznam. Jest dla mnie białym płótnem, na którym mogę namalować każdą ze swoich fantazji. Przeżyć ją i jej doświadczyć. Naprawdę.

Wyciąga do mnie rękę. Biorę ją bez wahania. Kiedy prowadzi mnie na dół, z powrotem do głównego pokoju, czuję się, jakbyśmy byli dwojgiem młodych kochanków idących brzegiem morza w niedzielne popołudnie.

Gdy wchodzimy, Dickie i Freddie zabawiają się z Anną i nie mogę powiedzieć, żeby mnie to dziwiło. Anna klęczy na zniszczonej antycznej kanapie. Freddie rżnie ją od tyłu. Dickie stoi jedną nogą na kanapie i zanurza kutasa w ustach Anny. Opiera ręce na krzyżu, tuż nad biodrami, jak faceci w pornosach, kiedy ktoś robi im laskę. Jakby cierpiał na lumbago.

W filmach faceci, którzy stoją i pieprzą w ten sposób, prawie zawsze mają na nogach skarpetki i – proszę, proszę – nasz Dickie również został w skarpetkach. Tyle że jego wyglądają na bardzo drogie. To skarpety w romby. Ralpa Laurena.

Freddie najwyraźniej nie jest taki drobiazgowy. Jest kompletnie nagi. Muszę przyznać, że Anna stara się, jak może, i robi wszystko, by tych dwóch było zadowolonych. Dickie uśmiecha się szeroko, jak przystało na faceta, którego kutas obija się o policzki ślicznej młodej laski, sprośnej i chętnej, mówiącej do niego jak rasowa dzzira, tak jak teraz robi to Anna.

– Jesteś starym zbrojeńcem. Niegrzecznym, niegrzecznym, niegrzecznym staruchem. Dickie, Dickie, Dickie. I jego niegreczny fiut.

Nie wiem, czy zwraca się do Dickiego, czy do jego penisa, ale z tego, co widzę, obaj są zachwyceni.

Chwilę później odwraca się do Freddiego i mówi:

– Tak, tatuśku, pokaż, na co cię stać. Zrób to, tatuśku, tak jak lubię. O kurwa, właśnie tak.



Mężczyzna w masce prowadzi mnie na drugi koniec pokoju, jakby chciał się mną pochwalić. Ruchem ręki nakazuje mi usiąść w ogromnym, głębokim antycznym fotelu, tapicerowanym czerwonym zamszem. Siadam więc, ze złączonymi nogami i rękami na kolanach, pruderyjnie, jak uczennica szkoły katolickiej. Spogląda na mnie, uśmiecha się i w milczeniu klepie drewnianą poręcz. Nie musi nic mówić. Wiem, czego chce i czego oczekuje.

Przewieszam nogi przez poręcz i zsuwam się na skraj fotela. Klęka przede mną, ujmuje moją lewą stopę i zaczyna ugniatać kciukami podeszwę, jak kot, który udeptuje fotel, zanim się na nim położy. Kiedy dociera do palców, delikatnie muska je kciukiem, dotyka każdego i wkłada między nie swoje palce.

Zamykam oczy, tak bym mogła się wyłączyć i skupić tylko na jego pieszczotach i dotyku. Po chwili czuję, jak całuje podeszwę mojej stopy, ssie każdy palec, wodzi po nich językiem. To cudowne.

Muska palcami wewnętrzną stronę ud, wodzi nimi po podbrzuszu, ociera się o cipkę i rozchyła ją palcem wskazującym i kciukiem. Jestem wilgotna i lepka, kiedy pięści moją szparkę, leniwie przeciągając po niej językiem, jak kot czyszczący futerko. Jego maska naciska

na lechtaczkę, a nos ociera się o nią, podczas gdy język wylizuje łączywie moje krocze. Krąży wokół cipki. Po chwili wbija się do środka i jest mi tak dobrze, że wydaję z siebie stłumiony jęk. Wypycham biodra, by nadzieć się na niego jeszcze głębiej, ale kiedy to robię, wysuwa się ze mnie.

Kładzie mi ręce na nogach, pokazując, żebym je złączyła, a potem je unosi, tak że moje stopy są nad głową, a mokra, nabrzmiała cipka jest widoczna jak na dłoni. Oplatam nogi rękami i trzymam je w górze, tymczasem on kładzie rękę na moim udzie, drugą wymierzając mojej cipce delikatnego klapsa. Krzyczę i nie wiem, czy reaguję tak na dźwięk, czy na pieczenie, ale najwyraźniej go to kręci, bo uderza mnie po raz kolejny. Kiedy odsuwa rękę, czuję w lechtaczce przyjemne pulsowanie.

Zaraz potem znów pieści mnie ustami, ale tym razem skupia się wyłącznie na lechtaczce. Bierze ją do ust, ssie i delikatnie muska językiem, liże, dmucha na nią, ssie i znowu liże. Za każdym razem, gdy skończy ssać, dmuchać, gryźć i lizać, odsuwa się, a ja nie mam pojęcia, co stanie się za chwilę. Jest mi tak dobrze, że wydaję z siebie serię krótkich westchnień i pojękiwań.

Potem jego palce odnajdują moją szparkę. Czuję, jak krople śluzu spływają mi po pośladkach – jest tak mokra. On tym razem nie traci czasu. Wchodzi we mnie palcami, badając miękką, pulchną szczelinę. Zachłannie ssie lechtaczkę, jednocześnie wpychając we mnie palce. Czuję, że dochodzę, że jestem już blisko i nie powstrzymam tego, nawet gdybym chciała. Przyjemne mrowienie wypełnia całe moje ciało i wstrząsa nim gwałtownie. Przetacza się przeze mnie niczym wzburzona fala. Szarpię się, czując na sobie jego zęby, język i wargi, które zamykają się na lechtaczce.

Teraz wkłada mi w odbyty śliski od śliny palec. Myśli pewnie, że jest mi tak dobrze, że nie zauważę, ale to od razu sprowadza mnie na ziemię. Patrę mu prosto w oczy i bardzo stanowczo, choć bezgłośnie mówię „nie”. Gdybym potrafiła czytać z jego twarzy, pewnie wyczytałabym z niej rozczarowanie. Robi jednak to, o co go proszę, i nie obchodzi mnie, czy pomyśli sobie, że jestem pruderyjna. Nie o to chodzi. Uprawiałam już seks analny. Po prostu chcę zachować coś dla siebie. Chcę zachować coś dla Jacka. To nie jest Fabryka Rżnięcia. Tu obowiązują pewne reguły i każdy może decydować o tym, co chce, a czego nie chce. Tutaj ja kontroluję sytuację i pozwalam na to, na co chcę pozwolić.

Zamieniamy się miejscami. Teraz to on siedzi na fotelu, a ja wdrapuję się na oparcie, kucam i powoli opuszczam się na jego kutasa. Cipkę mam tak mokrą, że wchodzi we mnie cały i tym razem to on jęczy z rozkoszy. Podnoszę się i patrzę na gęste białe soki, które spływają po jego członku i gromadzą się we włosach łonowych. Pluję na dłoń i zaczynam masować kutasa, pokrywając go mieszaniną śliny i śluzu. Nie przestaję aż do chwili, gdy słyszę niski, gardłowy jęk, który mówi mi, że dobrze się spisuję.

Po raz kolejny siadam na nim i pochylam się, opierając ręce na jego ramionach i delikatnie unosząc pośladki. Kręcę biodrami, kołyszę się w przód i w tył i chwilę później słyszę jego jęk. Huśtam się na kutasie, podczas gdy on ujmuje w dłonie moje piersi, chwyta brodawki i je ścisca.

Teraz, kiedy jestem mokra i napalona, mój kochanek wpada na kolejny pomysł: chce dzielić się mną z innymi mężczyznami. I nie mam pojęcia, skąd oni to wiedzą. Może dał im jakiś znak? W każdym razie nagle dociera do mnie, że otaczają mnie ze wszystkich stron. Nie boję się jednak.

Między mną a resztą pokoju wyrasta ściana męskich ciał. Czuję się jak w kokonie. I wiem, że jestem bezpieczna.

Gdy jedni odchodzą, na ich miejscu pojawiają się kolejni. Tego właśnie chcę. Im więcej, tym lepiej.

Sama już nie wiem, ile wokół zamaskowanych twarzy i sterczących kutasów. Podchodząc do mnie, mężczyźni pochylają głowy i błagają o chwilę uwagi. Chwytam wszystko, co mam pod ręką, a kiedy raz spróbuję, dociera do mnie, że mam ochotę na więcej. Im więcej dostaję, tym bardziej jestem głodna. Wiem, że to się nie skończy, dopóki sama tak nie postanowię. A na razie nie mam ochoty przestawać.

Seks jest coraz lepszy, orgazmy coraz bardziej intensywne. I kiedy wydaje mi się, że dłużej nie wytrzymam, kolejny zamaskowany mężczyzna daje mi jeszcze większą rozkosz. Jest mi tak dobrze, że chcę, by to trwało wiecznie.

Mam wrażenie, że moje ciało jest rażone prądem. Nie za każdym razem, gdy dochodzę. Za każdym razem, gdy ktoś mnie dotyka. Jakby ktoś cały czas ogłuszał mnie paralizatorem. Doświadczam rozkoszy tak wielkiej, że graniczy z bólem. Dopamina zalewa mój mózg, adrenalina krąży w żyłach i tracę poczucie czasu.

Czuję się, jakbym pieprzyła się non stop przez dwadzieścia cztery godziny. I mam przeczucie, że gdybym tylko chciała, mogłabym to robić przez kolejną dobę. Moje ciało nie przestawałoby tak długo, jak długo mózg dostawałby kolejne bodźce. Prawda jest taka, że umysł nigdy nie ma dość aktywności fizycznej, po prostu rozprasza się i nudzi. Wówczas pojawia się zmęczenie. Ale jeśli człowiek rzeczywiście potrafi go czymś zająć, kto wie do czego jest zdolny.

Ja zaszłam dalej, niż mogłam to sobie wyobrazić, i gdybym zobaczyła się w tamtym pokoju, otoczoną tyłoma mężczyznami, nie wiem, czybym się rozpoznała. Pewnie pomyślałabym, że to Anna.



Kiedy wracam do domu, jestem cała obolała; mięśnie bolą mnie tak, jakbym wdrapała się na nie wiadomo jak wysoką górę i wykorzystała każdy skrawek ciała, żeby dotrzeć na szczyt. Jestem pobudzona, ale wykończona i jedyne, czego chcę, to długa gorąca kąpiel.

Czekając, aż wanna się napełni, oglądam się w lustrze. Cieszę się, że nie ma tu Jacka i że nie widzi miejsc na moim ciele zaczerwienionych od klapsów, obmacywania i szypania. Nadal jestem podekscytowana i strasznie napalona. Gdyby tu był, od razu chciałabym mu obciągnąć. Wskoczyłabym mu do łóżka i zmusiła go, by jeszcze bardziej mnie upokorzył.

Zapalam świece o zapachu jaśminu, ustawiam je wokół wanny, wlewam do wody kilka kropli olejku lawendowego i zanurzam się powoli, czując, jak pod wpływem ciepła moje mięśnie się rozluźniają, a para wnika w pory na twarzy i na całym ciele. Chwilę później zaczynam się pocić.



Od dawna nie spałam tak dobrze. Jak dziecko. A kiedy się budzę, nadal jestem obolała, ale umysł mam jasny i skupiony. Szykuję się do wyjścia, żeby pozłatwić pewne sprawy, i zostawiam Jackowi wiadomość, ponieważ dziś wraca i chcę, żeby wszystko było, jak należy. Mam nadzieję, że zmieni zdanie i wspólnie coś wymyślimy. Piszę liścik, w którym mówię mu, jak bardzo go kocham. I rzeczywiście tak jest. Nigdy nie byłam tego tak pewna. I nigdy bardziej go nie pragnęłam.

Tuż przed wyjściem grzebię w torebce w poszukiwaniu kluczy. Zamiast nich znajduję zwitek banknotów. Studolarowych. Za cholerę nie wiem, skąd się tam wzięły i kiedy. Biorę je do ręki i gapię się na nie. Jestem kompletnie zaskoczona. Kiedy dociera do mnie, co się stało, czuję się, jakby ktoś ogłuszył mnie ciosem w głowę.

Powinnam była posłuchać Anny. „Bundy jest pełen niespodzianek”, powiedziała, ale myślałam, że to kolejny z jej głupich żarcików. Teraz rozumiem. Zrobił ze mnie kogoś, kim

nigdy nie chciałam być. Zostałam wessana do jego chorej, popieprzonej wersji *Pigmaliona*, gdzie każda kobieta jest ideałem, który tylko czeka, by zamienić się w dziwkę. Bundy uczynił ze mnie Severine. *Belle de jour*. Danie dnia. Jedną ze swoich kurewek.

Czuję się zbrukana i wykorzystana. Mam pustkę w brzuchu i czuję, że zbiera mi się na wymioty. Nudności ustępują miejsca wściekłości. Jedyne, co słyszę, to głos grzmiący w mojej głowie.

Jak mogłaś być taka głupia?

W głębi duszy krzyczę na siebie, ponieważ Bundy mnie wykorzystał, a ja nie miałam o niczym pojęcia. Wmawiałam sobie, że to ja sprawuję kontrolę i że jestem na to za mądra.

Jak się okazało, wcale nie byłam.



Oto pytania, które sobie zadaje: Co warto jest doświadczenie? I ile kosztuje?

Nie są to te same pytania. Jedno dotyczy znaczenia, drugie tego, co się poświęca.

Jesteśmy tak przyzwyczajeni do płacenia – za zakupy, zdrowie, błędy, brak rozwagi, zniewagi i występki, i inne grzeszki – że nie pytamy o cenę, tak jak nie pytamy, kto o tym decyduje i dlaczego. Za sprawą kultury mamy obsesję na punkcie tego, co utraciliśmy – bez względu na to, czy chodzi o niewinność, prywatność, przywileje, poczucie bezpieczeństwa, czy szacunek – ale rzadko interesuje nas to, co zyskaliśmy.

Nikt nie potrafi powiedzieć, ile jest warto moje doświadczenie. Tylko ja sama. Tylko ja to wiem, rozumiem i czuję. Tylko ja mogę to ocenić, zmierzyć i obliczyć. Ja decyduję, czy powiedzieć o tym innym, czy zachować dla siebie. To wyłącznie mój wybór. Jestem wolnym człowiekiem i do mnie należy ta decyzja. Podjęcie jej jest moim obowiązkiem.

Ale nie owijajmy w bawełnę. Mówimy przecież o seksie.

O pieprzeniu. Każdy to robi. Publicznie albo prywatnie. Częściej albo rzadziej. Normalnie albo perwersyjnie. Samemu, w parach albo grupach. Z przedstawicielami płci przeciwnej albo tej samej. Z doświadczenia wiem, że zwykle w grę wchodzi kilka z powyższych możliwości. Nasza seksualność jest co najmniej tak złożona jak osobowość; może nawet bardziej, bo sprawa dotyczy naszych ciał, nie tylko umysłów.

Tu nie chodzi o naukę, ale o życie. Właśnie dlatego nie do końca ufam wnioskowi takich ludzi jak doktor Kinsey czy doktor Freud, zwłaszcza w przypadku kobiet. No bo jak tu obliczyć albo sklasyfikować pożądanie? Jak słusznie zawyrokujeć o tym, co jest dobre, a co złe dla ludzi czy jednostki, na podstawie tego, jak się czują? Albo tego, jak się pieprzą?

Wszyscy jesteśmy dewiantami. W tajemnicy. W głębi duszy. W łóżku. Za zamkniętymi drzwiami. Kiedy nikt nie patrzy. Ale kiedy ktoś patrzy albo gdy ktoś o tym wie, płacimy za to pewną cenę. Cenę, która jest z góry ustalona, jak cena za kilogram mięsa. Można ją nazywać różnie, ale tak naprawdę sprowadza się do jednego.

Do wstydu.

Pomyślcie o uczennicy ostatniej klasy w liceum, o której wszyscy mówią, że jest „zdzirą” albo „dziwką”, tylko dlatego, że nie wstydzi się swoich uczuć i ciała. A tymczasem połowa jej koleżanek, żeby trzymać w ryzach pragnienia, profilaktycznie nosi pierścionki zaręczynowe – jakby coś takiego w ogóle miało działać – przez co czują się lepsze. I uważają ją za kobietę gorszej kategorii – za kogoś słabszego i nikczemnego. Tylko dlatego, że doszła do wniosku, że lubi seks. Że ponad wszystko lubi obciążać. Pod trybunami na szkolnym boisku. Między lekcjami biologii i chemii. Nie tylko rozgrywającym, ale też kujonom i nauczycielowi historii. Czasami każdemu z osobna, czasami wszystkim naraz. Czy kiedykolwiek pomyśleliście, co ona z tego ma? Ile, jej zdaniem, jest warto coś takiego?

Ta dziewczyna nie jest taka jak ja. Przypomina bardziej Annę.

Dlatego nie potępiam Anny za to, co robi.

Jest marzeniem każdego mężczyzny. Potrafi poruszać się między różnymi światami: kochanki, gwiazdy porno, grupie, dziewczyny na telefon. Nie myśli o tym, co robi, jak o obowiązku; dla niej to po prostu pewien rodzaj pożądania. Nie czuje się wykorzystywana, tak więc nie obchodzi jej, co myślą ludzie. A ponieważ sprawia jej to frajdę, nie ma problemów

z przyjmowaniem pieniędzy. Dla niej to uczciwa wymiana.

Choć czasami mam wrażenie, że Anna balansuje na krawędzi przepaści. Jakby seks stał się koniecznością wypełniającą pustkę. Pustkę, której nie da się wypełnić. To mądra dziewczyna, więc w końcu zrozumie, że patrzy w otchłań. Taką przyszłość wróżę Annie. Przeraza mnie to. Ale nie zamierzam jej potępiać. Tak jak nie próbuję jej ratować, ponieważ dla niej – w tym momencie jej życia – jest to gra warta świeczki. Wmawia sobie, że czuje się spełniona. Zresztą może rzeczywiście w to wierzy. Kim jestem, by mówić jej, że jest inaczej?



A ja?

Oto pytanie.

Co ze mną?

Co ja mam z tego wszystkiego? Jaką cenę będę musiała zapłacić?

I skąd mogłam wiedzieć? Przed faktem, nie po. Seks to nie alejka w supermarkecie, gdzie można przyjrzeć się różnym produktom i poznać cenę, zanim się dokona wyboru.

Przyjmijmy więc, że byłam w pełni świadoma wszystkiego, co robiłam i dlaczego. Tak jest ciekawiej. Ponieważ nie znajduje się wymówek. I nie ma na kogo zrzucić winy.

Nie mówię wyłącznie o tym, co zrobiłam, ale również o moich snach i fantazjach. O miejscach, do których prowadziła mnie podświadomość. Ponieważ wszystko ma swój początek w jednym i tym samym miejscu. Koniec końców prawda wyjdzie na jaw. Powtarzam to sobie. Ostatecznie prawda wyjdzie na jaw.

Nie wiem, kogo oszukuję – siebie czy Jacka. Intuicja podpowiada mi, że on o wszystkim wie i podejrzewa, że coś się we mnie zmieniło. Nie chodzi o to, że trudno jest utrzymać coś w tajemnicy przed osobą, która cię kocha i która zna cię najlepiej – to jest po prostu niemożliwe – ale o to, że czasami sprawy dotyczące naszych bliskich, tych, których kochamy, a nawet nas samych, są tak rażąco oczywiste, że postanawiamy je ignorować.

Przecucie to najpotężniejszy organ zmysłu. Nie wzrok, węch, dotyk, smak czy słuch – przecucie. To coś więcej niż kombinacja wszystkich naszych zmysłów. Jeśli mu zaufamy, możemy być pewni, że nie zejdziemy na złą drogę, nie zrobimy nic, co w przyszłości obróci się przeciwko nam, nie zaangażujemy się w związek bez perspektyw.

Od chwili gdy poznałam Jacka, wiedziałam, że to ten jedyny. Nie na chwilę. Na zawsze. Pamiętam, że nie mogłam się doczekać, aż opowiem starszej siostrze o facecie, którego poznałam, i o tym, jaki jest cudowny. Myślałam, że się ucieszy. Tymczasem mnie wyśmiała.

Powiedziała, że jestem za młoda, że się oszukuję, a Jack wydaje się zbyt idealny i prędkiej czy później przekonam się, że jest palantem, jak cała reszta. Nie słuchałam jej, bo ufałam swojemu przecuciu i znałam prawdę.

Dorastając, patrzyłam, jak moje przyjaciółki zmieniają chłopaków. Zawsze potrafiły znaleźć powód, by się ich pozbyć. Były niezadowolone, sfrustrowane albo najzwyczajniej w świecie znudzone. Patrzyłam na nie i wiedziałam, że nie chcę być taka jak one. Wszystkie są teraz singielkami i mam wrażenie, że zawsze nimi były, ponieważ odkąd pamiętam, szukały ideału. Wiedziały dokładnie, kim ich facet ma być, jak powinien wyglądać i jak się zachowywać. To fantazja. Czysta fantazja. Te same bzdury, które sprzedaje się kobietom od niepamiętnych czasów.

Książę z bajki. Mężczyzna doskonały. Ken. Idealny okaz.

Kawaler. Wzorowy małżonek. Wszystko dlatego, że ci faceci, nieprzyzwoicie przystojni, czarujący, na których punkcie tracimy głowy, ci, którzy wydają się zbyt idealni, by mogli być prawdziwi, są zwykle zbyt idealni, a przez to nieprawdziwi. Istnieje inne określenie na kogoś, kto

potrafi wszystkich oczarować. Bardziej adekwatne: to „socjopata”.

Zadziwiająco, jak wiele kobiet zakochuje się w takich facetach. Ile daje się nabrać na ten sam numer i żałuje tego do końca swoich dni.

Miłosna gra to jedno z najstarszych oszustw.

Gra w trzy kubki.

Obserwujesz je i próbujesz zgadnąć, pod którym ukrywa się mężczyzna idealny. Zagraj w nią, a na pewno przegrasz. Zawsze. To z góry przesądzone.

Nikt nie chce uwierzyć, że został oszukany, zwłaszcza jeśli chodzi o miłość. To cholernie boli. Prawdopodobnie bardziej niż cokolwiek na świecie. To jak cios w brzuch, po którym robi ci się niedobrze i czujesz się głupio. Bardzo, bardzo głupio. Tak więc najlepsze, co można zrobić w tej sytuacji, to:

Udawać, że się go przejrzało.

Udawać, że wiedziało się od początku.

Udawać, że nic się nie wydarzyło.

Zacząć od nowa.

I tym razem powiedzcie sobie jasno i wyraźnie: nigdy więcej. Nigdy więcej nie dam się nabrać na ten sam numer.

Ale ludzie wciąż się nabierają.

I nadal będą to robić, bo nie wiedzą, czego w życiu chcą. Dopóki nie będą wiedzieli, dopóty będą powielali ten sam schemat i popełniali te same błędy. Ponieważ gonią za marzeniami. Za wyobrażeniem o mężczyźnie doskonałym, o wzorowym mężu, idealnym kochanku.

Życie wygląda inaczej.

Zupełnie inaczej.

Ludzie tacy nie są.

Mówiąc to, nie mam na myśli wyłącznie kobiet. Faceci również oszukują samych siebie. Przynajmniej ci wrażliwi, ci, którzy ewoluowali na tyle, by widzieć w kobietach coś więcej niż tylko wygodny pojemnik na spermę. Czasami ewoluują aż za bardzo. Za dużo myślą. Stawiają kobiety na piedestale, idealizują je i mają wobec nich oczekiwania, którym żadna nie sprosta. Przynajmniej nie ja. Dla mnie to recepta na życie pełne rozczarowań i nieudanych związków. Szukanie ideału i dostawanie w zamian kogoś zupełnie innego.

Oto jak wygląda miłosna gra. Gra w kubki, w której każdy przegrywa.

Powiecie, że jestem cyniczna.

Odpowiem, że jestem realistką.

Nie mówię, że nie wierzę w miłość, bo w nią wierzę. I jeśli pociągniecie mnie za język, przyznam, że to jedyna rzecz, w którą tak naprawdę wierzę. Nie w Boga, pieniądze ani w ludzi. Tylko w miłość. Nie namawiam nikogo do obniżenia standardów czy zadowolenia się byle czym. Jestem od tego daleka.

Powiem wam coś jeszcze: mój związek z Jackiem wcale tak nie wygląda. Nie opiera się na tym, kim nie jesteśmy, ale na tym, kim jesteśmy. A jesteśmy niedoskonali – jako ludzie, kochankowie, partnerzy. Uwielbiam niedoskonałości, kocham wady i błędy. Lubię siebie taką, jaka jestem, ze wszystkimi wadami i niedociągnięciami. I za to samo kocham Jacka. Mówimy jednak o mnie, nie o nim.

Jack jest jedną z tych wrażliwych dusz, które zbyt wiele myślą, i czasami zamartwiam się, że nie jestem w stanie sprostać jego oczekiwaniom i wyobrażeniom. Robię naprawdę głupie, autodestrukcyjne rzeczy, jakbym chciała dać mu powód, żeby mnie znienawidził.

Takie jak ta, którą zrobiłam ubiegłej nocy. I potrafię udawać, że to coś zupełnie innego.

Na swój sposób jest to nawet uczciwe, bo działałam w zgodzie ze sobą i z własnymi fantazjami. Prawda jest jednak taka, że zdradziłam swojego chłopaka. Mężczyznę, którego kocham, którego chcę poślubić i z którym chcę spędzić resztę życia. Nie zdradziłam go umysłem. Zdradziłam go ciałem. I było mi dobrze.

Ale, do cholery, żyje się tylko raz. Potrafię poradzić sobie z konsekwencjami własnych czynów. Zminimalizuję straty. Jest tylko jedno, czego nie zamierzam tracić.

Jack.



Jack wraca do domu i robię wszystko, żeby przyjął mnie z powrotem, by pokazać mu, że kocham go i pragnę, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Przygotowuję kolację i kiedy je, próbuję wyczytać z jego twarzy, czy nadal jest na mnie zły, zwłaszcza że nasza rozmowa jest sztywna i raczej się nie klei. Dopiero po chwili dociera do mnie, że już sam fakt, że tu jest i je to, co ugotowałam, dobrze wróży.

Jesteśmy ostrożni, jak dwoje ludzi, którzy nie wiedzą, czego się spodziewać po drugiej osobie. Nie widzieliśmy się tydzień, choć mam wrażenie, że upłynął przeszło miesiąc. Ale jestem szczęśliwa, że Jack wrócił do domu.

Po kolacji włącza telewizor i ogląda końcówkę spotu reklamowego kampanii Boba DeVille'a. Siedzi na kanapie, jakby oglądał ostatnie trzydzieści sekund pasjonującego meczu, pochylony, z łokciami na kolanach i rękami splecionymi między nogami. Wydaje się spięty i gotowy w każdej chwili okazać emocje. Ja siedzę z podkulonymi nogami, niczym kot, i trzymam rękę na oparciu kanapy, dokładnie w miejscu, którego dotykałby palcami Jack, gdyby się odchylił.

To najbliższy kontakt, na jaki nas stać. Zrobiłabym wszystko, by to zmienić. Nie mam pojęcia, czy to znaczy, że znów jesteśmy razem, czy nie. Jack wysyła niejasne sygnały, przez co czuję się zdezorientowana.

Patrzemy na kadr z Bobem stojącym w fabryce i słuchającym uważnie młodego człowieka w roboczej koszuli i z ogorzałą od słońca twarzą, któremu życie nie szczędziło zgrzyot. Wygląda jak ojciec Boba, podczas gdy tak naprawdę mógłby być jego synem.

Bob patrzy na niego z powagą i kiwa głową ze zrozumieniem. A na wypadek gdybyśmy nie wiedzieli, o co mu chodzi, słyszymy głos lektora. „Ludzie szukają zmian”, mówi. „Szukają kogoś, kto ich wysłucha, odpowie i zareaguje”.

Mówi, jakby cytował monolog z *Hamleta* albo czytał *Moby Dicka*. To imponujące i upajające, aż człowiek chce mu wierzyć, taki jest przekonujący.

Buduje proste, krótkie zdania, które tworzą przesłanie tak nijakie, że aż nieszkodliwe; tak znajome, że aż pokrzepiające – coś, co naprawdę przemawia do ludzi, trafia prosto do ich serc, odzwierciedla ich wartości, nawet jeśli nie mówi niczego konkretnego.

Proste, krótkie zdania są w porządku, ale to tylko słowa zapisane na papierze; brzmią fałszywie, jeśli ktoś nie potrafi ich odpowiednio wyrecytować. A Bob ma do tego naturalny talent.

Urodził się, żeby zostać politykiem, tak jak wierzymy, że niektórzy ludzie rodzą się po to, żeby zostać artystami, pisarzami czy sportowcami. To jednak błędne rozumowanie, ponieważ ludzie kreatywni albo wybitni w konkretnej dziedzinie swoje osiągnięcia zawdzięczają tylko po części wrodzonym zdolnościom, przede wszystkim wynikają one z tego, że przez wiele lat doskonalili swój talent, skupiali się na tym bez reszty i uczynili to celem swego życia.

Bycie politykiem nie wymaga żadnego talentu, tylko znajomości psychopatologii. Tak więc można śmiało powiedzieć, że ktoś urodził się politykiem. Politycy to elitarna grupa, której przedstawiciele zamiast konkretnych umiejętności wykorzystują swoją pokreconą osobowość, spryt i sztuczki. To ludzie, którzy wymyślili drogę na skróty, by osiągnąć to, co inni osiągają ciężką pracą i dyscypliną. Podejmują wyzwanie i dokonują niemożliwego, by upewnić się, że

zajdą dalej niż inni.

Nie zamierzam wyrzucać niczego Bobowi, ponieważ jest naprawdę dobry w tym, co robi. Należy do najlepszych i doskonale rozumiem, dlaczego Jack jest w niego tak wpatrzony.

Bob wie, jak dotrzeć do mieszkańców miast i wsi, nie zrażając ani jednych, ani drugich. Mówi z pamięci i prosto z serca. Myślę, że potrafiłby sprzedać pastę do zębów bezzębnym, buty i rękawiczki osobom po amputacji i ubezpieczenie na życie skazańcom czekającym na wykonanie wyroku śmierci. Taki jest dobry.

Wygląda też nieźle. Bob ma włosy, które nazywam „fryzurą polityków”. Tak idealnie ułożone, nawilżone i lśniące, że wyglądają, jakby zrobiono je z galaretki. Od czasu do czasu jakieś niesforne pasmo wyrwie się spod kontroli, ale fryzura Boba nigdy nie traci kształtu. Co najwyżej faluje.

Spot kończy się zbliżeniem i mam wrażenie, że widzę każdy por na gładkiej, opalonej i starannie ogolonej twarzy Boba. Wygląda trochę jak Cary Grant, który moim zdaniem jest niedoścignionym wzorem dla wszystkich polityków – przesadnie uprzejmy, inteligentny, seksowny i stojący wobec zagrożeń. Typ człowieka, jakim każdy mężczyzna chciałby być albo z którym chciałby się przyjaźnić i z którym wszystkie kobiety miałyby ochotę pójść do łóżka.

Bob zadaje ostateczny cios: wypowiada słowa, które mają przekonać wyborców, że jest odpowiednim człowiekiem; facetem, którego chcą wysłać do Waszyngtonu, by reprezentował ich interesy. Mówi o tym, co zamierza zrobić dla stanu, jeśli oczywiście wygra wybory: „Chcę, żeby mieszkańcy tego stanu zobaczyli prawdziwego Roberta DeVille’a”.

Muszę się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem, ponieważ nikt nigdy nie zwraca się do niego „Robert”. Zupełnie jakby miał dwie osobowości: jedną dla społeczeństwa i drugą dla całej reszty.

Bob znika z ekranu, a po chwili pojawia się napis GŁOSUJ NA ROBERTA DEVILLE’A i słychać, jak lektor obwieszcza, że sponsorem reklamy była firma SuperPAC albo coś w tym stylu.

Twarz Boba zastępuje Forrester Sachs, ulubiony prezenter Jacka.

Nie mam pojęcia, co widzi w tym facecie, bo moim zdaniem to napuszony dupek. Ale kiedy tylko Jack jest w domu, ogląda każdy jego program.

Forrester Sachs to Bob DeVille bez intelektu i uroku. Jego nazwisko brzmi jak nazwa korporacji. Zresztą wygląda i mówi tak samo.

Pamiętacie, jak wspomniałam o psychopatologii polityków? To samo dotyczy prezenterów telewizyjnych, tyle że podwójnie. Prezenterzy telewizyjni to kiepscy naśladowcy polityków, a próżność uniemożliwia im rywalizację z każdym, z wyjątkiem innych prezenterów. Walczą o lepszy czas antenowy, stanowiska i wyniki oglądalności – czyli to wszystko, co naprawdę liczy się w życiu.

Forrester Sachs prowadzi najlepiej oceniane wiadomości telewizyjne. Jest rekinem w markowym garniturze, z krótko przystrzyżonymi szpakowatymi włosami, szczęką tak mocno zarysowaną, że wygląda, jakby wykuto ją ze stali, i idealnie wyregulowanymi brwiami. Oto wygląd, który wyraża wszystkie jego cechy: powagę, szczerą młodość i mądrość. To bezpłciowy automat mówiący wprost do kamery z całą udawaną powagą i doniosłością, na jakie go stać. Jednak nic nie było w stanie przygotować mnie na to, co chwilę później usłyszałam z jego ust.

Dziś wieczorem...

W Forrester Sachs prezentuje...

Przyjrzymy się...

Bundy Ma Talent...

Stronie internetowej, która w ciągu trzech miesięcy doprowadziła do samobójstwa trzy młode kobiety...

Przyjrzymy się również sprawcy całego zamieszania...

Bundy'emu Tremayne'owi...

Samozwańczemu Simonowi Cowellowi internetowego porno.

Zdumiona otwieram usta i patrzę na ekran, choć nie wyjaśniam Jackowi dlaczego. Nie powiedziałam mu o Bundym. Nawet o nim nie wspomniałam. Gdyby się o nim dowiedział, musiałabym opowiedzieć o wszystkim. A gdybym tego nie zrobiła, i tak szybko by się domyślił.

W tle, w lewym górnym rogu, za wypielęgowaną i dziwnie gładką twarzą Forrestera Sachsa, pojawia się policyjne zdjęcie Bundy'ego, które udało się zdobyć jakiemuś dziennikarzowi śledczemu.

Nie mam pojęcia, skąd je wytrzasnął, ale nie sądzę, żeby Bundy był aresztowany za coś poważniejszego niż jazda pod wpływem alkoholu czy posiadanie trawki, ponieważ jest palantem, ale nie przestępcą. Na zdjęciu wydaje się zmęczony, skacowany i ma włosy odciśnięte od noszenia czapki.

Ale nie chodzi o to, jak fatalnie wygląda na tej fotografii, tylko o to, w jaki sposób zostaje przedstawiony. U widzów Bundy już zyskał opinię niebezpiecznego złooczyńcy. Wystarczyła trzydziestosekundowa zapowiedź programu, by został postawiony w stan oskarżenia, osądzony, uznany za winnego i skazany przez sąd opinii publicznej.

Zanim pojawią się napisy końcowe, nazwisko Bundy'ego znajdzie się na Twitterze obok takich hashtagów, jak:

#seksualnydrapieżca

#samobójstwo

#regulrzniciabundy'ego

#pedofl

#osobamolestujcanieletnich

#zdjeciasutkow

#obciqganie

#karaśmiercijestdłaniegozbytłagodna

#bohater

#zwycięzca

Zwolennicy i przeciwnicy stworzą profile na Facebooku z dokładnymi informacjami na jego temat. Podadzą nazwisko Bundy'ego, wiek, miejsce urodzenia i zamieszkania, listę osób, z którymi sypiał, zamieszczą policyjne zdjęcia. Każda z tych stron od razu będzie miała setki tysięcy „polubień”. Dziewczyny w komentarzach będą zostawiały swoje numery telefonów i rozmiary stanika. Jedni będą grozić mu śmiercią, inni zachęcać do dalszego działania.

Bundy z minuty na minutę stanie się czarnym charakterem i celebrytą, prawdziwym bohaterem ludu. Jego marka zyska rozgłos na całym świecie i – moim zdaniem – jest to cholernie nie w porządku.

Bundy jest szkalowany w publicznej telewizji i zasługuje na to. To palant. Nic dodać, nic ująć. Chociaż bardziej jestem zła na siebie samą, bo powinnam przewidzieć, do czego jest zdolny. Tak jak powinny były to przewidzieć tamte dziewczyny. Tyle że ich już nie ma, więc nie mogą opowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło. Zamiast nich w studiu jest Forrester Sachs. Prezenter telewizyjny, który wykorzysta ich historię i tragedię, by podnieść oglądalność swojego programu.

„Dwudziestodwuletnia Kirstin Duncan czuła, że nie ma wyboru”, zaczyna Sachs. „Jej przelotna przygoda zamieniła się w koszmar, z którego nie była w stanie się wyrwać. Koszmar,

który doprowadził do tego, że odebrała sobie życie. Jednak zanim to zrobiła, nagrała to wideo, żeby świat mógł poznać jej historię i żeby zdemaskować seksualnego drapieżcę, z którego powodu nie miała po co żyć”.

Puszczają nagranie, bez żadnego komentarza czy lektora. Muszę przyznać, że jest ono cholernie obciążające. Kirstin nie podaje nazwisk, ale słuchając jej, nie mam wątpliwości, o kim mówi. Kto ją do tego popchnął. Kto jest odpowiedzialny za jej śmierć.

Bundy.

Wideo zostało nagrane w sypialni Kirstin. Kamerą z jej laptopa. Widzimy ją, jak siedzi przy biurku. W tle wszystko jest białoróżowe, w stylu kucyków My Little Pony, i albo puszyste, albo koronkowe. Przypomina to dziecięcą sypialnię, na którą nie szczędzono pieniędzy.

Dziecięca sypialnia, w której śpi dorosła kobieta.

Jest umalowana i ma na sobie swoje ulubione ubrania. Jest naprawdę śliczna. Taka niewinna i słodka. Z miną niewiniątka wygląda jak czyjaś córka. Nie jak dziewczyna, która miewa przelotne przygody. Bez względu na to, jak bardzo się staram, nie potrafię wyobrazić sobie, jak obciąża Bundy’emu, który pozostawia na jej języku nasienie. To kompletnie do niej nie pasuje. Ale myślę, że o to właśnie chodzi.

W nagraniu nie padają żadne słowa. W dobie internetu i smartfonów to dość dziwne, zupełnie jakby film dźwiękowy nie został wynaleziony. W tle słychać jedynie piosenkę Nickelback. To dobrze, bo jeśli istnieje jakikolwiek zespół, który mógłby nagrać ścieżkę dźwiękową do listu pożegnального samobójcy, to jest nim Nickelback.

Gdybym była młodą kobietą, która czuje, że jej życie legło w gruzach, i chciałabym nagrać taki film, pewnie też wybrałabym Chada Kroegera, żeby powiedział to wszystko, czego sama nie miałam odwagi powiedzieć, i był głosem, którego nigdy nie miałam. Głosem, który wyrazi mój najgłębszy ból i udrękę. Który powie: „Już po mnie”.

Kiedy Chad śpiewa, Kirstin podnosi kolejne kartki z leżącej przed nią starannie przygotowanej kupki. Ma na nich to wszystko, co chciała przekazać światu. Jej tajemnice. Napisane starannie markerem – drukowanymi literami – na białych kartkach, bez dbałości o gramatykę, interpunkcję i ortografię. Zastanawiam się, jak to możliwe, że dziewczyna po dwudziestce nadal pisze jak dziesięciolatka. I myślę sobie, że nie chciałabym sprawdzać jej prac semestralnych.

Podnosząc kolejne kartki, robi miny, naśladując internetowe emotikony, jakby uważała to za stosowne – jakby bawiła się w odgrywanie szarad, w których każdy zna odpowiedź, jeszcze zanim zobaczy minę.

Podnosi pierwszy kartonik.

POZNAŁAM FACETA

I kolejny.

BYŁ NAPRAWDĘ SŁODKI

Unosi kciuki i uśmiecha się szeroko.

POD OKIEM MIAŁ WYTATUOWANEGO PONCZKA Z LUKREM

To oczywiste, że mówi o Bundym.

HA HA

Udaje, że wybucha gromkim śmiechem.

MYŚLAŁAM TE MNIE KOCHA

MYŚLAŁAM ŻE JUT ZAWSZE BĘDZEMY RAZEM

Splata palce na kształt serduszka, przykłada je do piersi i znów się uśmiecha.

I ŻE SIĘ MNĄ ZAOPIEKUJE

POZWOLIŁAM MU ZROBIĆ ZDJĘCIA

Kręci głową, jakby chciała pokazać, że żałuje swojej decyzji.

MUWIŁ ŻE SA TYLKO DLA NAS

Przygryza wargę i kiwa głową.

ŻEBYŚMY PAMIĘTALI SWUJ PIERWSZY RAS

I MOGLI JE OGLĄDAĆ KIEDY BĘDZIEMY NA PRAWDE STARZY

I PAMIĘTALI JACY BYLIŚMY

UWIEŻYŁAM MU

ALE TO NIE BYŁA PRAWDA

Z powagą kręci głową. Patrzą na to i myślę sobie, że nie jest to *Subterranean Homesick Blues*. I nie jestem pewna, czy Bob Dylan zgodziłby się z czymś takim.

ZAMIEŚCIŁ JE NA STRONIE

O NICZYM NIE WIEDZIAŁAM

AŻ BYŁO ZA PÓŹNO

Marszczy czoło i znowu kiwa głową – wolno, jakby chciała powiedzieć: „Możecie w to uwierzyć?”.

AŻ MOJA NAJLEPSZA PRZYJACIÓŁKA POWIEDZIAŁA MI O
WSZYSTKIM

JEJ BRAT JE OGLĄDAŁ

I ŚCIONGNAŁ JE NA TELEFON

WYŚLAŁ JE DO WSZYSTKICH SWOICH PRZYJACIÓŁ

I PISALI O MNIE NA FEJSBUKU

TAK ŻEBYM TEŻ ZOBACZYŁA

Przestaje robić miny. Teraz przerzuca kartki tak szybko, jak to możliwe, bo chce mieć to już za sobą. Pokazywanie czegoś takiego publicznie jest żenujące. Jej twarz jest maską wyrażającą żal.

MUWILI O MNIE STRASZNE RZECZY

NAZYWALI MNIE ZDZIRĄ

I DZIFKĄ

MUWILI ŻE JESTEM ĆPUNKA

Wygląda na to, że im bardziej dramatyczna staje się opowieść, tym więcej popełnia błędów.

ŻAŁUJE ŻE TO S/E WYDAŻYŁO

ŻAŁUJE ŻE GO POZNAŁAM

Tu nagranie się kończy. Wracam pamięcią do nocy, którą spędziłam w towarzystwie Bundy’ego i Anny, kiedy przyglądałam się, jak on pracuje, i dochodzę do wniosku, że Kirstin pomija pewne istotne szczegóły i przekręca fakty, żeby ratować swoją godność. To tylko część prawdy o Bundym. Te najgorsze fragmenty. Nie mówię, że to, przez co przeszła ta dziewczyna i co musiała zrobić, nie było straszne, ale cała reszta to ewidentny dowód, że ją prześladowano w sieci, i kto wie, co przepełniło czarę goryczy.

Forrester Sachs opisuje ostatnie chwile życia Kirstin z powagą tak wielką, jakby przekazywał widzom informacje o śmierci ukochanego męża stanu. Po chwili zaczyna recytować nazwiska pozostałych dziewczyn, które pojawiły się na stronach Bundy’ego i popełniły samobójstwo.

Kiedy dociera do Daisy Taylor, zaczynam rozumieć. Daisy, dziewczyna, która pracowała z Jackiem w sztabie wyborczym. Nie pojmuję, dlaczego wcześniej nie połączyłam obu tych spraw. Może dlatego, że to, co widzimy w telewizji, nigdy nie wydaje się rzeczywiste i nie ma związku z naszym życiem. To rzeczy, które – jak wszystko inne w telewizji – udają, że dzieją się

naprawdę, że dotyczą prawdziwych ludzi i wydarzeń.

Ale tu nie chodzi tylko o Bundy'ego. Tu chodzi o Jacka. Patrę na niego, jak z kamienną twarzą wpatruje się w ekran. Kładę mu rękę na plecach, żeby wiedział, że jestem tu, przy nim i dla niego. Nie zwraca na mnie uwagi, ale też nie ucieka przed moim dotykiem. Skupia się na programie, bo Forrester Sachs jeszcze nie skończył. Wciąż ma kilka gwoździ, które zamierza wbić do trumny Bundy'ego.

Wyjawia kolejny fakt dotyczący Bundy'ego, o którym nie miałam pojęcia. Podobno jeśli dziewczyny, których zdjęcia trafiły na jego stronę, żałowały tego, co zrobiły, jeśli się skarżyły albo błagały, żeby je usunął, Bundy się zgadzał. Ale tylko wtedy, gdy mu zapłaciły.

„Bundy jest pełen niespodzianek”, przypominam sobie słowa Anny i wiem, że mówiła prawdę.

Fotograf. Pornograf. Alfons. Szantażysta. Podła gadzina.

W tym momencie Jack dochodzi do wniosku, że dość już usłyszał.

– Ten facet to pieprzony palant – mówi z taką nienawiścią, że zaczynam się bać. Nigdy nie widziałam go tak wzburzonego. Nie miałam pojęcia, że drzemią w nim takie pokłady złości.

– Po co oglądamy to gównno?

Muszę mu przypomnieć, że to jego ulubiony program.

Zamierza zmienić kanał, ale mówię mu, że chcę to obejrzeć, bo Bundy jest przyjacielem Anny.

– Powinna ostrożniej dobierać przyjaciół – komentuje to. – Poznałaś go?

– Nie. – Kłamstwo przychodzi mi z łatwością. – Ale słyszałam, jak o nim wspominała.

Gdyby Jack znał choć część prawdy... Gdyby wiedział, że Bundy próbował zrobić ze mnie, dziewczyny Jacka, luksusową dziwkę, nie poprzestałyby na przeklinaniu i próbie zmiany kanału.

I właśnie dlatego nie może się dowiedzieć.

Chciałabym być jak Kirstin i wyjawić wszystkie moje sekrety. Chciałabym być tak odważna jak ona i powiedzieć prawdę. Wtedy wszystko byłoby znacznie prostsze.



Producenci programu dotarli do rodziców Kirstin – Gila i Patty. Gil jest kierownikiem w koncernie naftowym. Patty zajmuje się domem. Stoją razem na podjeździe swojej posesji, dając popis siły, mimo iż są w trakcie burzliwego rozwodu.

– Moja córeczka nigdy nie zrobiłaby rzeczy, które jej przypisują – oświadcza Gil. – Zamierzam poruszyć tę sprawę w Kongresie. Powinno się ocenzurować cały internet. Oczyścić go z wszelkiego plugastwa, usunąć zdjęcia, które ten zboczeniec zrobił mojej córeczce...

Urywa, jednak uznaje, że nie wyraził się dość jasno.

– Tak by jej młodszy brat nigdy ich nie zobaczył – dodaje.

Chyba nie bardzo wie, czym jest internet. To kierownik w koncernie naftowym, człowiek oderwany od rzeczywistości. Ma sekretarkę, która zajmuje się jego pocztą elektroniczną, a nawet włącza mu komputer. Sam nie ma pojęcia, jak go obsługiwać, tak więc traktuje go jak wielką, paskudną czarną lampę biurkową, która robi mnóstwo hałasu.

Wygląda na to, że ten człowiek nie rozumie podstawowej rzeczy: internet jest wieczny. Jeden głupi błąd i już nigdy się od niego nie uwolniesz.

Najwyraźniej Kirstin też nie miała o tym pojęcia – mimo iż spędzała osiemdziesiąt procent wolnego czasu, surfując w sieci, wysyłając wiadomości, czatując i przesyłając dane. I to wpędziło ją w tarapaty. Poznała Bundy'ego przez internet i zgodziła się spotkać z nim w barze. To, co wydarzyło się później, nie jest tajemnicą.

Teraz to już nie Kirstin. To „Zdzirowaty blond lachociąg numer 23” na stronie Obrzydliwie Bogate Zdziry. Podczas drugiej przerwy reklamowej jej profil odwiedziło piętnaście milionów osób. Nagle stała się inspiracją dla milionów oblesnych koniobijców, którzy nie dowiedzieliby się, kim jest, gdyby Forrester Sachs nie odrobił za nich pracy domowej. I nie mówię tu wyłącznie o Ameryce, ale o ludziach z całego świata. Jej zdjęcia trafiły na blogi porno w Azerbejdżanie i na Kajmanach. Nie tylko nazwisko Bundy’ego zyskało międzynarodowy rozgłos; jego strona miała tyle odwiedzin, że padł serwer, a dochody z reklam gwałtownie wzrosły.

Biedna dziewczyna nie żyje. Bundy jest bogaty.

Życie jest niesprawiedliwe. Naprawdę do dupy.

Tymczasem Bundy zapadł się pod ziemię. Zniknął i nikt nie wie, gdzie się podziwia. A ponieważ Forresterowi nie udało się przekonać go do udzielenia wywiadu, producenci programu znaleźli kogoś, kto wypowie się w jego imieniu.

Jego matkę, Charmaine.

„A już po przerwie – mówi Sachs – porozmawiamy z matką Bundy’ego Tremayne’a. I przekonamy się, co ma do powiedzenia na temat swojego syna”.



W przerwie reklamowej przynoszę Jackowi piwo. Kiedy jestem w kuchni, dzwonię do Anny. Nie odbiera, więc wysyłam jej wiadomość.

BUNDY. CO DO KURWY NĘDZY?!

Nie odpisuje w czasie, którego potrzebuję na wyjęcie piwa z lodówki, więc zostawiam telefon na blacie i blokuję go, na wypadek gdyby Jack wszedł do kuchni.

Wracam z piwem w chwili, kiedy na ekranie pojawia się Charmaine stojąca na balkonie swojego mieszkania nad brzegiem morza. Mieszkania, które kupił jej Bundy, a które zostanie przejęte, jeśli nie będzie go utrzymywał, ponieważ Charmaine nie ma żadnych dochodów. Jestem więc pewna, że skwapliwie skorzystała z okazji, by pojawić się w programie emitowanym w godzinach największej oglądalności i prosić Bundy’ego, żeby wrócił. Charmaine Tremayne ma do powiedzenia własną łzawą historijkę.

Kiedy Bundy przyszedł na świat, Charmaine doprowadziła się do porządku i poczuła, że musi znaleźć coś, co wypełni pustkę po narkotykach. Anna mówiła, że zwróciła się w stronę religii, ale traktowała ją jak wszystko inne w swoim życiu – niczym zakupoholiczka albo osoba eksperymentująca z różnymi kombinacjami pigułek i prochów. I przerobiła je wszystkie.

New Age, chrześcijaństwo, judaizm, buddyzm, hinduizm, sikhizm i islam.

Za każdym razem, gdy znajdowała nową religię, nie była w stanie porzucić starej, tak więc łączyła je, przyjmując nowe rytuały, przesady i symbole. Wszystkie odcisnęły piętno na jej osobowości. Charmaine ma na rękach tatuaże z henny, nosi na nadgarstkach indiańskie amulety, a na szyi wisior z Jezusem. Ćwiczy jogę, śpiewa pieśni kościelne, spowiada się, obchodzi szabas i pości. Jest chodzącą sprzecznością Słowa Bożego. Zupełnie jakby wyznawała wszystkie możliwe religie, a zarazem nie wyznawała żadnej.

Anna opowiedziała mi też, że ojciec Bundy’ego, Richard Savoy Tremayne, wybrał tę samą, choć nieco wypaczoną drogę. Rzucił prochy, wycofał się z bankowości i stworzył grupę wsparcia dla ludzi, którzy chcieli zrobić to samo. Nieświadomie, podobnie jak Kubrick, trafił na podatny grunt w sektorze finansowym. Biznes kwitł. Bankierzy ćpuny walili do niego drzwiami i oknami, licząc na jego wsparcie i dobrą radę. Grupa wsparcia przerodziła się w sektę złożoną z głównych księgowych – byłych kokainistów; dyrektorów finansowych – heroinistów;

handlowców uzależnionych od metamfetaminy, z Richardem w roli ich guru i przywódcy i Charmaine u jego boku. Tak więc Bundy wychowywał się w sekcie aż do czasu, gdy wszedł w okres dojrzewania i zaczął się buntować.

Mniej więcej w tym samym czasie Charmaine na krótko przeszła na islam i przyjęła muzułmańskie imię – Leila. Uświadomiła sobie, że wyszła za Richarda wyłącznie ze względu na jego nazwisko, które rymowało się z jej imieniem. Dlatego odeszła. Kiedy to zrobiła, Richard odciął ją od pieniędzy i zostawił bez dochodów.

Sądząc po jej minie, Charmaine rzadko uprawia seks albo uprawia kiepski seks. Jest spięta i sztywna, jak biurwa, która swoim zachowaniem doprowadza do szału pracujących z nią mężczyzn, ci zaś mówią za jej plecami, że „przydałoby się jej solidne rżnięcie”.

W dodatku każdy z nich jest zdania, że to właśnie on sprostałby zadaniu. Pewnie mają rację i Charmaine rzeczywiście potrzebuje solidnego rżnięcia. Choć z drugiej strony nie wydaje mi się, żeby to było takie proste. Myślę, że abstynencja seksualna rodzi szaleństwo, które zatruwa umysł i ciało – od wewnątrz – jak syfilis, aż w końcu wyłazi na twarzy, skórze i w zachowaniu.

Charmaine Tremayne poświęciła duszę dla syna. Jednak zgodziła się wystąpić w programie Forrestera Sachsa tylko po to, by ocalić swoje mieszkanie. Nie ma pojęcia, że znajduje się w bardzo niekorzystnej sytuacji. Wie tylko, że Bundy zapadł się pod ziemię. Myśli, że zaproszono ją do programu, żeby udawała pogrążoną w smutku matkę, usychającą z tęsknoty i czekającą na powrót syna. Tymczasem jest tu w roli kozła ofiarnego.

– Jestem dumna z syna – oznajmia. Przed wejściem na antenę musiała wypić kilka głębszych, bo oczy ma szkliste i płacze jej się język. – To biznesmen, który do wszystkiego doszedł własną pracą. Człowiek sukcesu.

– To seksualny drapieżca, Charmaine – mówi Sachs. Słowa „seksualny drapieżca” spływają z jego ust, jakby poświęcił całą noc na uczenie się, jak wymawiać je swobodnie i obojętnie, z nutką słuszności w głosie i bez jawnej wrogości.

– Nie – upiera się Charmaine. – Nie – powtarza, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi. Idę o zakład, że w tym momencie chwieje się na nogach.

– Doprowadził te dziewczyny do samobójstwa – ciągnie Sachs. Nonszalancko zagląda do notatek, ponieważ wie, że jest tak kurewsko dobry w tym, co robi, że równie dobrze mógłby prowadzić tę rozmowę przez sen. Zastanawiam się, czy płacą komuś, żeby pisał te rzeczy, czy robi to sam.

– Nie – odpowiada Charmaine. – Nie.

Tym razem zaprzecza, bo nie wie, co innego mogłaby powiedzieć. Już na pierwszy rzut oka widać, że Sachs i tak nie obchodzi, co ona ma do powiedzenia. Dla niego jej słowa są bez znaczenia. To chwila ciszy w eterze, w której czasie bierze oddech, by wyrzucić z siebie kolejną litanię pomówień. Wszystko to bowiem zostało dokładnie zaplanowane. Tak by Forrester Sachs wyszedł na bohatera, wielkiego człowieka, któremu nieobcy jest los maluczkich. To prezydent telewizyjny z kompleksem mesjasza, w garniturze Toma Forda, z ramionami tak szerokimi, że byłby w stanie objąć nimi wszystkie ofiary świata.

A tak naprawdę utrwała pewien cykl, prześladowuje ludzi po śmierci, tak jak byli prześladowani za życia. Publicznie pierze cudze brudy, nie zważając na konsekwencje. Poświęca swoich rozmówców na ołtarzu własnej próżności. Zastanawiam się, czy w ogóle może zasnąć. Naprawdę mnie to nurtuje.

– Co chcesz powiedzieć swojemu synowi, Charmaine? – pyta Sachs. – Teraz, kiedy wiesz, czego się dopuścił. Kiedy wiesz, że przez niego zginęli ludzie.

Czeka na efekt, zabójczy kawałek materiału, który pojawi się w każdej stacji telewizyjnej i będzie nadawany niemal bez przerwy jako dwusekundowa zapowiedź dłuższego reportażu.

Widzimy zbliżenie twarzy Charmaine, która patrzy prosto w kamerę, albo raczej tam, gdzie – jej zdaniem – powinna patrzeć. Spogląda na kamerzystę i zwraca się do niego, więc w telewizji wygląda nie tak, jakby patrzyła gdzieś przed siebie, zupełnie nieobecna, jakby wcale jej tu nie było. Do jej szklistych oczu napływają łzy, usta drżą, jakby miała się rozpłakać, i mówi łamiącym się głosem:

– Mamusia cię kocha, Bundy. Mamusia cię kocha.

Wyobrażam sobie uśmiezek na twarzy Sachsa, który właśnie dostał to, co chciał. Patrząc na to wszystko, uświadamiam sobie, że to jedna z tych tragedii, które człowiek widzi w telewizji i myśli, że nigdy nie stanie się ich częścią. Pełna relacja, dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzień w dzień. Życie ludzi i ich śmierć, celebrowane przez krótką chwilę w wirze wiadomości. Albo – jeśli mają odrobinę szczęścia – nieco dłużej. Może „celebrowane” nie jest odpowiednim słowem. Fetyszyzowane. By zaraz potem popaść w zapomnienie. Stać się kolejną bezimienną ofiarą tragedii, której można było zapobiec.

Dochodzę do wniosku, że ja również mam już dość. Proszę Jacka, żeby zmienił kanał, a on chętnie to robi. Znowu oglądamy końcówkę spotu wyborczego Boba De Ville’a, kiedy tłumaczy ludziom, że chce, by zobaczyli jego prawdziwą twarz.

– Bob zaprosił nas na weekend – mówi Jack, nie odrywając wzroku od telewizora.

– Tak? – Jestem zaskoczona, ale szczęśliwa.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spędzić razem trochę czasu.

Nie posiadam się z radości. To brzmi jak gałązka oliwna, jakby chciał nam dać drugą szansę.

– Super. Kiedy? – pytam.

– W ten weekend.

W głębi duszy cieszę się jak dziecko, bo w ten weekend wypada Dzień Kolumba – długi weekend poprzedzający wybory – i spędzimy razem więcej czasu, niż mogłam się spodziewać. Żeby uratować nasz związek, zrobię wszystko, nawet jeśli będę musiała udawać przed szefem Jacka grzeczną, posłuszną panienkę.



Jadąc do DeVille'ów, mam wrażenie, że ja i Jack oddaliśmy się od problemów i zmierzamy w stronę nowego horyzontu. Tym bardziej chcę zostawić za sobą wszystko, co złe, i zacząć od początku. Kilka razy widzę, jak zerka na mnie ukradkiem, myśląc, że nie patrzę.

Bob DeVille i jego żona Gena mieszkają w pozbawionym ścianek działowych ogromnym dwupoziomowym domu na zboczu. Mają tu tarasowy ogród, mnóstwo przestrzeni, taras na tyłach domu i basen z widokiem na długą uroczą dolinę z płynącą w dole rzeką i na góry w oddali. Z tarasu widać jedynie ciągnący się kilometrami, bezkresny, niczym niezmacony krajobraz i kilka innych domów.

Kiedy tuż po przyjeździe Bob zabiera nas tam, żebyśmy mogli podziwiać widok, jestem pod wrażeniem.

– Chcę tu zamieszkać – szepczę do Jacka.

– Tu?

– W takim miejscu – odpowiadam. – Tylko ty, ja i piękno przyrody.

– W takim razie muszę osiągnąć coś w życiu. – Uśmiecha się.

Nie wątpię, że tak się stanie, i chcę być wtedy u jego boku.

– To miejsce jest niesamowite – dodaję. – Wiedziałam, że Bob jest bogaty, ale nie przypuszczałam, że aż tak.

– Jest dobry w tym, co robi – tłumaczy Jack. – To jeden z najlepszych ludzi w swojej branży. Procesuje się z koncernami naftowymi.

To pierwszy raz, kiedy mam okazję poznać Boba. Do tej pory widziałam jedynie jego zdjęcia na ogromnych plakatach, którymi jest oblepiony sztab wyborczy. Wyglądają jak reklamy proszku do prania albo płynu do czyszczenia. Wyretuszowane do granic możliwości. I Bob ze swoją surową urodą i ulizanymi włosami – jak mężczyzna z reklamy Marlboro reklamujący produkty do higieny jamy ustnej Crest. Ale to wszystko ściema, bo w rzeczywistości wcale tak nie wygląda. Jest sztywny, głupkowaty i ofermowaty, przez co jeszcze bardziej go lubię.

Gena to piękność z Południa z wdziękiem i postawą kobiety, która uczęszczała do prywatnych szkół. Wygląda jak relikwiarz uroku lat sześćdziesiątych; jasne włosy ma wywinięte na końcach, jakby nigdy nie wyszły z mody. Jest w turkusowym spodniem, takim, w jakim zwykle widuje się Hillary Clinton. Wygląda stylowo i wytwornie.

Przed lunchem Bob i Jack, siedząc na kanapie, prowadzą męską rozmowę o polityce i sytuacji na świecie. Ja oglądam zdjęcia na kominku i moją uwagę przykuwa czarno-biała fotografia Geny.

Kiedy ją zrobiono, musiała być mniej więcej w moim wieku. Przypomina Ingrid Bergman z *Podróży do Włoch*. Jest śliczna i elegancka. W jej oczach dostrzegam hipnotyzującą tęsknotę i ciepło.

– Piękne oczy – mówię pod nosem i sięgam po zdjęcie, nieświadoma, że Gena stoi tuż za moimi plecami.

– Dziękuję. Bob twierdzi, że to moje oczy skradły mu serce i żeby je odzyskać, musiał się ze mną ożenić.

Patrzę w jej oczy i uświadamiam sobie, że nie są już takie jak kiedyś. Teraz są smutne, jakby brała zbyt wiele leków na receptę, a usta opadają w kącikach jak białe do połowy

gwoździe, które wygięły się, bo ktoś nie trafił młotkiem prosto w łebek.

Zastanawiam się, dlaczego tak się zmieniła. Patrzę na nią i mam wrażenie, że jest obłąkana i zagubiona. Ale muszę przyznać, że stara się tego nie okazywać.

Jack tego nie zauważa. Nie dostrzega tych małych pęknięć. Nie jest gotowy zajrzeć pod maski, za którymi kryją się prawdziwi Bob i Gena. Jest zbyt pochłonięty rozmową z Bobem.

Jack to mądry facet, spostrzegawczy. Ale czasami doprowadza mnie do rozpacz. Nie chodzi o to, że nie potrafi przejrzeć ludzi. On nie chce tego zrobić. Za bardzo chce w nich wierzyć, przekonać ich do tego, kim jest i co może osiągnąć. W oczach Jacka Bob to człowiek, który nigdy nie dopuściłby się żadnej niegodziwości.

Kiedy na nich patrzę, mam wrażenie, że Bob postrzega Jacka w podobny sposób, widzi w nim faceta, który ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Udamę, że nie słucham, o czym rozmawiają, ale słyszę, jak Bob zwraca się do Jacka:

– Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Jeśli nam się uda, znajdę dla ciebie odpowiednie miejsce.

Mówiąc to, otacza go ramieniem. To kolejna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy. Bob traktuje Jacka jak syna.

Bob i Gena nie mają dzieci. To trochę dziwne, bo kiedy o tym pomyślę, nie przypominam sobie żadnego bezdzietnego polityka. Nawet ci, którzy nadal nie wyszli z ukrycia i którzy w końcu dają się przyłapać ze spuszczoneymi spodniami, jak pieprzą się w swoim gabinecie z męską cizią poderwaną w barze dla gejów – nawet tacy faceci mają żony i dzieci czekające na nich w domu.

Ale nie Bob i Gena. Mają tylko psa. Jakiegoś teriera. Nadali mu imię dziecka, którego nigdy nie mieli. Nazwali go Sebastian. I traktują go jak dziecko. Ponieważ to wyjątkowa okazja i mają gości, Gena ubrała go w psi krawat i smoking.

Niektórzy lubią koty, inni psy. Ja lubię i koty, i psy. Kocham psy. Ale nie te małe. A już na pewno nie lubię tego małego psa.

Ten uważa, że jest słodki, choć wcale taki nie jest. To zwierzę, które za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę. Jego ulubioną zabawką jest plastikowy pies. Tej samej rasy i koloru, tyle że mniejszy. Miniaturowa replika jego samego. Plastikowy pies, który piszczy. Ulubioną rozrywką Sebastiana jest przechadzanie się po domu, jakby to on był jego właścicielem, noszenie w zębach plastikowego psa i gryzienie go, tak żeby piszczał. Kładzie oślinioną wersję siebie samego u moich stóp i czeka, aż ją podniosę i rzucę. Rzucam ją i dziesięć sekund później pies wraca po więcej, a plastikowa zabawka ląduje z powrotem u mych stóp, jeszcze bardziej ośliniona.

Bob i Jack są nadal pograżeni w rozmowie. Gena jest w kuchni, a ja mam się bawić z głupim psem i jego plastikowym sobowtórem. Po trzech, czterech rundach zaczyna mnie to nudzić. Zabawka jest cała ośliniona i nie mam ochoty brać jej do rąk, bo nie wiem nawet, skąd Sebastian ją przyniósł. Na szczęście Gena woła nas na lunch.



Siedzimy przy pięknym dębowym stole z przełomu wieków, podtrzymywanym przez masywne łwie łapy. Jest stanowczo za duży dla czterech osób. Bob siedzi w jednym końcu, Gena w drugim, a my z Jackiem naprzeciw siebie, pośrodku. Mimo to mam wrażenie, że dzieli nas głęboka przepaść.

Stół jest zastawiony porcelanowymi talerzami, srebrnymi sztucami i cynowymi naczyniami, które są w rodzinie Boba od pokoleń. Czekają nas przygotowany przez Genę tradycyjny posiłek z okazji Dnia Kolumba. Solony dorsz, sardynki, owoce morza, ryż i fasola.

Nie miałam pojęcia, że oprócz klopsików i spaghetti istnieje coś takiego jak tradycyjny posiłek z okazji Dnia Kolumba – jedzenie rybaków podawane w taki sposób, w jaki jedli je na *Santa Marii*.

Siedzący na końcu stołu Bob odmawia modlitwę. Dłonie ma splecione, głowę pochyloną. Ja również spuszczałam głowę, ale zerkam ponad rękami, jak dziecko biorące udział w obrzędach, których nie rozumie i w które nie do końca wierzy. Nigdy nie wyrosłam z tego przyzwyczajenia: udawania, że się modłę.

Dorastałam w rodzinie katolickiej, więc nie można powiedzieć, że nie miałam okazji, żeby ćwiczyć, ale podczas rodzinnych obiadów czułam się jak oszust, który udaje i wcale nie wierzy w to, co robi. Pochylałam głowę, mamrocząc słowa, żebym nie czuła się winna, i zerkalam na pozostałych, by zobaczyć, czy oni też tak robią. Mój brat zawsze modlił się, jak należy. Ale starsza siostra była taka jak ja – zbuntowana – i gdy wszyscy inni dziękowali Bogu, my organizowałyśmy zawody, która z nas bardziej wystawi język i jak najdłużej nie zostanie przyłapana. Później, kiedy byłyśmy na tyle duże, żeby rozumieć, o co chodzi, pokazywałyśmy sobie środkowy palec.

Podnoszę wzrok i się rozglądam. Bob odmawia modlitwę głosem, który znam z telewizyjnych spotów wyborczych. Gena pokornie zwiesza głowę, przymyka oczy i powtarza za mężem. Na jej twarzy maluje się ból. Jack robi to samo co ja, a kiedy nasze spojrzenia krzyżują się ponad stołem, uśmiecha się.

Kiedy jemy, Sebastian, który został już nakarmiony, biega wokół stołu, nosząc w pysku piszczącą zabawkę, zatrzymuje się przy każdym z nas, wypuszcza z pyska plastikowego psa i patrzy wyczekująco z nadzieją, że ktoś się z nim pobawi. Kiedy jedna osoba nie okazuje zainteresowania, idzie do drugiej. W końcu dochodzi do wniosku, że nie poświęcamy mu wystarczająco dużo uwagi, a zabawka nie odnosi pożądanego efektu.

I co robi? Robi kupę w jadalni. Zostawia idealne małe gówienko na środku pięknego marokańskiego dywanu, które wygląda jak część wzoru i jest praktycznie niewidoczne.

Na tym, jego zdaniem, polega bycie słodkim. Na zrobieniu kupy na środku pokoju, żeby sprowokować komentarze. Bezceremonialnie wypróżnia się niecałe półtora metra od stołu, przy którym Jack, Bob, Gena i ja jemy obiad, i nikt z nas niczego nie zauważa. Aż do chwili, gdy Bob wstaje od stołu, żeby napełnić kieliszki. Wdeptuje prosto w kupę, ślizga się, jakby nadepnął na skórę banana, i upada na tyłek. Wygląda to komicznie; prawie wybucham histerycznym śmiechem, jednak Bob jest tak wściekły, że Gena musi zaprowadzić go do innej części domu, żeby się uspokoił. Jack i ja kończymy posiłek we dwoje; czujemy się niezręcznie, jakbyśmy zobaczyli oblicze Boba DeVille'a, którego nie powinniśmy oglądać. W końcu Gena wraca do jadalni.

– Bob odpoczywa – mówi i tłumaczy, że kampania kosztowała go wiele wysiłku i zdrowia. – Zwykle się tak nie zachowuje – dodaje przepraszająco.

Nie widzimy Boba aż do wieczora, kiedy razem z Geną wychodzą na zbiórkę pieniędzy na cele charytatywne, na której nie może go zabraknąć.

Jack i ja całe popołudnie przesiedzieliśmy na tarasie, opalając się na leżakach i podziwiając widoki. W pewnym momencie Jack pochylił się w moją stronę i szepnął:

– Bob i Gena wychodzą.

Uśmiechnęłam się i posłałam mu spojrzenie mówiące: „Sugerujesz coś?”.

Dobrze jednak wiedziałam, o co mu chodzi. Będziemy mieli cały dom wyłącznie dla siebie. I będziemy mogli robić to, co robią młodzi ludzie, gdy zostają sami w obcym domu: pieprzyć się.

Jack mnie zaskoczył i nie bardzo wiem, co w niego wstąpiło, bo nie tylko daje się

namówić, ale wręcz jest inicjatorem tego pomysłu. Fakt, mieliśmy krótką przerwę, ale przecież wcześniej tygodniami nie byłam w stanie wzbudzić jego zainteresowania. To do niego niepodobne. Jest zupełnie jak wtedy, gdy zaczęliśmy się spotykać i pieprzyliśmy się jak króliki, gdziekolwiek się dało.

Jackowi nie brakuje odwagi, ale spontaniczność nie jest jego mocną stroną. Lubi mieć wszystko przygotowane, zaplanowane – nawet jeśli dotyczy to ukradkowego seksu w domu jego szefa – chyba że ktoś decyduje za niego. Pod warunkiem że nie jestem to ja.

Machamy Bobowi i Genie na pożegnanie i patrzymy, jak odjeżdżają eleganckim wiśniowym kabrioletem Cadillac DeVille z 1968 roku. Kiedy są już na podjeździe, Gena podnosi rękę i próbując przekrzyknąć silnik, woła:

– Bądźcie grzeczni i nie roznieście domu!

Co ona tam wie...

Gdy znikają za zakrętem drogi, Jack zaczyna biegać po domu, zrzucając ubrania. Jako ostatnie lądują na ziemi jego bokserki, które ściąga na skraju basenu, na chwilę przed tym, jak wskakuje do wody.

Tymczasem ja pozbywam się psa. Wrzucam piszczącą zabawkę do garażu, a kiedy Sebastian wpada do środka, żeby ją złapać, zamykam za nim drzwi. Chcę sprowadzić go na ziemię i udowodnić mu, że nie jest taki mądry i słodki, jak mu się wydaje. Odchodząc, słyszę, jak zaczyna skomleć.

W basenie Jack pływa w miejscu, rozchlapując wodę. Jest uroczy, ciepły wieczór, jeden z tych, gdy wszystko wydaje się skąpane w złocistym blasku zachodzącego słońca. Jack ma mokre włosy, a jego twarz promienieje. Wygląda cudownie i wydaje się szczęśliwy. Nie mogę się doczekać, kiedy do niego dołączę.

Zaczynam się rozbierać. Jego zdaniem robię to za wolno, bo woła do mnie z basenu:

– No dalej, na co czekasz? Jest fantastycznie!

Wchodzę na trampolinę, staję na końcu i próbuję złapać równowagę. Nadal mam na sobie stanik i majtki. Drażnię się z nim i powoli zdejmuję je na jego oczach. Zaczynam rozpinać biustonosz, jednak dochodzę do wniosku, że najpierw zdejmę majtki. Po chwili znów zmieniam zdanie i sięgam do biustonosza. Kiedy tak stoję na skraju trampoliny, mam déjà vu.

Za każdym razem, gdy go doświadczam, czuję się, jakbym była świadkiem czegoś mistycznego. Jakbym nagle w niewytłumaczalny sposób uświadomiła sobie sen, który nakreślił całe moje życie, zanim zdążyłam je przeżyć. Jakby bariera oddzielająca sen od jawy runęła, dzięki czemu jestem w stanie zobaczyć, co dzieje się po obu stronach lustra. Rzeczywistość przypomina sen, a sen wydaje się zadziwiająco rzeczywisty. Czuję się, jakbym odkryła tajemnicę, której nikt nigdy nie poznał. Wrażenie znika równie nagle, jak się pojawia, i pozostawia po sobie dręczące, potworne uczucie, że nie wiem, jak ani dlaczego go doznałam.

Tym razem nie chodzi o wspomnienia, ale o scenę z filmu, w której chciałabym zagrać. Jestem jak Cybill Shepherd w *Ostatnim seansie filmowym*. Szykuję się, by wskoczyć nago do basenu, podczas gdy wszyscy na mnie patrzą, zmieniając poczucie krępującej nagości w okrutny sport.

Ja nie mam się czego wstydzić, bo najbliżsi sąsiedzi Boba i Geny mieszkają po drugiej stronie doliny. Musieliby mieć lornetkę, żeby nas zobaczyć. Jest jednak coś przerażającego w rozbieraniu się na wolnym powietrzu. Rozbieranie się w miejscu publicznym? Nie ma problemu. Nie przeszkadza mi to, że patrzą na mnie ludzie. Boję się oczu, których nie mogę zobaczyć.

Podobnie jak Cybill Shepherd w końcu lekceważę niebezpieczeństwo, ściągam majtki i wskakuje do basenu. Czując chłodną wodę, zapominam o swoich głupiutkich zahamowaniach.

Otwieram oczy, widzę zanurzonego Jacka i płynę w jego stronę. Ciało Jacka wydaje się pozbawione głowy. Słoneczne refleksy załamują się na powierzchni wody i tańczą na jego piersi. Kiedy pływa w miejscu, jego kutas i jaja falują w górę i w dół, jakby znajdowały się w stanie nieważkości.

Wyciągam rękę, żeby chwycić penisa, ale Jack zauważa mnie i rzuca się do ucieczki, płynąc na plecach i rozchlapując wodę. Zatrzymuje się dopiero na drugim końcu, opiera ramiona o brzeg basenu i zastyga bez ruchu. Wypływam tuż przed nim i chciwie łapię powietrze. Wygląda na zadowolonego, że udało mu się mnie przechytrzyć.

Kładę ręce na jego ramionach i całuję go w usta. W przeciwieństwie do moich jego wargi są ciepłe, więc trwamy tak przez chwilę i łasimy się do siebie. Moje ciało unosi się i opada na wodzie, która z chłupotem uderza o ścianki basenu i o ciało Jacka.

Osuwam się, tak że moje krocze dotyka jego krocza, a jego penis wtula się w moje włosy łonowe. Kiedy robi się twardy – na co nie muszę długo czekać – chwytam go i mówię:

– Mam cię.

Jack wybucha śmiechem.

Kilka razy przeciągam po nim dłonią, biorę głęboki wdech i nabieram do płuc tyle powietrza, że czuję się, jakby lada chwila miały eksplodować. Jack patrzy na mnie pytająco. Ja tymczasem nurkuję, nadal ściskając w ręce jego członek.

Próbowałyście kiedyś robić laskę pod wodą? Nie jest to łatwe, ale z drugiej strony dość niesamowite. Kiedy otwieram usta, żeby wziąć do buzi kutasa, pomiędzy moich warg wypływają pęcherzyki powietrza. Jeden z nich, całkiem mały, przetacza się po penisie i zatrzymuje pośród włosów łonowych. Zamykam usta wokół kutasa tak szybko, jak to możliwe, i zaczynam ssać.

Mam wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie. Włosy falują wokół niczym wodorosty i owijają się wokół mojej głowy jak szal, aż przestaję widzieć Jacka.

Czuję tylko chłodnego, nabrzmiałego penisa, który porusza się w moich ustach.

Jedną ręką robię mu dobrze, a drugą opieram na piersi Jacka, by utrzymywać się na wodzie. Kiedy bawi się moimi piersiami, czuję, jak kołyszą się i podskakują. Chwilę później ściska w palcach brodawki i łagodnie przyciąga mnie do siebie. Czuję delikatne szarpnięcie; zmiana środka ciężkości sprawia, że moje piersi podskakują jak zacumowana przy brzegu łódka, podczas gdy reszta ciała trwa nieruchomo przy jego kutasie.

Jest mi dobrze i czuję się tak bezpieczna, że chcę, żeby to trwało jak najdłużej, nawet kiedy kończy mi się tlen i zaczynam mieć zawroty głowy.

Pieszczę Jacka ustami, za każdym razem biorąc go coraz głębiej, aż czubek penisa uderza w tył gardła, tak że się krztuszę. Z nosa wylatują mi bąbelki. Woda wdziera się do ust i wtedy wypływam na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza.

Kiedy odzyskuję oddech, płyniemy do płytszej części basenu. Siadam na drugim stopniu i opieram ramiona o krawędź basenu. Jack delikatnie rozsuwa mi nogi. Kiedy wchodzi we mnie i zaczyna mnie pieprzyć, wolno i miarowo, tak że czuję, jak się we mnie porusza, krzyżuję stopy na jego plecach. Woda rozchlapuje się na moich piersiach. Mocniej obejmuję go nogami, dając mu znak, że chcę go poczuć jeszcze głębiej.

Słońce znika za wzgórzami, malując na niebie ogniste, pomarańczowe smugi. Słyszę jedynie śpiew ptaków, chłupot wody i nasze ciche pojękiwania. To idealna chwila. Mam wrażenie, że wszystkie nasze problemy odeszły w niepamięć: niechęć Jacka do zbliżeń, dzieląca nas bariera. Chcę, żeby pozostało tak na zawsze.



Wychodzimy z wody i wlecemy się do domu, mokrzy i zarumienieni z podniecenia. Biorę owczą skórę z sypialni, w której ulokowała nas Gena, i kładę ją przed kominkiem, podczas gdy Jack dorzuca drewna do ognia, który rozpałił dla nas Bob, żebyśmy mogli się wysuszyć.

Siedzimy po turecku przed kominkiem i mam wrażenie, że to właściwa chwila, żeby powiedzieć coś romantycznego. Odwracam się więc do Jacka i mówię:

– Chcę, żebyś zerznął mnie w tyłek.

Cóż, może nie brzmi to romantycznie, ale w tym momencie jestem innego zdania. W tej chwili i w tym miejscu najbardziej intymną rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy, jest seks analny z moim chłopakiem na podłodze przed kominkiem.

Mówię to pod wpływem chwili, ponieważ nie wyobrażam sobie niczego bardziej rozkosznego i perwersyjnego niż wracanie wspomnieniami do tego weekendu i myślenie sobie: to wtedy, w domu Boba DeVille'a, rznął mnie w dupkę. Czy to naprawdę się wydarzyło? Mówiąc to, rzucam Jackowi swoiste wyzwanie, bo wiem, że jest w nastroju, i chcę zobaczyć, czy zdołam przekonać go do czegoś, czego on sam nigdy by nie zaproponował. Nie tu i nie teraz. Nawet za milion lat.

Nie chodzi o to, że pieprzenie mnie w tyłek nie sprawia mu przyjemności. Wiem, że to lubi. Przede wszystkim dlatego, że nieczęsto mu na to pozwalam. Nie chcę, żeby się przyzwyczaił. Wolę, żeby uważał to za coś wyjątkowego. Jak jedzenie truflii, ostryg albo kawioru. Gdyby człowiek jadł je na co dzień, przestałby doceniać ich smak. Nie traktowałby ich jak czegoś luksusowego. A seks analny jest luksusowym daniem w erotycznym menu.

W scenariuszu, który wymyśliłam dla mnie i dla Jacka, brakuje tylko jednego:

Środka nawilżającego.

Nie ma delikatnego sposobu, żeby to ująć:

Kutas Jacka jest za duży dla mojego tyłka.

Środek nawilżający jest nie tylko mile widziany; jest czymś koniecznym.



Ujmę to w ten sposób.

Znacie to uczucie, kiedy kupujecie buty i, że tak powiem, kompletnie tracicie głowę dla jednej jedynej pary w konkretnym stylu i kolorze. Są idealne i masz wrażenie, że przez cały ten czas czekały właśnie na ciebie. Ale sprzedawczyni informuje cię, że dosłownie przed chwilą sprzedała ostatnią parę w twoim rozmiarze, a jedyne, jakie ma w sklepie, są pół rozmiaru mniejsze.

Pieprzyć rozmiar, myślisz. I tak je przymierzysz, bo czujesz, że musisz je mieć, i nie wyjdiesz bez nich ze sklepu. Bez większego wysiłku wkładasz je do połowy stopy i nagle zatrzymujesz się na podbiciu. Powtarzasz sobie, że wcale nie są tak małe, jak ci się wydawało. Zaszłaś tak daleko, że wystarczy odrobinę się postarać, i dasz radę je włożyć. Skóra ustąpi, rozciągnie się, dopasuje do stopy i buty będą twoje.

Tak więc wpychasz stopę głębiej o kolejny centymetr, ale masz wrażenie, że utknęła tam na dobre, a do tego boli jak cholera. Bez względu na to, w którą stronę poruszasz stopą, ból jest nie do wytrzymania i przeszywa całe twoje ciało. Przeklinasz się w duchu za to, że byłaś na nie tak napalona i nie posłuchałaś głosu rozsądku, który podpowiadał ci, że coś tak dużego nie ma szans zmieścić się do tak małej dziurki.

Oto, czym jest dla mnie seks analny, jeśli nie użyję środka nawilżającego. Butem, który nie chce wejść na stopę. Nie znaczy to jednak, że nie próbowaliśmy.

W moim scenariuszu, że się tak wyrażę, but jest na innej stopie. Jack jest stopą, a ja jestem butem. Boli mnie odbyt, a kutas Jacka wydaje się tak ogromny, że równie dobrze mógłby

próbować wsadzić mi w tyłek całą nogę. Ból jest nie do zniesienia.

Jack upiera się, że będzie pasował, ja jestem pewna, że nic z tego nie będzie. Jedyne, co mogę zrobić, żeby przekonać go do swojej racji, to wydać z siebie mrożący krew w żyłach krzyk – jak ktoś, kogo właśnie dźgnięto kuchennym nożem. Wtedy od razu wychodzi.

Jestem pewna, że są kobiety, które lubią ból i traktują go jak próbę wytrzymałości. Myślę, że taka właśnie jest Anna.

Ale nie ja.

A jednak pomysł ten na dobre zagnieździł się w mojej głowie. Chcę, żeby Jack pieprzył mnie w tyłek, w domu Boba DeVille'a, przy jego kominku, na owczej skórze. To takie rozkosznie nieprzyzwoite i odpowiednie zarazem. Wiem, o co chodzi Jackowi, i zamierzam podjąć jego grę.

Pamiętam, jak Gena mówiła, że lubi piec ciasta, i jestem pewna, że w kuchni na półce widziałam paczkę tłuszczu do pieczenia Crisco, tak więc proszę Jacka, żeby go przyniósł. Kiedy wychodzi, jak zahipnotyzowana wpatruję się w płomienie.

Chwilę później Jack wraca do pokoju z pięciokilogramowym opakowaniem tłuszczu, uśmiechnięty, jakby zamierzał zużyć całą jego zawartość. Jakby chciał zrobić mi tłuszczową lewatywę i przepuścić przez mój tyłek drużynę futbolową.

– Sprosiłeś tu całą armię? – pytam.

Odstawia pojemnik, zdejmuje pokrywkę i dwoma palcami nabiera odrobinę tłuszczu. Podnosi je, tak bym widziała, i mówi:

– Sezamie, otwórz się.

Kłęką obok mnie, jedną ręką rozchyła mi pośladki i rozsmarowuje tłuszcz wokół mojego odbytu. Uczucie jest takie jak przy nakładaniu kremu do oczyszczania twarzy; czuję, że moja druga dziurka kurczy się z zimna, a potem, gdy Jack rozgrzewa ją, wodząc wokół niej palcami, rozluźnia się.

Sięgam za siebie i chwytam jego kutasa. Kiedy sztywnieje, nakładam na niego odrobinę tłuszczu i masuję ręką, aż oboje jesteśmy upačkani crisco i gotowi.

Jack kłęką za mną, opiera dłoń na moim pośladku, drugą wpychając natłuszczony członek do mojej cipki. Wchodzi gładko, bez żadnego oporu, i od razu bierze się do roboty, wpada w rytm i ślizga się we mnie precyzyjnie niczym tłok. Opiera dłonie na moich pośladkach. Wzbijając się, ściąga mnie w dół i spotykamy się gdzieś w połowie drogi.

Przyciskam łokcie do podłogi i jeszcze bardziej wypinam tyłek. Jack pieprzy mnie tak mocno i głęboko, że wydaję z siebie przeciągły, zawodzący jęk, który odbija się echem po całym domu. Słyszy go nawet Sebastian, bo wkrótce potem z garażu dochodzi żalosne skomlenie. Teraz wyjemy razem – ja i pies.

Jack rżnie mnie, wodząc kciukiem wokół mojego odbytu, zbierając tłuszcz i wpychając go do środka. Bada mnie, rozciąga i zanim się spostrzegam, wchodzi we mnie palcem aż po kłykieć, a ja zamykam się wokół niego jak muchołówka na swej ofierze.

Jack porusza kciukiem w moim tyłku, jakby próbował przekręcić klucz, który utknał w zamku. Czuję go, jak obraca się w jedną i drugą stronę. Teraz kręci się tylko w jedną, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, jakby próbował nakręcić mechanizm, a tym mechanizmem jestem ja.

Jestem gotowa przejść na kolejny poziom, więc odwracam głowę, patrzę na niego i mówię:

– Chcę, żebyś rznął mnie w dupę, Jack. Naprawdę mocno.

Jak na zawołanie wyslizguje się z cipki, ociera się o nią kutasem, pokrywając go moimi lepkiemi sokami. Chwilę później jest wystarczająco śliski i tłusty, by utorować sobie drogę do

drugiej, ciasnej dziurki. Kładzie rękę na moim tyłku i przyciska czubek penisa do dziurki, która kurczy się w oczekiwaniu na to, co się zaraz wydarzy. Kutas zaczyna boleśnie wdzierać się do środka. Wydaję z siebie stłumiony krzyk.

Śliski od tłuszczu, jest tak wielki, że niemal rozsadza mi tyłek, kiedy powoli wbija się coraz głębiej.

– Dobrze ci? – pytam.

– Dobrze – jęczy. – Ciasno.

– Chcę, żebyś rozciągnął trochę moją małą, ciasną dupkę – prowokuję go. – Chcę, żebyś włożył w nią całego kutasa.

Jack mruczy z zadowolenia, powoli wsuwa we mnie penisa i zaczyna poruszać biodrami. To cudowne uczucie, kiedy potrząsając nimi, tańczy w moim tyłku.

Zaciska ręce na moich ramionach, żeby wbijać się we mnie z siłą dwuręcznego młota. Wilgotne jaja objijają się o cipkę.

Jest mi dobrze z twardym, nabrzmałym kutasem w tej drugiej dziurce. Czuję, że zaraz będę szczytował. Mam wrażenie, że eksploduję.

– To już, Jack. Już za chwilę.

W tym momencie moje ciało wygina się w łuk, a z gardła dobywa się jęk rozkoszy.

– Chcę, żebyś skończył w moim tyłku, Jack – mówię. – Chcę, żebyś wypełnił mnie spermą. Chcę poczuć, jak wylewasz się z mojej dupy.

Świntuszenie przynosi pożądaný skutek i doprowadza go do ekstazy. Słyszę, jak jęczy, i wiem, że lada chwila dojdzie. Ostatni raz gwałtownie porusza biodrami i zaraz potem eksploduje w moim tyłku, rozlewając się ciepłym, lepkiem strumieniem. Powoli wyciąga kutasa. Gęsta biała sperma wycieka ze mnie i gromadzi się w cipce.



Leżymy przytuleni przy kominku, na miękkiej owczej skórze; Jack obejmuje mnie od tyłu.

Myślę sobie, że chyba nie mogło być lepiej. Ja, Jack, prawdziwy ogień, seks analny i wylewająca się z mojego tyłka cudowna biała sperma.

Idealne zakończenie idealnego weekendu.



Przeglądałam się w obrazie, który wisi nad łóżkiem. Przedstawia mnie, taką jaką byłam. Z trudem rozpoznaję w nim siebie. Mam wrażenie, że śnię, choć oczy mam szeroko otwarte.

Stoję naga. Muszle sercówki zakrywają moje brodawki, a muszla ostrygi zasłania łono. Nad głową, niczym fale, przewalają się kłębiaste chmury. Przetaczają się jak wędrujące na wietrze wydmy.

Idę plażą. Muszle chrzęszczą mi pod stopami. Bez względu na to, jak bardzo jestem ostrożna i jak delikatnie stąпам, kruszą się i pękają. Spoglądam w dół i widzę, że to nie muszle, lecz kości. Spaceruję po plaży kości. Czuję na języku słony smak powietrza. Ostre krawędzie kości kaleczą mi stopy. Plaża jest nierówna i chwieję się na nogach, jakbym szła w szpilkach po splekanych płytach chodnikowych.

Idę, aż docieram do promenady pełnej zakochanych młodych ludzi. Wszyscy idą w jednym kierunku i tylko ja zmiierzam pod prąd. Mijam ich, zupełnie naga. Gapią się na mnie, co jeszcze bardziej potęguję poczucie nagości i wstyd. Mimo to idę dalej, z dumnie podniesioną głową.

Kieruję się na skraj promenady, gdzie nadzy mężczyźni w karnawałowych maskach stoją wzdłuż barierek, niecierpliwie szarpiąc sterczące penisy. Wiem, że czekają na moje przybycie, i nie chcę ich rozczarować. Opadam na kolana i podpieram się dłońmi, wypinam tyłek i potrząsam nim, jakbym węszyła w powietrzu, dając im znać, że jestem gotowa.

Podchodzi pierwszy, opiera ręce na moich biodrach, kuca i zanurza kutasa w mojej cipce, głęboko, aż po nasadę. Chwilę później wychodzi ze mnie leniwym ruchem i czuję, jak czubek jego członka drażni moją szparkę, gotowy w każdej chwili wbić się we mnie ponownie. Zaczyna mnie pieprzyć długimi, mocnymi pchnięciami. Jaja obijają się o moją lechtaczkę i jest mi tak dobrze, że dyszę i drapię paznokciami ziemię.

Widzę Jacka, który spaceruje po promenadzie w towarzystwie Anny. Nie zauważa mnie. Przechodzi obok, mijając mężczyzn, którzy głaszcząc kutasy, czekają na swoją kolej, by mnie zerznąć. Zatrzymuje się sześć metrów dalej i opiera o barierkę. Anna klęka przed nim, rozpina mu spodnie i wyjmuje członek. Otacza go palcami, kciukiem dotykając żołędzi, tak jak robiłabym to ja, liże go od podstawy aż po czubek, tak jak robię to ja, obejmuje ustami i wolno bierze do buzi. Robi Jackowi loda, tak jak zwykle robię to ja. Patrzę na kutasa mojego chłopaka, znikającego w jej ustach, i wyobrażam sobie, że wchodzi w moją cipkę.

Chcę, żeby Jack podniósł wzrok i zobaczył mnie na czworakach, pieprzoną przez nieznajomego w karnawałowej masce. Chcę, by wiedział, że wyobrażam sobie jego na miejscu tego mężczyzny. Chcę, by zaakceptował mnie taką, jaka jestem, jak ci faceci z moich snów. Po to, żebyśmy mogli być razem.



Budzę się przerażona i złana potem. Jack leży obok mnie w łóżku. Śpi. Tulę się do niego i otaczam go ramionami. Porusza się ciepło jego ciała przenika do mojego. Jest mi dobrze, czuję się bezpieczna i potrzebna. Ale chcę więcej.

Dotykam jego piersi i brzucha i zanurzam palce we włosach łonowych. Palcem wskazującym drażnię podstawę jego członka. Głaszczę go delikatnie, aż zaczyna reagować. Ściskam go; jest gruby, mięsisty i półtwardy. Znów drażnię podstawę kciukiem, a potem

przeciągam po nim palcami. Twardnieje mi w dłoni i po chwili jest sterczący i gotowy. Wypuszczam go, liżę dłoń, tak że jest mokra od śliny, i znowu zaczynam go pieścić. Poruszam ręką w górę i w dół, aż robi się śliski. Jack jęczy przez sen.

Chcę poczuć go w sobie. Pragnę go jak diabli i nie obchodzi mnie, czy jest świadomy, czy nie. Zarzucam udo na jego nogi i czuję, jak jego członek się o nie ociera, podnoszę się i siadam na nim okrakiem. Opieram rękę na piersi Jacka, spoglądam w dół i widzę, że patrzy na mnie spod na wpół przymkniętych powiek. Sięgam w tył, chwytam kutasa i przytrzymuję go tak, bym mogła się na niego nabić. Odchylam się do tyłu i powoli się opuszczam.

Spomiędzy jego warg dobywa się senny, stłumiony jęk. Moja cipka otwiera się, jak gdyby chciała go powitać, i z każdym kolejnym centymetrem robi się coraz bardziej wilgotna.

Jack jest już w pełni rozbudzony, zaczyna powoli poruszać biodrami. Kutas kołysze się we mnie. Robię to co on i ujeżdżam go, poruszając biodrami w ten sam sposób, aż mam wrażenie, że jesteśmy dwoma trybami tej samej maszyny. Pochylam się, a on w tym samym momencie ugina nogi w kolanach i wygina się w łuk, tak by wejść we mnie jeszcze głębiej. Czuję, jak jego kutas ślizga się w mojej mokrej cipce.

– Pieprz mnie, Jack – proszę. – Pieprz mnie mocniej.

Robi to i kolejne dwa pchnięcia to prawdziwy pokaz siły; zaraz jednak wraca do wcześniejszego jednostajnego rytmu. Chce mnie zadowolić. Z moich rozchylonych ust dobywa się przeciągły jęk rozkoszy, zdyszana powtarzam jego imię, chowam twarz w poduszce i przykrywam jego twarz swoimi piersiami. Zatapiam palce we włosach Jacka i przyciągam jego głowę do piersi, jakbym chciała poczuć na skórze gorący oddech, kiedy szuka ustami moich sutków.

Bierze do ust pierś. Ssie ją, a kiedy brodawka twardnieje, wodzi po niej językiem, wargami, delikatnie przygryza i szarpie ją zębami.

Chwyta w dłonie obie piersi i ścisną, tak by mógł je lizać i gryźć, jedną po drugiej i obie naraz. Teraz, kiedy mnie posmakował, robi się coraz bardziej zachłanny. Pożera moje piersi, a jego kutas wdziera się we mnie z coraz większą siłą. Czuję, że zaraz zrobi mi się dobrze, i chcę, żeby o tym wiedział.

– Dochodzę, Jack – szepczę. – Zaraz dojdę.

Podnoszę się, opieram dłoń na jego piersi i nabijam się na niego, bo chcę mieć go głęboko w sobie, kiedy będę szczytować.

Ujeżdżam go, aż czuję pod pośladkami jego jaja. Oddycha szybciej, słyszę, jak jęczy, i wiem, że on również jest blisko. Opadam na niego i powoli zaczynam kręcić biodrami. Jack porusza się razem ze mną, oddycha ze mną i razem ze mną jęczy z rozkoszy. Jesteśmy bliscy spełnienia i tym razem to ja chcę go prowadzić.

– To już, Jack, już...

Chwilę później ogarnia mnie nieopisana rozkosz.

Siedząc na nim, szarpie się i wiję, podczas gdy kolejne fale orgazmu wstrząsają moim ciałem. Spazmatyczne ruchy bioder sprawiają, że wchodzi we mnie z jeszcze większą siłą. On również ma już dość. Wydaje z siebie głośny, przeciągły jęk i szczytuje we mnie. Czuję, jak jego kutas drga w mojej cipce, wypełniając ją lepkiem, gęstym nasieniem. Jak gwałtownie drży, gdy jego ciało się uspokaja. Opadam na niego i leżymy przytuleni, z trudem łapiąc powietrze.

Zsuwam się z Jacka i kładę się na boku. On również przewraca się na bok, twarzą do mnie. Tulę go do piersi. Leżymy w milczeniu, wyczerpani. Wsłuchuję się w jego oddech; słyszę, jak się uspokaja, i wiem, że Jack zasnął.



Leżę w łóżku, myśląc o tym, gdzie byłam, co widziałam i jak to na mnie wpłynęło.
I nagle uświadamiam sobie coś, o czym zawsze wiedziałam i co brałam za pewnik:
Połowa seksu to sen.



Siedzę na zajęciach, tam gdzie zwykle, naprzeciw Marcusa, który omawia kulminacyjną scenę w *Zawrocie głowy*, gdy Judy zdradza Scottiemu swój sekret: że ona i Madeleine, martwa blondynka, w której jest zadurzony, to jedna i ta sama osoba. Mówiąc to, wrywa Scottiego ze świata fantazji i zmusza go, by stawił czoła rzeczywistości i przyznał, że od samego początku żył w świecie iluzji. Marcus analizuje ostatnie ujęcie. Scottie stoi na szczycie dzwonnicy, na której niegdyś stała Judy/Madeleine. Przewycięża lęk wysokości, podchodzi do krawędzi i spogląda w przepaść. Miejsce, do którego zawiodła ją jego obsesja i gdzie roztrzaskała się o skały.

Mam wrażenie, że omawialiśmy ten film setki razy i że Marcus powraca do niego z jakiegoś konkretnego powodu. Ma taką obsesję na punkcie *Zawrotu głowy*, że mógłby rozmawiać o nim cały dzień, omawiać go na wszystkich zajęciach, a i tak za każdym razem miałby do powiedzenia coś nowego i ciekawego. Myślę, że *Zawrót głowy* ma po prostu wszystko, co Marcus kocha w filmie. Wszystkie możliwe fetysze i dewiacje. Teraz, kiedy wiem o nim nieco więcej, rozumiem, dlaczego tak się dzieje.

Wiem też, że – podobnie jak Scottie – Marcus ma obsesję na punkcie blondynek, które doprowadzają człowieka do zguby. Ma obsesję na punkcie Anny.

Myślę, że udziela się ona również mnie, bo zauważyłam, że zaczęłam ubierać się podobnie jak Anna. Niezupełnie jak ona, ale w jej ubrania. Mam na sobie półprzezroczystą białą bluzkę z głębokim dekoltem odsłaniającym biustonosz. Zapytałam Annę, czy mogłabym ją pożyczyć, chociaż nie byłam pewna, czy będzie mi pasować. Mam też obcisłe legginsy w panterkę i sandały na obcasie. To strój, który mówi mężczyźnie: „Jestem gotowa cię pożreć”. Nawet Jack patrzył na mnie dziwnie, kiedy rano wyszłam z łazienki, ubrana i gotowa do wyjścia, bo nigdy dotąd nie widział mnie w czymś takim. Kiedy tak patrzył, zastanawiałam się, czy moja fascynacja Marcusem nie zabrnęła za daleko.

Teraz, kiedy tu jestem, mam wrażenie, że moje starania poszły na marne, bo on ignoruje mnie tak jak zawsze. Mówi o żądaniach Scottiego, by Judy wyglądała jak jej nieżyjący sobowtór, Madeleine; by ubierała się w te same stroje, zafarbowwała włosy na ten sam kolor i tak samo je czesała. Ja dla Marcusa ubieram się jak Anna, ale to na niego nie działa. Wiedząc, że lubi blondynki, zastanawiam się, czy nie powinnam pójść na całość i nie rozjaśnić włosów, tak bym jak najbardziej przypominała Annę i wciąż pozostała sobą. Marcus znów ma na sobie obcisłe brązowe spodnie od garnituru i widzę, że nie staje mu na mój widok.

Mówi nam, że wszystko, co powinniśmy wiedzieć o Hitchcocku, znajdziemy w wyreżyserowanych przez niego filmach. Jeśli to prawda, nie mają racji ci, którzy twierdzą, że nie szata zdoła człowieka. Idąc tym tropem, zaczynam rozkładać na czynniki pierwsze brązowe spodnie Marcusa – te, które zawsze ma na sobie – żeby dowiedzieć się, kim tak naprawdę jest. Zastanawiam się, czy to jego jedyne spodnie, czy jego szafa – kiedy nie siedzi w niej, czekając na Annę – przypomina szafę Mickeya Rourke’a w *Dziewięć i pół tygodnia*, pełną takich samych zestawów ubrań. Identyfikacyjnych białych bawełnianych koszul i opiętych na tyłku spodni z lekko rozszerzanymi nogawkami. Spodni, które wyszły z mody pod koniec lat siedemdziesiątych.

Zastanawiam się, czy krąży po lumpeksach w poszukiwaniu takich właśnie ubrań, niekoniecznie w swoim rozmiarze. Takich, które oddają jego styl, ale nie mówią wiele o nim samym. W końcu dochodzę do wniosku, że skoro tyle lat zachował ubrania swojej matki

w niemal idealnym stanie, jest bardzo prawdopodobne, że kupuje nowe... albo prawie nowe.

Marcus zbliża się do pięćdziesiątki i według moich obliczeń – tak, wiem, to dziwne, że dokonuję obliczeń na zajęciach z filmoznawstwa, ale mam obsesję na punkcie wszelkich faktów i liczb, które są związane z Marcusem, zwłaszcza jeśli chodzi o centymetry i kilogramy – tak więc według moich obliczeń zaczął się tak ubierać w wieku dwunastu, trzynastu lat, w okresie dojrzewania. A może kilka lat później.

Wówczas takie spodnie już wyszły z mody, więc dochodzę do wniosku, że mają dla niego wartość sentymentalną. Może należały do jego ojca i gdy włożył je po raz pierwszy, poczuł się jak on, jak mężczyzna, i od tamtej pory nie chciał nosić niczego innego.

Nie wiem tego na pewno, ale przypuszczam, że ludzie z kompleksem matki – tak rozwiniętym jak u Marcusa – muszą mieć problem z autorytetem ojca, który był w ich życiu nieobecny, czy to fizycznie, czy duchowo. Współczuję mu i mam ochotę podejść do niego, przytulić go i szepnąć mu do ucha, że wszystko będzie dobrze. Coś takiego nigdy się jednak nie wydarzy, ponieważ na zajęciach jest zawsze niezwykle poważny i nieprzystępny.



Siedząc na zajęciach i słuchając Marcusa, zerkam na zegar i czekam na pojawienie się Anny. Spóźnia się – jak zawsze. Czekam, aż otworzą się drzwi, tak bym mogła zanotować godzinę jej kolejnego wielkiego wejścia i sprawdzić, czy z moich danych wynikają jakieś prawidłowości. Minęły czterdzieści trzy minuty i trzydzieści dwie sekundy godzinnego wykładu, który niemal zawsze kończy się z chwilą, gdy na korytarzu rozbrzmiewa dzwonek. Marcus omówił już niemal wszystkie dewiacje, teraz przechodzi do fetyszów.

Po raz kolejny ukradkiem spoglądam na wiszący nad drzwiami zegar. Do końca wykładu zostało tylko pięć minut, a Anny nadal nie ma. Pewnie chce zrobić wrażenie, przeciągając wszystko do ostatniej chwili. Chyba naprawdę chce wkurzyć Marcusa.

Skupiam uwagę na wskazówkach zegara, nieubłagane zbliżających się do pełnej godziny, i na drzwiach, w których lada chwila powinna pojawić się Anna. Słyszę głos Marcusa, ale po raz pierwszy wcale go nie słucham. Mijają kolejne sekundy. Napięcie staje się nie do wytrzymania. Siedzę na skraju krzesła, jak ludzie we wszystkich amerykańskich kinach, kiedy po raz pierwszy oglądali scenę z *Zawrotu głowy*, gdy Scottie ściga Judy po schodach wiodących na szczyt dzwonnicy, prosto w objęcia śmierci.

Nagle słyszę dźwięk dzwonka. Nie w filmie, w sali wykładowej. Zajęcia dobiegły końca, Anna nie przyszła, a ja nie mam pojęcia dlaczego. Zawsze się spóźniała, ale nigdy nie opuszczała zajęć. Ani razu. To do niej niepodobne.

Studenci pakują się i zaczynają wychodzić z sali. Zachowują się jak ludzie, którzy po wylądowaniu samolotu nie mogą usiedzieć na miejscu i wstają, zanim załoga pozwoli im odpiąć pasy. Ja jedna się nie ruszam. Trzymam długopis, gotowa w każdej chwili robić notatki, i patrzę na zapisane w prawym górnym rogu kartki liczby, które nagle wydają mi się bez znaczenia. Zastanawiam się, dlaczego Anna nie przyszła na zajęcia i gdzie się podziewa. Siedzę pogrążona w rozmyślaniach, aż w sali wykładowej zostajemy tylko ja i Marcus.

Powoli wyciera tablicę, ścierając słowa, którymi ilustrował wykład, zupełnie jakby pozbywał się śladów swojej seksualnej obsesji. Zmazuje wszystko, co tak cudownie brzmiało w jego ustach.

Skopofilia, czerpanie przyjemności z podglądania.

Retifizm, obsesja na punkcie butów.

Trichofilia, fetysz związany z włosami.

Kiedy tablica jest czysta, Marcus wraca do biurka, zbiera notatki, wkłada je pod pachę

i podnosi wzrok. Podnosi wzrok i patrzy na mnie. Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy naprawdę na mnie patrzy. Po raz pierwszy patrzymy sobie w oczy. Nagle jest mi wstyd i czuję się głupio, bo mam na sobie ubrania, które pożyczyłam od Anny i które wcale do mnie nie pasują.

Marcus wpatruje się we mnie wyczekująco, więc tłumaczę mu, że czekam na Annę.

– Na kogo? – pyta.

Nie wiem, czy żartuje, ale nie wydaje mi się, żeby ktoś taki jak on miał poczucie humoru. Jest zbyt spięty, zbyt inteligentny i za bardzo skupia się na sobie. Poza tym trudno wyczytać z jego twarzy czy głosu, co tak naprawdę czuje i o czym myśli. Jest niezwykle skryty. Zamknięty w sobie i tajemniczy. Właśnie dlatego mam na jego punkcie taką obsesję.

– Blondynkę, która za mną siedzi. Annę.

I nagle, zdenerwowana tym, że siedzę tu, naprzeciw Marcusa, i naprawdę z nim rozmawiam, wyrzucam z siebie wszystko, z czego mi się zwierzała, mówię mu wszystko, co wiem. O wizytach Anny, mieszkaniu, szafie i ubraniach jego matki.

Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z Marcusem, nie zamieniliśmy więcej niż kilku słów, ale chcę, by wiedział, że wiem. Chcę, by wiedział, że nie przeszkadza mi jego dziwactwo. Że rozumiem je i dlatego coś nas łączy. Że skoro on lubi Annę, polubi również mnie.

Słucha i nie odzywa się ani słowem. Pozwala mi się wygadać, nie przerywając mi, a ja czuję się jak w niebie, bo po raz pierwszy naprawdę rozmawiam z Marcusem, nie tylko patrzę i marzę. Zupełnie jakbym wygrała spotkanie ze swoim idolem, w którym kocham się od czasów dzieciństwa, o którym fantazjowałam, z którym prowadziłam wyimaginowane rozmowy i przy którego piosenkach się onanizowałam. A teraz stoi tu przede mną. Jesteśmy tylko ja i on. Rozmawiamy – nawet jeśli mówię tylko ja – i wszystko, co chcę powiedzieć, wydaje się chaotycznym, niezrozumiałym bełkotem. Milknę dopiero wówczas, gdy jestem pewna, że powiedziałam już absolutnie wszystko.

Marcus patrzy na mnie; marszczy czoło i się uśmiecha. Nie wiem, czy jest zły, czy rozbawiony.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – rzuca i zaraz potem bierze notatki i wychodzi bez słowa.

Moje wyobrażenie o nim roztrzaskuje się na milion drobnych kawałków. Może wcale nie był tym, za kogo go uważałam. Może Anna zmyśliła to wszystko, by podsycać moje fantazje. Ale po co miałyby to robić? Mam mętlik w głowie.

Przez cały czas wierzyłam, że Marcus jest moją piętą Achillesa, ale się myliłam, i to bardzo.

Nie chodziło o Marcusa, lecz o Annę.

To ona jest moją piętą Achillesa, blondynką, za którą poszłabym na koniec świata.



Anna zniknęła. I nagle uświadamiam sobie, że wcale jej nie znam. Nie wiem nawet, kim jest ani skąd pochodzi. Wiem tylko to, co mi mówiła i jak wiele dla mnie znaczy.

Jeśli się nad tym zastanowić, to ile jest osób, które znają nas naprawdę? Które wiedzą, jak wygląda nasz zwykły dzień: dokąd chodzimy, z kim się spotykamy, co robimy. Gdyby coś się wydarzyło, gdybyśmy nagle zniknęli albo zaginęli, kto wiedziałby, gdzie nas szukać, kogo wypytywać i gdzie dzwonić? Przyjaciele – nawet ci bliscy, z którymi łączy nas silna, trwała więź – prawdopodobnie nie byłiby w stanie pomóc. Rodzina? Wie jeszcze mniej.

Im dłużej o tym myślę, tym większa ogarnia mnie panika, zwłaszcza że wysyłałam wiadomości i dzwoniłam, a ona nie odbierała telefonu, nie odpisała ani nawet nie oddzwoniła. To zupełnie do niej niepodobne. Wygląda na to, że Anna zapadła się pod ziemię. Jakby w ogóle jej

nie było. Znam tylko trzy osoby, które potrafią mnie przekonać, że było inaczej.

Marcus.

Bundy.

Kubrick.

Z jakiegoś powodu Marcus nie ma zamiaru rozmawiać o Annie; nie chce nawet przyznać, że wie, o kogo chodzi.

Bundy ukrył się przed światem.

Pozostaje więc Kubrick.

Podaję taksówkarzowi adres Fabryki Rżnięcia najdokładniej, jak go zapamiętałam, Facet patrzy na mnie, jakby chciał spytać, czy naprawdę chcę tam jechać. To część miasta, do której nikt się nie zapuszcza. Ale kiedy zajmuję miejsce z tyłu, włącza licznik, bo kurs to kurs, więc lepiej, żeby zarobił on niż ktokolwiek inny.

Jeździmy po okolicy, która wygląda inaczej, niż ją zapamiętałam. Nic nie wydaje się takie samo. Nie dlatego, że jest środek dnia, a za dnia wszystko sprawia inne wrażenie. Mam poczucie, że to zupełnie inne miejsce. Opuszczone budynki to puste skorupy domów, które ktoś zbudował do połowy i porzucił. Trzy, cztery razy proszę kierowcę, żeby się zatrzymał tam, gdzie okolica wydaje mi się znajoma, tak bym mogła wyjść i poszukać graffiti oznaczającego miejsce, w którym znajdował się klub. Niczego jednak nie znajduję.

Szukam dowodów na to, że ktoś je starł albo zamalował, ale tych również nie znajduję. Tu wszystkie schody prowadzące pod poziom ulicy wyglądają tak samo, a ja raczej nie mam zamiaru błąkać się po okolicy z nadzieją, że znajdę te jedyne. W końcu dochodzę do wniosku, że Fabryka Rżnięcia znowu została zamknięta, choć przecież byliśmy tu całkiem niedawno.

Klub zniknął bez śladu, zupełnie jak Anna.

W tej sytuacji pozostaje mi tylko jedno.

Muszę znaleźć Bundy'ego.

Jedyną osobą, która będzie wiedziała, gdzie go szukać, jest Sal, barman w Bread and Butter.

Kiedy taksówka zatrzymuje się przed barem, rolety są opuszczone, a drzwi zamknięte. Walę w nie z całej siły otwartą dłońią. Ze środka dobiega gderliwy, napuszony głos Sala:

– Zamknięte!

Z krótkiej rozmowy, jaką z nim odbyłam, kiedy znalazłam się tu ostatnim razem, wiem, że nie ma sensu dyskutować z nim przez zamknięte drzwi. Prędzej mnie obrazi, niż pomoże.

Dlatego znowu się dobijam.

– Zamknięte! – Jest wyraźnie rozdrażniony.

Po raz kolejny walę do drzwi, tym razem nieco dłużej, udając, że nie słyszałam.

Drzwi w końcu się uchylają i widzę w nich gębę Sala.

– Czego, kurwa, chcesz? Głucha jesteś, kurwa? Nie widzisz, że jest zamknięte?

Nie są to pytania, tylko seria ataków.

– Bundy, gdzie jest Bundy? – pytam.

– Po co ci to wiedzieć?

– Szukam naszej przyjaciółki – odpowiadam. – Przyjaciółki Bundy'ego, Anny.

– A, tej – mruczy. – Blondyneczki.

Kiedy to mówi, nieco się uspokaja, a jego twarz i głos łagodnieją. Patrzę na niego i myślę sobie: „Nie, Anno, powiedz, że tego nie zrobiłaś”.

Twąz Sala ginie w mroku i mam wrażenie, że rozpląnął się w powietrzu jak Kot z Cheshire. Po chwili spomiędzy drzwi wysuwa się jego ręka.

Kładę na niej dziesięciodolarowy banknot. Ręka cofa się jak ramię mechanicznej

skarbonki. Czekam, aż w drzwiach pojawi się twarz Sala. Zamiast niej znowu wysuwa się ręka.

Cholera, myślę, Sal to typ faceta, który napluje klientowi do drinka, jeśli ten zostawi za mały napiwek. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś odwiedziła to miejsce, ale na wszelki wypadek wyciągam, niechętnie, kolejną dziesięciodolarówkę i wkładam mu ją do ręki, która po chwili znika za drzwiami.

Czekam, aż znowu się wysunie, jednak słyszę tylko dobiegający z ciemności głos Sala, który pospiesznie recytuje adres Bundy'ego. Powtarzam go w myślach i zapisuję w pamięci.

– Hej! – rzuca Sal. – Pozdrów ode mnie Blondyneczkę.

Drzwi zamykają się z hukiem. Drzę.

Zaczynam się martwić o Annę. Gdzie ona jest? Zniknęła bez śladu. Teraz muszę schować dumę do kieszeni i spotkać się z Bundym.



Mój widok nie zaskakuje Bundy'ego. Jest rozczarowany, że nie pojawiłam się wcześniej, tak by mógł opowiedzieć komuś swoją wersję historii.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam, że nie zabiłem tych dziewczyn.

To pierwsze, co ma mi do powiedzenia, kiedy otwiera drzwi. Głos mu się łamie. Świat Bundy'ego legł w gruzach, a on jest wrakiem człowieka. Departament Sprawiedliwości przechwycił nazwy wszystkich jego domen, zamknął strony i wszczął federalne śledztwo w sprawie stręczycielstwa i wymuszania okupu. Bundy stracił źródło utrzymania, a jego reputacja została zszargana.

Nie interesuje mnie sytuacja tego faceta, chcę tylko wiedzieć, co stało się z Anną.

– Bundy – zaczynam – gdzie jest Anna?

Nie odpowiada, więc nie mam wyboru i wchodzę do mieszkania.

Żeby uwierzyć, jak mieszka Bundy, trzeba to zobaczyć na własne oczy. Dorobił się w szybkim tempie, ale jest zbyt skąpy, by wydawać pieniądze na coś innego niż kawalerkę, w której mieszka od dawna. Jest tak zagracona, że trudno precyzyjnie przejść przez drzwi, nie mówiąc o tym, że ciężko się tu poruszać.

Zapraszająco macha ręką.

– Siadaj – rzuca.

Rozglądam się. Nie chodzi o to, że nie mam na czym usiąść; po prostu pełno tu rozmaitych rupieci. DVD, magazynów, komiksów, zabawek, brudnej bielizny. Poza tym w mieszkaniu Bundy'ego naprawdę cuchnie. Są tu tace ze zjedzonym do połowy podgrzewanym w mikrofalówce jedzeniem i otwarte pudełka do pizzy z nietkniętymi brzegami, jakby ktoś wyjadł wszystko od środka.

Nie chcę tu być ani chwili dłużej, niż muszę, więc mówię:

– W porządku, postoję.

Opieram się o ścianę i czuję, jak usuwa mi się zza pleców. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to nie ściana, lecz sięgająca od podłogi aż po sufit wieża białych kartonowych pudełek z drucianymi uchwyty, w jakich sprzedaje się chińskie jedzenie na wynos.

Minął niecały tydzień od emisji programu Forrestera Sachsa; Bundy ukrywa się od trzech, czterech dni.

Niemożliwe, by zjadł to wszystko w tak krótkim czasie. Chyba że w sytuacjach stresowych je za dziesięciu. Bundy i tak jest pulchny, więc trudno powiedzieć, czy przybrał na wadze. Podejrzewam, że jest jednym z tych wiecznych nastolatków, którzy nigdy nie gubią dziecięcego tłuszczu i z czasem stają się coraz bardziej otyli.

Są tu stopy bejsbolówek, które wciąż mają przyczepione metki, i pudełka z adidasami, których nigdy nie nosił, nawet nie otworzył pudełek. Bundy mówi, że codziennie wkłada nową parę butów, a stare wyrzuca do kosza jak papierki po cukierkach. Twierdzi, że to jego jedyna słabość. Przypuszczam jednak, że wyłącznym powodem, dla którego ktoś codziennie wkłada nową parę butów, jest kiepska higiena stóp.

Nagle już wiem, co tu tak śmierdzi. Nie spleśniałe resztki pizzy i chińskiego jedzenia. To gnijące stopy Bundy'ego. Taki smród trudno zamaskować, trudno się go pozbyć, jak wstrętnej woni wymiocin. W mieszkaniu Bundy'ego cuchnie tak strasznie, że próbuję oddychać przez usta. Chcę się stąd wynieść tak szybko, jak to możliwe, ale Bundy uznał, że jego sytuacja jest do tego stopnia dramatyczna, że postanawia opowiedzieć mi historię swego życia, od początku aż do teraz. Od czasów sprzed swoich narodzin. Od dnia, w którym rodzice wybrali dla niego imię.

Siedzi na podłodze ze skrzyżowanymi nogami jak bawiące się zabawkami nadąsane dziecko.

– Nie jestem złym człowiekiem – zaczyna. – To świat zrobił ze mnie potwora. – Mówiąc to, bezmyślnie wpycha głowę figurki Chewbacca do sztucznej pochwy.

W mieszkaniu Bundy'ego pełno jest zabawek – pluszowych i erotycznych – ale dla niego to jedno i to samo. Są tu dwa stojące na czterech łapach pluszowe misie, odwrócone do siebie tyłem i połączone podwójnym dildo, które ktoś wepchnął im w rozdarcia na szwach. Jest Teletubiś z przypiętym paskiem sztucznym członkiem zamiast maski. Zupełnie jakby Bundy próbował unowocześnić swoje obsesje, ale utknął w połowie drogi – gdzieś między nastolatkiem a koniobijcą po dwudziestce – i skończył jako infantylny facet, który w obsesyjno-maniakalny sposób przydaje erotyzmu wszystkiemu, co było niegdyś zdrowe i czyste.

Ma rzeczywistych rozmiarów plakat Britney Spears w dżinsowych szortach z rozpiętymi guzikami i rękami opartymi na biodrach, jakby lada chwila miała je zdjąć. Biały bawełniany top idealnie podkreśla kształt jej piersi, a spojrzenie mówi: „Wiem, że chcesz mnie przelecieć, ale przemysł to jeszcze, koleś”.

To Britney Spears w swojej szczytowej formie, kiedy fantazjowali o niej wszyscy faceci; na wskroś amerykańska, gorąco krwista blondyneczka – zanim złamała miliony męskich serc, kiedy zaczęła przypominać wariatkę, z jaką nigdy by się nie umówili, nie mówiąc o tym, że w życiu nie chcieliby takiej przelecieć.

Bundy najwyraźniej woli Britney z fantazji niż tę prawdziwą. Dokonał nawet kilku zmian, by lepiej pasowała do jego wyobrażenia o kobiecie idealnej. Dokleił do plakatu części ciała wycięte z magazynów porno. Britney Spears ma więc cipkę zamiast ust i wystającego z szortów sterczącego fiuta, i to nie byle jakiego. Wielkiego czarnego kutasa, prawie tak dużego jak jej głowa. Patrząc na udoskonaloną Britney Bundy'ego i myślę: jaki z niego chory dzieciak. Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu filmów porno z udziałem transseksualistów, bo jestem pewna, że to go kręci. Zaraz jednak odpuszczam, bo znalezienie czegokolwiek w tym bałaganie graniczy z cudem.

Na kominku stoi okazała kolekcja figurek Wookiee z *Gwiezdnych wojen*. Z całej serii tylko one go interesują. Tłumaczy mi, że zawsze kochał Wookiee. I może dlatego lubi kobiety z naturalnymi włosami łonowymi, takie, które nigdy się nie golą.

Twierdzi, że ma bzika na punkcie robienia laski – zadaje sobie wiele trudu, by wytłumaczyć mi, że chodzi o to, żeby brać, nie dawać – bo wówczas to bez znaczenia, czy panienka jest ogolona, czy nie. I tak nigdy nie posuwają się tak daleko.

Dzięki seksowi oralnemu Bundy unika włochatych rozczarowań. Skutek jest jednak taki, że wciąż czuje niedosyt.

Wylewa z siebie wszystkie żale; opowiada mi swoją seksualną historię, mówi o swoich

wadach, aż w końcu nie mam ochoty dłużej go słuchać. Chcę mu powiedzieć, jak się wściekłam, gdy po powrocie z Klubu Julietty znalazłam pieniądze.

– Wrobiłeś mnie – mówię. Czuję, że ogarnia mnie złość, ale staram się tego nie okazywać. Nie chcę, żeby wiedział, że jestem wkurzona.

– O co ci chodzi? – pyta. – O Annę?

– O pieniądze, które dałeś mi po imprezie.

– Jakiej imprezie?

– W Klubie Julietty – odpowiadam, jakby nie wiedział.

– W jakim klubie?

– W Klubie Julietty, Bundy – powtarzam zniecierpliwiona.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuca. – Nigdy nie płaciłem dziewczynom. Tylko brałem pieniądze.

Czuję mętlik w głowie, ale muszę przejść do sedna sprawy.

– Bundy, martwię się, gdzie jest Anna.

– Nie mam pojęcia – mówi. – Przysięgam.

Tak samo jak przysięgał, że nie zabił tych dziewczyn.

– Zrobiłeś jej to samo? – pytam wściekle. – Próbowaleś wymusić od niej pieniądze?

– Nie zrobiłbym jej nic takiego – odpowiada. – Nigdy bym jej nie skrzywdził. Kocham ją.

Tak bardzo jej pragnąłem – dodaje łamiącym się głosem. Jest bliski łez. – Nawet mnie nie obchodzi, czy się goli, czy nie.

Bundy mówi, że wielokrotnie próbował zbliżyć się do Anny i robił wszystko, żeby jej zaimponować. Jest jedyną kobietą poza jego matką, na którą wydał więcej niż dziesięć dolców. Kupował jej prezenty i biżuterię. Ale ona zawsze go odtrącała.

– Mówiła, że kocha mnie jak brata – zwierza się. – Woli jednak mężczyzn niż chłopców.

Spogląda na mnie wielkimi smutnymi oczami i chce, żebym go zapewniła, że wszystko jest w porządku. Nie zamierzam mu tego mówić, bo wiem, co Anna miała na myśli. Usycha z tęsknoty za nią tylko dlatego, że złamała mu serce. Na zakończenie swojej smutnej opowieści powtarza w kółko dwa zdania.

– Nie zabiłem jej. Nie zabiłem tych dziewczyn.

– Wierzę ci, Bundy. – Uświadamiam sobie, że naprawdę tak jest. – Ale wiesz może, gdzie ona się podziewa?

– Wybierała się na imprezę – mówi w końcu. – Może tam ją znajdziesz.

– Na jaką imprezę? – pytam podejrzliwie.

Ale zanim słyszę odpowiedź, dociera do mnie, że będę musiała tam pójść, i wiem, że nie mam wyboru.



Idę po zmroku przez tereny należące do ogromnej willi w stylu włoskim – miejsca, w którym Bundy zorganizował przyjęcie dla pracowników serwisu samochodowego, gdzie może, ale tylko może, znajdę Annę. Jest wieczór przed wyborami i Jack ma tyle roboty, że postanawia nocować w sztabie wyborczym.

Idę wijącą się ścieżką, która wznosi się i opada. Z każdego miejsca widać skąpaną w nikłym świetle księżycy sylwetkę zbudowanego na szczycie wzgórza rozległego budynku, ukrytego do połowy za wiszącą na niebie samotną chmurą.

Ścieżka jest tylko jedna – nie rozgałęzia się ani nie łączy z innymi – jednak poza mną nie ma na niej żywego ducha. Przez cały czas wygląda tak samo – to wąska piaszczysta dróżka, z głazami po obu stronach, za którymi rozciągają się gęste zarośla, tu i ówdzie upstrzone polnymi kwiatami i storczykami w tak jaskrawych kolorach, że wydają się świecić w ciemności. Oświetla ją dziwne nastrojowe światło niewiadomego pochodzenia, które sięga nie dalej niż metr poza granice ścieżki. W tym półmroku wszystko dookoła ożywa.

Mam na sobie tę samą czerwoną pelerynę, którą założyłam na przyjęcie w stylu *Oczu szeroko zamkniętych*, i czarne buciki w stylu Mary Jane, przez co czuję się jak Czerwony Kapturek spieszący do domku babci. Cisza, bezruch, poczucie samotności i panujący dookoła mrok budzą we mnie niepokój. Idę tak szybko, jak to możliwe, z nadzieją, że kolejny zakręt przybliży mnie do celu. Ale tak nie jest.

Gnam ścieżką w ciemności, zmierzając Bóg wie gdzie, i dwie myśli nie dają mi spokoju. Co ja tu robię?

Ten cholerny Bundy!

Brak mi słów, żeby wyrazić, jak jestem na niego wściekła, bo wiem, po prostu wiem, że znowu mnie wrobił. Ale nie mam wyboru, muszę odnaleźć Annę. Przeklinam dzień, w którym Bundy przyszedł na świat, przeklinam jego rodziców, jego idiotyczne tatuaże, paskudnego penisa i śmierdzące stopy. Nie potrafię uciszyć głosu w swojej głowie, który staje się tak donośny i natarczywy, że muszę się upewniać, czy nie mówię tego głośno. Mimo iż dookoła nie ma żywej duszy. Myśli kłębią się w mojej głowie, a od czasu do czasu pojawia się w niej odpowiedź.

Anna.

Jestem tu, żeby odnaleźć Annę.

Muszę ją znaleźć.

Przyspieszam kroku i jeszcze bardziej chcę dotrzeć do celu.

Zatopiona w myślach zapominam o tym, gdzie jestem. Nie przejmuję się nawet tym, że jestem sama, w ciemnościach, które wydają się tętnić życiem, niczym las pełen odgłosów przyrody, których źródła można się jedynie domyślać. Jednak to, co słyszę, to nie odgłosy lasu, to pomruki rozkoszy, odgłosy rżnięcia i nieopisanej przyjemności. Śmiech, piski, stęknienia i jęki. Plaśnięcia, z jakimi ciało obija się o ciało. A kiedy spoglądam w ciemność czającą się poza granicami ścieżki, wydaje mi się, że widzę kończyny zaplątane w gałęzie, pochylone nad konarami ciała, wystające z zarośli pośladki i kłębiące się w krzakach sylwetki. Wygląda to jak raj przed upadkiem, kiedy seks i natura były jednym, czymś pierwotnym, zmysłowym i dzikim. Gdziekolwiek spojrzę, otacza mnie pokusa.

Choć wydaje się, że idę w kierunku domu, nie jestem pewna, dokąd właściwie prowadzi

ścieżka, która czasami zakręca albo biegnie zygzakiem. Wkrótce tracę orientację i nie mam pojęcia, czy idę w górę, czy w dół, przed siebie czy zawracam. Mimo to wciąż widzę wysoką, ozdobną wieżę willi, która prowadzi mnie do celu niczym światło latarni morskiej.

Czuję się jak na planie otwierającej sceny *Obywatela Kane'a*. Przypominam sobie pierwsze ujęcie, zbliżenie wiszącego na ogrodzeniu złowrogiego znaku „Wstęp wzbroniony”, powoli przechodzące w panoramę pełną ogrodzeń, poręczy, bram i balustrad, z których każda kolejna jest bardziej zdobna, trwała i złowieszcza od poprzedniej.

Za nimi widać upiorne ruiny Xanadu, ogromnej rezydencji, którą Kane wybudował ku czci swego bogactwa, i gotycki zamek, górujący nad nią niczym ponury nagrobek.

Myślę o tych płotach i bramach jak o barierach i wytworach swojej osobowości; stworzyłam je w okresie dzieciństwa i dojrzewania, by obronić się przed światem. Jestem tak pochłonięta własnym życiem, że zapomniałam o istnieniu tych niewidzialnych fortyfikacji, które zamiast mnie chronić, przesłaniają widok na świat i nie pozwalają zobaczyć, kim naprawdę jestem. Nagle uświadamiam sobie, że nie chcę trwać za tymi murami do końca swoich dni. Nie chcę skończyć jak Charles Foster Kane, który nawet w obliczu śmierci nie potrafił wyznać, co nim kierowało. Udręczony człowiek, zamknięty w nawiedzonym domu, który umrze razem z nim.

Teraz jestem w miejscu równie opuszczonym jak rezydencja Kane'a, ale im dalej idę, tym wydaje się bardziej dziwaczne i ekscentryczne. To ruiny zaprojektowane tak, by wyglądały jak zabytek i wywiodły w pole archeologów. Mijam oddalone od ścieżki budynki, które przytłaczają mnie swoją wielkością, ale kiedy podchodzę bliżej, widzę, że to efekt sztucznej perspektywy i że w rzeczywistości są to przekrzywione fasady ze schodami prowadzącymi donikąd. Przechodzę obok na wpół ukończonego amfiteatru z widownią, ale bez sceny, a otaczające go rzędy kolumn są ozdobione twarzami chochlików i demonów. Spomiędzy drzew i krzewów widać kruszejące kamienne posągi olbrzymów, boginek, nimfi mitycznych stworzeń biorących udział w orgii. Gigantyczny żółw niesie na plecach ogromnego fallusa. Sfinks ujmuje w dłonie swoje piersi, z których tryska woda. Kolos w zbroi trzyma nabrzmiałego penisa niczym miecz, gotów pokonać nim swoich wrogów.

Domyślam się, że to miejsce jest jak pomnik wybudowany przez arcybogatego finansistę ku czci jego wybujałej fantazji seksualnej. Z powodu wieku, niezadowolenia czy też dekadencji człowiek ten – podobnie jak Kane – stał się impotentem i zostawił swe dzieło w spadku Matce Naturze, która potraktowała kamienne bóstwa jak własne dzieci, ubierając je w mech, bluszcz, korzenie i chwasty.

Mam wrażenie, że posągi patrzą na mnie, słyszę dobiegające z zarośli miłosne westchnienia. Biegnę ścieżką, skręcam za rogiem, mijam zagajnik i wychodzę na wąską alejkę obsadzoną drzewami. Ich splecione gałęzie tworzą nad moją głową liściasty baldachim. Dróżka prowadzi do białego we wzgórzu wielkiego głazu, w którym wyrzeźbiono twarz ogra – puciołowatą i okrągłą, z brodą, małymi paciorkowatymi oczami i ustami pełnymi drobnych, nierównych zębów. Patrząc na nią, przypominam sobie zębatą pochwę narysowaną na ścianie przy wejściu do Fabryki Rżnięcia. To pochwa z zębami, oczami i włosami łonowymi.

Wryta nad górną wargą inskrypcja głosi:

AUDACISSIME PEDITE

Usta ogra są rozdziawione, jakby się śmiał albo krzyczał; sama nie wiem. A może ryczy, śmiejąc się z jakiegoś żartu. Patrzy na mnie, śmieje się ze mnie, jakby rozpoznał we mnie kogoś, kto nie pasuje do tego miejsca. Jakaś część mojej osobowości kusi mnie, żeby wbiec w te usta i się ukryć, bez względu na to, co czai się w mroku, byle tylko nie patrzeć mu w oczy. Bo tam

właśnie prowadzi ścieżka: do ust ogra. Tam się kończy. Nie ma innej drogi. Mogę jedynie zawrócić, ale nie mam takiego zamiaru. Muszę znaleźć Annę.

Słyszę muzykę, dźwięk bębnow i fletów. Dobywa się z paszczy ogra.

Niepokój walczy we mnie z determinacją i żałuję, że nie ma ze mną Anny. Zastanawiam się, co zrobiłaby na moim miejscu. Ale znam odpowiedź. Żadna z tych rzeczy nie zbiłaby jej z tropu. Radośnie weszłaby do środka, ponieważ dla Anny każde doświadczenie to nowa przygoda, nowe wyzwanie i nowa granica, którą można przekroczyć.

„Wejdz do środka”, zdają się mówić ekstatyczne pomruki. Robię więc, co mi każą.



W środku jest tak ciemno, że niemal natychmiast potykam się o skałę i prawie padam na twarz. Wyciągam ręce, szukając ścian, które stanowią usta ogra i jego gardło. Korytarz jest tak wąski, że muszę przyciskać ręce do ciała, ale wystarczająco wysoki, bym mogła się wyprostować. Czuję pod palcami chłodną wilgoć skały.

Idę po omacku, stąпам ostrożnie, czekając, aż oczy przyzwyczają się do sączącego się z góry delikatnego światła. Staję przed wyciętymi w skale wysokimi schodami z zardzewiałą balustradą z kutego żelaza, które prowadzą w dół, w głąb naturalnego systemu jaskiń. Sufit opada niczym dach płóciennego namiotu podczas ulewy, a jego powierzchnia jest upstrzona długimi, patykowatymi stalaktytami, czerwonymi i brązowymi u nasady, żółtymi i białymi na końcach – jak kolce ogromnego jeżowca. Spływająca z nich woda tworzy miniaturowe kałuże, a odgłos kapania odbija się echem od kamiennych ścian, przywołując na myśl bicie dzwonów. Pod moimi stopami płyną wąskie strumyczki i muszę się przytrzymać żelaznej poręczy, żeby się nie poślizgnąć. Ona również wydaje się mokra i jakby przegniła. Powietrze jest tu zatęchłe i nieruchome.

Czuję się, jakbym szła przetykiem ogra prosto do wnętrza ziemi, niczym Jonasz wałęsający się bez celu po brzuchu wieloryba. Mogę iść tylko przed siebie, bez względu na to, gdzie mnie to zaprowadzi.

Dostrzegam dół schodów, oglądam się za siebie, żeby zobaczyć, jak daleko zaszłam, i widzę, że jestem w połowie drogi w dół. Im dalej idę, tym głośniejsza i bardziej szalona staje się muzyka. Brzmi jak wrzawa dziesiątek głosów, które przekrzykują się nawzajem.

U podnóża schodów jest przejście, tak wąskie, że z trudem mieści się w nim jedna osoba. Wchodząc do środka, muszę się przygarbić. Kilkaset metrów dalej wąski korytarz otwiera się na platformę z widokiem na rozległą grotę i prowadzące w dół wycięte w skale schody.

Stoję mniej więcej w połowie wysokości pieczary. Na drugim jej końcu, z głębokiej szczeliny w skale, przez którą sączy się do środka widmowe srebrzyste światło księżyca, wypływa naturalny wodospad. Umocowane w skale płonące pochodnie dają dodatkowe światło; wystarczające, by zobaczyć, że ściany jaskini są ozdobione kolorowymi freskami przedstawiającymi ogród, w którym byłam chwilę temu: wijącą się ścieżkę i kamienne posągi. Podłoże pieczary jest pokryte różowym fosforyzującym mchem, który porasta również skalne ściany i mieni się w blasku pochodni niczym polerowane złoto.

U podnóża wodospadu woda dzieli się na dwa strumienie, tak że powstaje wysepka. Wznosi się na niej mała, okrągła kolumnadowa kamienna konstrukcja, coś jak podium albo estrada, otwarta z jednej strony i skąpana w blasku księżyca. Po drugiej stronie podium stoi kilka postaci w białych szatach i nienaturalnie dużych papierowych maskach w kształcie głów zwierząt. Każda z tych osób gra na jakimś instrumencie – na bębnie albo na miniaturowych talerzach. Dwie grają na rozszerzających się ku końcowi długich drewnianych fletach. Muzyka jest głośna i przenikliwa, odbija się od ścian pieczary, wypełniając ją kakofonią dźwięków,

rozmaitych rytmów i tonacji, które rozchodzą się po moim ciele.

Na podium znajduje się tron obity czerwonym aksamitem; dwie przednie rzeźbione nogi mają kształt lwów. Na tronie siedzi zawołowana postać w długich, lejących się białych szatach, tak obszernych, że nie jestem w stanie określić, czy to mężczyzna, czy kobieta. U jej stóp klęczy naga kobieta z jasnymi włosami, takimi jak Anna. Na jej widok serce bije mi mocniej, ale nie wiem, czy to rzeczywiście ona, bo dziewczyna jest zbyt daleko. Opiera głowę na kolanach tajemniczej postaci, a ta przykładła dłoń do jej czoła, jak kapłan, gdy udziela swym parafianom rozgrzeszenia.

Ta kobieta musiała dopuścić się potwornych grzechów, jej plecy pokrywa bowiem siatka czerwonych świeżych pręg, a stojąca za nią druga tajemnicza postać ściska w ręce bicz, gotowa w każdej chwili smagnąć jej delikatną skórę. Przypominam sobie dzień, kiedy Anna pokazała mi okropne ślady na nadgarstkach, i uświadamiam sobie, jaka byłam naiwna, myśląc, że to najgorsze, co może ją spotkać.

U podnóża schodów prowadzących na podium klęczy w półkołu pięć innych nagich kobiet – dwie blondynki, dwie brunetki i jedna ruda. Ich twarze zwrócone są do tronu, ręce oparte na kolanach, a głowy pochylone. Czekają na swoją kolej.

Muzyka jest tak głośna, że nie słyszę własnych myśli; tak głośna, że czuję się, jakby odbierała mi osobowość, zastępując ją dźwiękiem. Wiem tylko, że nie mogę zapomnieć, po co tu przyszedłam. Muszę odnaleźć Annę. Powtarzam to w myślach niczym mantrę.

Powoli ruszam po schodach. Kiedy zbliżam się do dna jaskini, dociera do mnie, że to, co wzięłam za różowy mech, to w rzeczywistości ciała; skłębiona masa kopulujących ludzkich ciał. Płatanina rąk i nóg, włosów, skóry i potu. Ludzki dywan pokrywa każdy centymetr kwadratowy kamiennej podłogi i zdaje się wpełzać na ściany. Widzę ukryte między nogami i ramionami głowy. Tułowia dotykane przez niezliczone pary rąk. Nogi wyrastające z ramion, ramiona znikające między nogami i pojawiające się w okolicach talii. Dłonie przyklejone do piersi. Penisy wystające spod ugiętych kolan. Usta otwarte w ekstazie albo wypełnione różnymi częściami ciała. Patrząc na to, mam wrażenie, że to muzyka pcha tych ludzi do tego szaleństwa.

Myślałam, że dzięki Annie widziałam już wszystko – na stronie SODOMY i w Fabryce Rżnięcia. Myślałam, że nic mnie już nie zaskoczy. Czułam się znudzona, ale czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałam. Nawet w filmach.

Ostrożnie stawiam stopę między skłębioną masę ciał. Najwyraźniej zauważają moją obecność, bo zaczynają się rozdzielać, tworząc wąskie przejście. Idąc pośród nich, czuję się skrępowana, a zarazem zupełnie niepozorna, bo nikt nie zwraca na mnie uwagi, jakbym szła po zatłoczonej ulicy. Jestem jednostką w tłumie setek, tysięcy ludzi, zagubioną wśród zgielku i krzątany.

Zerkam na podium w chwili, gdy blondynka wstaje z kolan i rzuca się w falującą, skłębioną masę. Jej umęczone ciało wędruje tam i z powrotem jak na widowni koncertu rockowego. Czyjeś ramiona chwytają ją i ściągają w dół. Inne wypychają ją na powierzchnię.

Przypomina to otwierającą scenę z *Dzikiej bandy*, gdzie siedzące na poboczu dzieci patrzą, jak armia czerwonych mrówek pożera dwa skorpiony. Uradowane dzieciaki obserwują ten upiorny spektakl i dźgają stworzenia gałązkami, by bardziej rozjuszyć mrówki i zmusić je do jeszcze większego okrucieństwa.

Z przerażeniem patrzę, jak blondynka zostaje wciągnięta pod ruchomy ludzki dywan, który zamyka się nad jej ciałem.

Nie mogę nic na to poradzić, ale na chwilę przed tym, zanim dziewczyna znika, widzę jej twarz i wiem już, że to nie Anna.

Kolejna zajmuje jej miejsce u stóp odzianej w białą szatę postaci. Bicz ze świstem

przecina powietrze i z przerażającą siłą i prędkością ląduje na jej plecach. Ciało dziewczyny napręża się, plecy tworzą łuk, a ramiona opadają. Głowa się kołysze. Dziewczyna otwiera usta, przez co wygląda jak wilk wyjący do księżyca. Nikt jednak nie słyszy jej krzyków; muzyka zagłusza wszystko – świst bicia, wrzaski bólu, pojękiwania pieprzących się ludzi.

Ciała nadal się przede mną rozstępują. Stoję niemal na środku jaskini, wystarczająco blisko podium, by widzieć twarze dziewczyn i wiedzieć, że żadna z nich nie jest Anną. Ta klęcząca przed tronem straciła przytomność i leży u stóp zawołowanej postaci niczym szmaciana lalka.

To cholernie dziwna scena. Najdziwniejsza, jaką widziałam. Zbyt dziwna jak na mój gust. W tej chwili mam ochotę rzucić się do ucieczki i jak najszybciej opuścić to miejsce, ale nie mogę. Jestem zdana na łaskę ciał, które wiją się u mych stóp.

Muzyka dudni mi w uszach. Serce bije tak mocno, jakby chciało rozsadzić klatkę piersiową. Tak mocno, że ogarnia mnie panika i czuję, że się duszę. Siłą woli zmuszam się do spokoju, oddycham głęboko, by mózg pracował, żebym mogła zastanowić się, co zrobić i dokąd pójść. Mam wrażenie, że ścieżka, która się przede mną otwiera, nie jest tą, którą wybrałam; czuję, że ciała prowadzą mnie dokądś i pozwolą mi iść tak długo, jak długo będę szła w wyznaczonym kierunku.

Niebawem docieram na drugą stronę pieczary i widzę otwór w skale, korytarz. Teraz już wiem, dokąd prowadzą mnie ciała. Każdy kolejny krok jest bardziej przerażający od poprzedniego; w końcu nie jestem w stanie dłużej tego znieść i szukając bezpiecznego miejsca, kilkoma susami pokonuję ostatnie metry dzielące mnie od ściany.

Wbiegam w szczelinę i pędzę w głąb oświetlonego pochodniami wąskiego korytarza. Nie oglądam się za siebie aż do chwili, gdy muzyka się oddala i cichnie, a jedyne, co słyszę, to echo moich kroków na kamiennej podłodze. Korytarz rozwidla się na dwie odnogi, a zaraz potem na trzy. Nie mam pojęcia, dokąd właściwie zmierzam. Posuwam się wciąż w tym samym kierunku – prosto przed siebie – nawet gdy ścieżka skręca i zawraca. Wszystko wygląda tak znajomo, a zarazem tak obco. Czuję się, jakbym wróciła do Fabryki Rżnięcia.

Korytarz biegnie teraz prosto. Z góry przez widoczne w skale łukowate otwory – wycięte na przemian, tak by żaden z nich nie był naprzeciw drugiego, jak hotelowe pokoje – wlewają się do środka plamy światła.

Kiedy podchodzę do pierwszej, słyszę te same dźwięki, które wypełniały powietrze, kiedy szłam przez ogród. Tym razem są mniej eteryczne, bardziej gwałtowne, prymitywne jak ryk tłumu na wydarzeniach sportowych.

Podchodzę do szczeliny i zaglądam do środka. Pomieszczenie jest wielkości dużego garażu. Tak jak w grocie, ściany są tu ozdobione malowidłami – przedstawiającymi okna, drzwi, a nawet sąsiednie pokoje – przez co wydaje się większe, niż jest w rzeczywistości. Przywodzi na myśl dekorację teatralną.

Pośrodku stoi wysokie drewniane rusztowanie. W połowie głównej kolumny widzę przywiązaną dziewczynę. Jest naga. Ręce ma uniesione nad głową, związane w nadgarstkach, dłońmi na zewnątrz. Zwój liny oplata ją w taliu niczym elastyczny pas. Kolejny sznur, zawiązany na supeł na środku jej klatki piersiowej, okala piersi dziewczyny i jej ramiona niczym biustonosz.

Jej ciało jest upstrzone czarnymi kropkami i plamami, jakby ktoś ochlapał ją atramentem. Obok niej stoją dwie zakapturzone postacie. Trzymają czarne świece wielkie jak znicze olimpijskie, przyciskają je do jej ciała i pochylają głowy, przez co przypominają kapłanów udzielających sakramentu albo błogosławieństwa.

Wokół rusztowania mężczyźni i kobiety pieprzą się zapamiętale, nie zwracając na mnie uwagi. Wszyscy noszą maski – karnawałowe, maski zwierząt, gumowe z twarzami prezydentów,

polityków i postaci historycznych. Panuje tu pełna napięcia atmosfera, jakby lada chwila coś miało wybuchnąć. Towarzyszy jej przytłaczający zapach.

Zauroczona dziewczyną na rusztowaniu, czuję się, jakbym zaglądała do własnego snu. Świeca zbliża się do jej piersi, a kapiący wosk pokrywa ją niczym lukier. Kiedy gromadzi się na jej ciele, dziewczyna kręci biodrami i wypycha je do przodu, jakby chciało jej się sikać. Nogi ma wyprostowane i związane liną tuż pod kolanami, więc gdy nimi porusza, przywodzi na myśl motyla, łagodnie trzepoczącego skrzydłami. Albo żuka, który przewrócił się na plecy i bezsilnie przebiera nóżkami.

Usta ma otwarte, powieki przymknięte, tak że patrząc na nią, nie wiem, czy prosi o więcej, czy błaga, by zostawiono ją w spokoju. Jest niczym przywiązana do pala Joanna d'Arc, otoczona oszalałym tłumem, zawieszona gdzieś między euforią a cierpieniem. Nie wiem, czy chcę ją przelecieć, ocalić, czy zająć jej miejsce.

Wchodzę z powrotem na korytarz i mijając kolejne pomieszczenia, zaglądam do środka. Wszystkie wyglądają jak sceny z SODOMY. Jest tu dziewczyna w sytuacji stresowej, odgrywająca jakiś scenariusz – związana, zamknięta w klatce, skuta łańcuchami, uwięziona – i publiczność, zelektryzowana i pobudzona tym przedstawieniem. Stoję w wejściu do każdego pomieszczenia wystarczająco długo, by się upewnić, że nie ma w nim Anny, i idę dalej. Wędruję po katakumbach i po jakimś czasie mam wrażenie, że chodzę w kółko. A może sceny, które oglądam w kolejnych jaskiniach, zlewają się w jedną?

W końcu docieram do pomieszczenia wyglądającego na puste. Ciekawość bierze nade mną górę i wchodzę do środka. Jak w innych pomieszczeniach, także tu ściany są ozdobione malowidłami; te przedstawiają meble. Jednak w przeciwieństwie do innych komnat są tu niski podest, który służy jako łóżko, i stojąca naprzeciw niego marmurowa rzeźba.

– Dlaczego tak długo? – słyszę dobiegający z tyłu męski głos.

Brzmi znajomo. Znam go.

Odwracam się i widzę mężczyznę w masce arlekina, mężczyznę z mojego snu, tego samego, z którym kochałam się w Klubie Julietty. Na widok znajomej postaci czuję ulgę. Ma na sobie czarną pelerynę z kapturem i uśmiecha się znacząco. Spodziewał się mnie, ale nie wiem, jak to jest możliwe.

– Szukam kogoś – wyjaśniam.

Rozglądam się po pomieszczeniu, choć niewiele tu jest do oglądania.

– I oto jestem – odpowiada, jakby chciał zwrócić na siebie moją uwagę.

– Nie ciebie. Mojej przyjaciółki Anny.

– Znam ją? – pyta.

– Nie wiem... – odpowiadam, patrząc mu w oczy.

– A powinienem? – Znowu się uśmiecha. Nie wiem, o co mu chodzi ani dokąd to wszystko zmierza, ale czuję, że wie więcej, niż mi się wydaje, i się ze mną drażni. – Chodź. – Wyciąga rękę i idzie w moją stronę. – Chcę ci coś pokazać.

Jego dłoń zamyka się na mojej. Jest miękka i ciepła jak rękawiczka i niesie pocieszenie. Nieznajomy prowadzi mnie do marmurowego posągu w kącie pomieszczenia.

Z tyłu rzeźba wygląda jak mężczyzna z bardzo owłosionymi nogami. Klęczy pochylony, tak że nie widzę jego rąk. Jest odwrócony plecami, więc równie dobrze może się modlić, jak masturbować. Kiedy podchodzimy bliżej, widzę, że nie robi ani jednego, ani drugiego.

To posąg i nie ma innego sposobu, żeby to opisać – posąg mężczyzny pieprzącego kozę. No cóż, nie do końca jest to mężczyzna, ni to człowiek, ni to kozioł, z rogami jak diabeł. Od pasa w górę wygląda jak człowiek, od pasa w dół jak kozioł. Technicznie rzecz biorąc, jest to kozioł pieprzący kozę, tak więc żadne prawa – ludzkie, boskie czy też prawa natury – nie zostały tu

pogwałcone czy przekroczone. A jednak... nie ma wątpliwości, że to ludzki penis człowieka-kozła penetruje... Właśnie. To żenujące, nie mam jednak pojęcia, czy kozy mają pochwy, ale jeśli tak, to jego penis właśnie ją penetruje.

Koza, jak większość przedstawicieli swojego gatunku – nawet samice – ma bródkę. Leży na plecach, z uniesionymi tylnymi nogami. Tymczasem człowiek-koziół pieprzy ją i jednocześnie szarpie za brodę. Wygląda na to, że zwierzę nie jest szczególnie zadowolone z takiego obrotu spraw. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie przerażonego. A może tak mi się tylko wydaje. Ale wierzcie mi, cała ta scena wygląda dość przerażająco, nawet jeśli rzeźba sama w sobie jest piękna.

– Wiesz, co to jest? – pyta mój towarzysz.

– To dość jednoznaczne – odpowiadam. – Poza tym nie mam pojęcia.

– Spróbuj zgadnąć – zachęca.

– Pornografia starożytnych Etrusków?

– Ciepło. – Śmieje się. – Powstała kilkaset lat później. To rzymska rzeźba. Przedstawia Pana. Boga pieprzenia.

Jego głos nie daje mi spokoju. Brzmi znajomo, ale nie potrafię powiedzieć, skąd go znam.

– Wiesz, skąd się tu wzięła? – pyta.

– Z rezydencji „Playboya”?

– Z Herkulanum – odpowiada, jakbym powinna wiedzieć, co to takiego. – To we Włoszech, niedaleko Pompejów. Znalaziono ją w prywatnej willi teścia Juliusza Cezara, który też był niezwykle potężną i wpływową postacią. – Poklepuje Pana po zadzie. – Wyobrażasz sobie, co się tam działo? – ciągnie. – Jakie rzeczy się tam odbywały?

– Imprezki? – pytam niewinnie. Staram się być dowcipna. Chcę, żeby pomyślał, że jestem mądra i zabawna. Chcę, żeby mnie lubił.

– Otóż to – odpowiada bez cienia ironii.

Choć raz się nie mylę. Czekam, aż rozwinie temat, ale tego nie robi.

– Niestety, ta tutaj nie jest prawdziwa. Oryginał znajduje się w Neapolu. To tylko świetna kopia. Są tu wszystkie szczegóły – wyjaśnia i przejeżdża palcem wskazującym po sterczącym penisie Pana, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem nie jest zakurzony. – No i pełni swoją funkcję.

– To znaczy? – pytam.

– Nie bądź wstydliva – mówi.

– Nie jestem – odpowiadam.

– O to przecież chodzi.

– O to? O półczłowieka pieprzącego kozę?

– O tu i teraz. O to miejsce.

– Skoro już o tym mowa, co to właściwie za miejsce?

– To ogród ziemskich rozkoszy – odpowiada. – Zaślubiny nieba i piekła.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– O Klubie Julietty – odpowiada.

Kiedy tylko słyszę tę nazwę, wracam pamięcią do miejsca, w którym usłyszałam ją po raz pierwszy. Byłam wtedy z Anną w łazience. Myślałam, że to idiotyczna nazwa dla elitarnego klubu swingersów. Najwyraźniej się myliłam.

– Brzmi jak nazwa stowarzyszenia studentek.

– Nic bardziej mylnego – prostuje. – Klub Julietty to ludzie, których łączy jedna myśl, jedna filozofia, którzy gonią za wysublimowanymi przyjemnościami. Mamy wspólne zainteresowania, te same cele i nieograniczone środki.

– Brzmi jak ekskluzywny klub dla obrzydliwie bogatych ludzi, którzy lubią sobie dogadzać.

– To nie klub – wyjaśnia. – To tradycja. Ma historyczny rodowód. Wywodzi się z czasów przedchrześcijańskich, tajemnych religii i pogańskich kultów, które były dozwolone tylko w okresie cesarstwa rzymskiego.

Świetnie, myślę, teraz czeka mnie lekcja historii.

– W miarę jak kultury te zyskiwały coraz więcej zwolenników, władze Rzymu zaczęły upatrywać w nich zagrożenia dla swojej władzy i panującego porządku. Tak więc postanowiły położyć im kres, rozbiły je i urządziły obławę na ich wyznawców.

Tajemne religie brzmią jak starożytny odpowiednik Fabryki Rżnięcia, ale nie jestem pewna, czy o to mu chodzi.

– Władze nie miały jednak pojęcia – ciągnie – że wyznawcami tego kultu było również wiele znanych i wpływowych osobistości. Wyznawców prześladowano, ścigano, więziono i skazywano na śmierć. Mało brakowało, a wytepieno by ich. Jednak ta religia odrodziła się po fali prześladowań, a jej przywódca doszedł do wniosku, że aby przetrwać, należy osiągnąć trzy główne cele: ograniczyć zagrożenie, kontrolować je i zminimalizować ryzyko.

– Chwileczkę – przerywam mu. – Pogubiłam się. Mówimy tu o zarządzaniu korporacją czy o pieprzeniu się?

– O pieprzeniu? – pyta, jakby zaskoczony, że takie słowo w ogóle przeszło mu przez usta.

– Tu chodzi o coś więcej niż pieprzenie.

– Wciąż to powtarzasz, ale nadal nie mówisz, o co tak naprawdę chodzi.

– O pożądanie – odpowiada, przeciągając każdą sylabę. – I władzę. Nie mogliśmy pozwolić, żeby nam je odebrali, tak więc zeszedliśmy do podziemia i ukryliśmy się pod nosem prześladowców.

– Jak można się ukryć pod nosem prześladowców? To nie ma sensu.

– Ależ ma. Ujmę to tak: jakiej historii nie da się zweryfikować?

– Każdej, która się pojawia w „National Enquirer” albo na stronie TMZ.

– Właśnie – przytakuje. – Plotki, mity, pomówienia.

– I?

– Nie można podać do sądu plotki, tak jak nie można obalić mitu – tłumaczy. – Po prostu istnieją, same się nakręcają i oddziałują, ale nie można ich zniszczyć. Mogą jedynie ewoluować albo się zmienić. Tak więc od tamtej pory nasz kult jest znany pod wieloma nazwami.

Zaczyna wymieniać nazwy, które brzmią jak tytuły kiepskich horrorów klasy B:

Kult Izdydy.

Tajemne Bractwo Libertynów.

Klub Hellfire.

– Obecna nazwa to Klub Julietty – oznajmia. – Jednak wszystkie one wywodzą się z tajemnych religii.

– Na czym polegała tajemnica? – pytam zaintrygowana.

– Tajemnica miała pozostać nieodkryta – mówi. – Chodziło o stworzenie miejsca takiego jak to. Miejsca, które byłoby celem podróży, nie kolejnym postojem.

Mówi zagadkami.

– A jak dotrzeć do tego miejsca? – dopytuję się.

– Jak się tu dostałaś? – odpowiada pytaniem.

– Dzięki serwisowi samochodowemu. Wyszadzili mnie przed bramą główną. Hasło: Fidelio. Ochrona patrzyła na mnie dziwnie. Pewnie spodziewali się Toma Cruise’a. A dostali mnie, Toma Cruise’a z cyckami.

– Bardzo śmieszne – rzuca, ale nie wygląda na rozbawionego. Nawet się nie uśmiecha. – Nie to miałem na myśli. Są trzy etapy inicjacji.

– To znaczy?

– Dezorientacja zmysłów.

Wiem coś o tym.

– Odurzenie ciała.

Widziałam to.

– Orgiastyczny seks.

Brałam w nim udział. Spełniłam wszystkie trzy warunki. I oto jestem.

A więc to nie splot wydarzeń czy zwykły przypadek przywiódł mnie w to miejsce.

Zostałam tu zwabiona.

– Teraz już wiesz, dlaczego tu jesteś – mówi, jakby czytał w moich myślach. I znowu ten tajemniczy uśmiech. Nie potrafię go rozgryźć.

– Czymkolwiek jest Klub Julietty, nie chcę do niego należeć. Chcę tylko odnaleźć przyjaciółkę.

– Ależ ty już do niego należysz.

– Nie pasuję do tego miejsca! – rzucam podniesionym głosem.

– Skoro tu jesteś, to znaczy, że pasujesz do tego miejsca. – Spogląda mi prosto w oczy.

– Nie rozumiem.

– Inni nie pasowali.

– Jacy inni?

– Ci, którzy nie przeszli próby – tłumaczy cierpliwie.

– Ci, którzy zrezygnowali w połowie drogi, rozmyślili się, i ci, którzy wzdragali się przed inicjacją. Wszyscy zostali poświęceni.

Poświęceni. Czy ja dobrze słyszę? Cała się trzęsę, choć staram się tego nie okazywać.

– Czy to jedna z tych sytuacji, gdy po ujawnieniu prawdy będziesz musiał mnie zabić? – Nie do końca jest to żart.

On się śmieje, ale chyba nie dlatego, że zrozumiał dowcip. I nie zaprzecza.

– Wiesz, więcej nas łączy, niż dzieli – mówi. – Jesteśmy bardziej podobni, niż możesz to sobie wyobrazić. Nie jesteśmy tacy jak inni.

– Dlaczego ja? – pytam.

– Masz talent.

– Jaki?

– Jesteś nieprzekupna i pojętna.

Nie pyta. Stwierdza. Ale nie sądzę, żeby miał rację.

– Staram się – mówię błagalnie. – Naprawdę się staram.

Chcę, żeby przestał mówić do mnie w ten sposób, a mimo to słucham go z zapartym tchem. Czuję się jak Alicja próbująca porozmawiać z Szalonym Kapelusznikiem i Marcowym Zającem; jestem pochłonięta jakąś pokrętną logiką, której nie pojmuję, ale podświadomie wiem, że gdybym tylko ją zaakceptowała, odnalazłabym w niej sens.

– Ale ty to rozumiesz – ciągnie z uśmiechem. – Wiesz, że żądza i władza, seks i przemoc są dwoma stronami tego samego medalu. Przyszedł tu, do mnie, bo chcesz wiedzieć więcej, chcesz doświadczyć tego na własnej skórze.

Kłamie. Wiem, bo słyszałam to już wcześniej – z ust Anny.

Teraz już wiem, kim jest ów tajemniczy nieznajomy w masce, mężczyzna z moich snów. To o nim opowiadała mi Anna, że rozumie ją najlepiej ze wszystkich facetów.

– Znasz Annę – mówię.

Nie odpowiada.

Znam to. To scena z *Ostatniego tanga w Paryżu*, jedyna, którą wszyscy znają, i jedyna, która interesuje widzów.

Zaczyna się, gdy Maria Schneider wchodzi do mieszkania Marlona Brando i woła od progu, żeby poinformować go o swoim przybyciu. Nikt nie odpowiada, więc myśli, że nie ma go w domu. Ale Brando siedzi na podłodze, w milczeniu je chleb i ser, czekając, aż ona przyjdzie.

Już w tym momencie wie, co się wydarzy. Podjął decyzję i ma świadomość, dokąd to wszystko zmierza. Zdecydował, co zrobi, a ona jest nieświadoma. Nie zwraca na nic uwagi, bo podświadomie ona również tego chce.

Ten tutaj też na mnie czekał, bo wiedział, że przyjdę. I pojawiłam się jak na zawołanie. Gotowa na scenę z masłem.

– Boisz się? – pyta, podchodząc bliżej.

– Nie – odpowiadam i uświadamiam sobie, że to prawda.

Nie boję się. A nawet gdyby było inaczej, nie dałabym tego po sobie poznać.

Zastanawiam się tylko, co kombinuje. I gdzie jest Anna?

– A powinnam się bać? – pytam.

Przyciąga mnie do siebie. Nie bronię się, bo rozumiem, że do tego to wszystko zmierzało. Chciałam tu przyjść. Ja o tym zadecydowałam.

Z drugiej strony przyszłam, bo musiałam. Nie miałam wyboru.

Mam talent. I zostałam zauważona.



Popycha mnie na podest. Wie, czego chce, i zamierza to wziąć. Podnoszę wzrok i widzę posąg: kozę i leżącego na niej rogatego demona. Siebie i jego w straszliwym, bezbożnym akcie. Tyle że on nie sięga po moją brodę. Chwyta mnie za gardło.

Zanim dociera do mnie, co się dzieje, czuję na sobie jego ręce i wszystko odbywa się tak szybko, że mam wrażenie, iż oglądam to w zwolnionym tempie.

Zaciska ręce na mojej szyi.

Próbuję krzyczeć, ale z gardła dobywa się zduszony jęk. Szamoczę się, ale wiem, że jest silniejszy ode mnie. Ciężar jego ciała przygniata mnie do podestu.

Jestem zupełnie bezsilna, ale w pełni skupiona i świadoma.

Zbyt późno na jakąkolwiek reakcję; zbyt późno, żeby uciekać.

Czuję, jak jego dłonie powoli zaciskają się na mojej tchawicy.

– Głupiutka dziewczynko – kpi ze mnie. – Nie musiałaś tu przychodzić.

Pochyla się nade mną tak nisko, że jego twarz znajduje się tuż nad moją, a jedyne, co widzę, to ukryte za skórzaną maską oczy – błyszczące i oszalałe.

Myślę o tym, co przydarzyło się tym dziewczynom. Co przydarzyło się Annie. Teraz wszystko wydaje się oczywiste. Jasne jak słońce.

Powinnam była uważać. Powinnam była słuchać głowy, nie ciała. Powinnam była wiedzieć, że tak to się skończy.

Nikt nie chce umierać. Nie w takim miejscu. Nie w taki sposób.

Nie chcę umierać. Nie tu, nie tak jak tamte dziewczyny.

Ale jest już za późno, by cokolwiek zmienić.

Jego dłoń wyciska ze mnie resztki życia. Mój oprawca chce zobaczyć, jak konam. Chce, żebym poczuła to, co czuły tamte.

Chwytam do płuc ostatni haust powietrza i resztkami sił charczę przez zaciśnięte gardło:

– Pieprz się.

Brzmi to jak niezrozumiały bełkot. W odpowiedzi mężczyzna szepcze mi do ucha:
– Czujesz mnie?
Jego ręce się zaciskają.
Po chwili wszystko spowija ciemność.



Kiedy się budzę, leżę na plecach i spoglądam na bezmiar błękitnego nieba, które ciągnie się od jednego horyzontu aż po drugi. Nie ma na nim słońca, księżycy ani chmur. Choć kolor jest mdły, bez wyrazu i całkowicie jednolity, mam wrażenie, że niebo jest rozpięte nad moją głową, zupełnie jakbym patrzyła na krzywiznę kuli ziemskiej. Czuję muskający moje ciało delikatny wiatr, ale w tym momencie nie jestem w stanie powiedzieć, czy leżę pod wodą, czy dryfuję po niebie.

Wysoko ponad moją głową, niczym strażnicy, przelatują upiorne białe mewy. Gdyby nie czubki ich skrzydeł, które wyglądają, jakby ktoś umoczył je w atramencie, pomyślałabym, że to plamki latające mi przed oczami od zbyt długiego wpatrywania się w bezkresny błękit. Wzbijają się, niektóre większe od innych, i szybują pod różnym kątem i na różnych wysokościach, choć mam wrażenie, że wszystkie znajdują się na tej samej płaszczyźnie. Widzę stado szpaków latających tam i z powrotem jak ławica ryb; zawracają w miejscu, by złapać prąd.

Podnoszę głowę i się rozglądam. Leżę naga pośrodku wielkiego kamiennego podwyższenia wznoszącego się kilkanaście centymetrów nad ziemią. Podo mną, niczym prześcieradło, rozpościera się ciemnoczerwona szata z misternym złotym haftem. Moje ręce tkwią do połowy w rękawach. Wokół, daleko jak okiem sięgnąć, rozciągają się puste trybuny.

Kręci mi się w głowie, więc po raz kolejny spoglądam w niebo i czuję się, jakbym latała, jakbym wzbijała się i szybowała razem z ptakami. Mam wrażenie, że coś utknęło mi w gardle; coś jakby piórko. Drapie mnie i utrudnia oddychanie. Nie mogę złapać tchu i zaczynam panikować. Krztusząc się, próbuję się pozbyć tego czegoś. Niczego nie znajduję, ale cokolwiek to było, zniknęło i z trudem łapię powietrze, jakbym robiła to po raz pierwszy. Jakbym umarła i się odrodziła. Wraz z oddechem powraca palący ból, który przeszywa moją krtań, rozlewa się po piersi i wypełnia płuca, jakbym wdychała ogień.

Wydaje mi się, że słyszę szept Jacka: „A więc przyszedłeś”.

Otwieram oczy, by go powitać.



Otwieram oczy, czekając, aż wróci mi ostrość widzenia, i uświadamiam sobie, że człowiek, który się nade mną pochyla, to nie Jack ani nieznamy w masce, tylko Bob, z twarzą ukrytą w cieniu. Bob jest człowiekiem w masce. Nie wiedzieć czemu, wcale mnie to nie dziwi.

Podnosi rękę i wymierza mi siarczysty policzek. Moja głowa odskakuje w bok, jakby była na sprężynie.

Bob chwyta mnie za brodę, odwraca moją głowę i znowu mnie policzkuje. Tym razem jeszcze mocniej.

– Obudź się! – krzyczy. – Nie czas umierać.

Patrzę na niego i widzę jego twarz przez ułamek sekundy, a potem lzy napływają mi do oczu i wszystko wokół się rozmazuje.

Chwyta mnie za nadgarstki, nie w obawie, że zacznę go bić, ale po to, żeby przyciągnąć moje ręce do swojej szyi.

– Zamieńmy się – mówi. – Teraz ty mnie duś. – Przytrzymuje mi ręce i kładzie je na swojej szyi. – Mocniej – nakazuje.

Zaciskam dłonie.
– Mocniej – powtarza.
Najwyraźniej nie jestem wystarczająco silna.
Powtarza to raz za razem, coraz głośniejsze, aż w końcu krzyczy. Jak trener, który chce zagrozić do walki swoich zawodników. Teraz jestem naprawdę wściekła.
– Mocniej!
Reaguję bez zastanowienia.
– Mocniej!
Zaciskam palce na jego szyi.
– Mocniej!
Puszczam moje ręce, a ramiona mu opadają. Nadal nie zwalniam uścisku.
– Mocniej!
Czuję się, jakbym dokręcała śrubę, której gwint do końca tkwi już w ścianie. Próbuje wkręcić ją głębiej i wkładam w to całą swoją siłę.
Jego twarz robi się czerwona.
Jeszcze mocniej zaciskam palce na jego szyi.
Porusza ustami, ale nie dobywa się z nich żaden dźwięk.
Napieram na niego całym ciałem, z siłą, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Robi się purpurowy, oczy wychodzą mu z orbit, źrenice się rozszerzają. Ciało ma zupełnie sztywne i nieruchome.
Zerkam na jego usta, na których błąka się złośliwy uśmieszek. Jakby miał świadomość tego, co mi robi. A może to grymas bólu? Nie wiem, bo nie potrafię powiedzieć, czy się krzywi, czy rzeczywiście się uśmiecha.
Mam nadzieję, że to pierwsze, bo rozumiem już, o co w tym wszystkim chodzi. Wiem, jaka idea przyświeca temu choremu zgromadzeniu. Ci ludzie chcą panować nad życiem i śmiercią. Oto co ich kręci.
To właśnie kręci Boba.
Podejmowanie najwyższego ryzyka.
Czuję pod palcami jego słabnący puls. Widzę, jak odpływa. Mogłabym to zakończyć. Tu i teraz. Wiem, że nie będzie walczył. Mogłabym wycisnąć z niego ostatnią kroplę życia. Tu i teraz. Mogłabym odebrać mu życie, tak jak on odebrał je tamtym dziewczynom. Tak jak odebrał je Annie. Bo domyślałam się, że to właśnie zrobił. Mogę wyrównać rachunki. Mogę sprawić, że nic takiego już się nie wydarzy. Że nie będzie więcej ofiar.
I nawet jeśli ten popaprzany skurwiel czerpie z tego przyjemność, nie potrwa ona długo. A zaraz potem będzie za późno, żeby cokolwiek odkręcić.
Tego właśnie chce. Wie, że nie może przegrać.
Jeśli go zabiję, umrze ze świadomością, że moje życie jest skończone.
Jeśli go zabiję, to będzie zbyt proste.
Czuję, jak ulatuje z niego życie. Więc odsuwam ręce.
Nie rusza się. Krew odpływa mu z twarzy.
Drań nie żyje. Wiem to. Przekręcił się.
– Bob! – krzyczę raz za razem. Uderzam go w twarz. Walę pięściami w jego pierś.
Zaczynam panikować. Nie ma mowy, żebym wzięła to na siebie.
Krzyczę więc i uderzam. Mocniej.
Zaczynam tracić nadzieję i wtedy widzę, że drgają mu powieki.
Policzkuję go. Raz, drugi.
Z trudem łapie oddech i gwałtownie wciąga do płuc powietrze. Towarzyszy temu

paskudny, chrapliwy dźwięk.

Patrzę na niego osłupiałym, rozpaczliwym wzrokiem.

Chcę, żeby żył. Musi żyć. Nie dla siebie.

Dla mnie.

Mija dłuższa chwila i wszystko wskazuje na to, że przeżyje. Bob wraca do świata żywych i dochodzi do siebie.

Porusza ustami, ale nie wiem, co chce powiedzieć. Jego głos to zaledwie szept. Pochylam głowę i słyszę, jak mówi:

– Geno... który krawat... który krawat powinienem założyć?

Pieprznięty świr. Nadal ma obsesję na punkcie wyglądu. Gdyby tylko Gena wiedziała.

A może wie, ale woli o tym nie myśleć. Może oszukuje samą siebie albo jest ślepa?

Czyżby przymykała oko na jego grzeszki? A może rzeczywiście niczego nie zauważa? Nie mogę przestać myśleć, że coś podejrzewa i stąd ten jej dziwny, smutny uśmiech.

Bob odzyskuje przytomność, ale nie zamierzam przy nim siedzieć, trzymać go w ramionach, głaskać po głowie i opiekować się nim, aż zupełnie wydobrzeje. Choćby nie wiem co, nie zostanę tu. Muszę opuścić to miejsce, zanim przypomni sobie, gdzie jest, kim jestem i co się wydarzyło.

I tak za długo tu zabawiłam. Widziałam wystarczająco wiele i wiem, kiedy należy się wycofać. Wychodzę więc, podczas gdy na wpół przytomny Bob nadal leży na płycie, bełkocząc coś bez ładu i składu.

Nie odwracam się.

Nie oglądam się za siebie.

Cieszę się, że żyję.



Jest wieczór wyborczy. Siedzę sama w domu i oglądam ogłoszenie wyników w telewizji. Kiedy łączą się ze sztabem wyborczym Boba DeVille'a, widzę na jego twarzy triumfalny uśmiech. Wyprzedza swojego rywala znaczną różnicą głosów i wie, że wygra te wybory. Jest pewny zwycięstwa i wcale się z tym nie kryje. Nietrudno było się domyślić, że tak właśnie będzie.

Podajcie mi nazwisko polityka, który nie uniknął kary za morderstwo.

To jeszcze jeden plus tego zawodu. A DeVille opanował to do perfekcji.

Dla mnie to DeVille. Nie Bob. Bob brzmi zbyt serdecznie. Zbyt przyjacielsko. Zwłaszcza teraz, kiedy wiem to, co wiem. To wszystko zmienia. Nazywanie go po imieniu to jak bycie na ty z Dusiciem z Hillside.



DeVille stoi na podium, pokazując znak zwycięstwa i uśmiech rodem z reklamy pasty Colgate. Obejmuje Genę i szykuje się do wygłoszenia przemówienia. Wydaje się uprzedzająco grzeczny i zadowolony z siebie. Do tego ma na szyi pieprzony fular. Jestem chyba jedyną osobą, która wie dlaczego. Założył go, żeby ukryć siniaki. Żeby chronić swoją małą tajemnicę.

Gena wskazuje na przypadkowych ludzi w tłumie i robi z ustami to samo, co Hillary Clinton na wiecach wyborczych. Gapi się zaskoczona, z niedowierzaniem i – udając, że ich zna – macha do tłumy, jakby właśnie zobaczyła dawno niewidzianego krewnego. Robi to, ponieważ jest przekonana, że tylko krok dzieli ją od zostania pierwszą damą, w związku z czym powinna zacząć się odpowiednio zachowywać.

Państwo DeVille'owie urządzają przedstawienie dla rozentuzjasmowanego tłumy ludzi, którzy przyjechali do sztabu specjalnymi autobusami, by stworzyć sztuczny tłok, żeby wyglądało, że przyszły senator trzyma rękę na pulsie i ma za sobą okazały elektorat, gdy tak naprawdę zdobył najmniejszą liczbę głosów w historii stanu.

Muszę przyznać, że DeVille'owie świetnie sobie radzą. Gdybym ich nie знаła, do głowy by mi nie przyszło, że w rzeczywistości są zupełnie inni niż ludzie, których teraz widzę w telewizji. Na wskroś amerykańska para. Kochający się, wierni sobie i cieszący się dobrym zdrowiem.

Kiedy kamera obejmuje całą scenę, dostrzegam Jacka, stojącego z boku, razem z całym sztabem DeVille'a. Nic nie jest w stanie zepsuć mi tej chwili. Jestem z niego tak bardzo dumna.

Nawet jeśli mam pewne zastrzeżenia, bo znam już prawdziwego Boba DeVille'a, nie tego wyciętego z kartonu polityka, który występuje w telewizji, twierdząc, że chce pokazać ludziom „prawdziwego siebie”. Wiem, do czego jest zdolny. Wiem, w czym uczestniczy.

Raz za razem zadaję sobie to samo pytanie: Ile jest warte doświadczenie? I jak wiele kosztuje?

Oto ile jest warte moje doświadczenie. Rozumiem rzeczy dotyczące seksu, władzy i tego, jak na siebie oddziałują, o których większość ludzi nie ma bladego pojęcia. A jestem przecież taka młoda. Będę musiała żyć z tą wiedzą do końca swoich dni. Nie mogę powiedzieć, że dzięki temu jestem szczęśliwa. Jeśli mam być szczerą, świadomość ta sprawia, że czuję się niezręcznie. Ponieważ wiem, że tylko krok dzieli mnie od DeVille'a.

Mogłabym opowiedzieć o wszystkim Jackowi. Gdybym tylko chciała, mogłabym

rozdymuchać całą sprawę. Ale jak każdy człowiek mam tylko jedno życie i marzę o tym, o czym marzą wszyscy ludzie: o bezpieczeństwie, rodzinie, szczęściu i miłości. Nie mam pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale wiem, że nie takiej przyszłości pragnę. Nie chcę być demaskatorką.

Mój instynkt przetrwania jest znacznie silniejszy niż chęć ratowania świata. Gdybym chciała, mogłabym zgrywać bohaterkę, ale czy chcę, by do końca życia postrzegano mnie w ten sposób? Czy jestem gotowa ponieść konsekwencje swoich czynów? Co w takiej sytuacji zrobiłby Jack? Jak coś takiego odbiłoby się na naszym związku?

Bo przecież musiałabym opowiedzieć o wszystkim Jackowi. Nie jestem jeszcze na to gotowa. Pewne rzeczy powinny pozostać niewypowiedziane, lepiej trzymać je w tajemnicy. Ta nie wyjdzie na jaw. Przynajmniej na razie. Ale zastrzegam sobie prawo do zmiany decyzji.

Co zrobilibyście na moim miejscu?

Zastanówcie się. Nie jest łatwo podjąć taką decyzję, prawda? Nie ma prostych rozwiązań ani instrukcji postępowania w takiej sytuacji.

To nie hollywoodzkie kino, gdzie wszystko kończy się, jak należy. Gdzie źli faceci dostają za swoje, siły zła i chaosu zostają pokonane, a porządek jest przywrócony. Gdzie bohaterowie wracają do normalnego życia. Do swoich domów, żon i mężów, dzieci i psów. Pewnie nie muszę wam tego mówić, ale w prawdziwym życiu jest inaczej. Hollywoodzkie zakończenia są możliwe wyłącznie w filmach.

Zakończenie tej historii przypomina ujęcie, którym kończy się *Do utraty tchu* Godarda, kiedy bohater grany przez Jeana-Paula Belmonda, drobny przestępca imieniem Michel, godzi się ze swoim losem, po tym jak jego amerykańska dziewczyna – w tej roli wystąpiła Jean Seberg – mówi mu, że go nie kocha i że doniosła na niego policji. Robi to, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Ze złościwości.

Jako gangster w filmie o gangsterach Michel ma świadomość, że jest mądrzejszy od reszty ludzi, wie, dokąd to wszystko zmierza. I my również to wiemy.

Pamiętacie, co wcześniej mówiłam?

Fabuła jest drugorzędna w stosunku do bohatera.

Tak więc Michel zostaje postrzelony w plecy i potykając się, biegnie ulicą ku zapomnieniu. Dociera do skrzyżowania i się przewraca. Właśnie taki koniec dla siebie przewidział. Tyle że ten jest bardziej banalny, bo Michel wygląda jak ofiara wypadku i w niczym nie przypomina niebezpiecznego przestępcy, który ginie od kul ścigających go stróżów prawa.

Ostatnie jego słowa przed śmiercią to: „Prawdziwa z ciebie gnida”. To jego sardoniczne pożegnanie ze światem, który nigdy go nie kochał i którego on również nie kochał. To chwila jego „Różyczki”. Nie wyjawia nic istotnego; jego słowa są niewyraźne, niewłaściwie odbierane i źle interpretowane – tak naprawdę nikt nie wie, o co mu chodzi. „Prawdziwa z ciebie gnida”. To odpowiedź nie dla świata, ale dla kobiety, którą kochał i która go zdradziła – stojącej za nim femme fatale, jego pięty Achillea, podczas gdy on kpi z własnej śmierci.

Jeśli jednak skupimy się na Jean Seberg, to jej znajomość francuskiego, która aż do tej chwili była naprawdę imponująca, nagle ją zawodzi. Nie rozumie francuskiego słowa i pyta policjanta, co ono znaczy.

Tak kończy się film.

Dziewczyna nie tylko zdaje sobie sprawę z ogromu wydarzeń, które wprawiała w ruch poprzez swój egoizm, ale też uświadamia sobie, że do końca życia będzie musiała trwać w przeświadczeniu, że Michel umarł, szczerze jej nienawidząc.

W błędnym przeświadczeniu.

Gdyby wszystkie filmy kończyły się w ten sposób.

Nierozwiązane i niedopowiedziane.

Począwszy od dnia naszych narodzin... nie, jeszcze wcześniej, od chwili poczęcia nasze życie jest niczym innym jak tylko serią pomniejszych problemów. W życiu uczuciowym, erotycznym, zawodowym, rodzinnym i pewnie kilku innych sferach. Musimy dołożyć wszelkich starań, by się w te problemy nie zaplątać.

Niektórzy ludzie mają na ich punkcie prawdziwą obsesję. Zamartwiają się wszystkimi: „A co, jeśli...”, „Co by było, gdyby...” i „Co się stało?”.

Ale nie ja.



Właściwie w tym momencie to ja jestem takim problemem. I DeVille dobrze o tym wie. Mógłby się mnie pozbyć, gdyby tylko chciał. Ma taką władzę. Mógłby strzelić palcami i sprawić, żebym znikła. Jak Anna. Mógłby zapłacić komuś, żeby mnie zlikwidował i zatarł wszelkie ślady, tak jak zrobił to z Daisy i innymi dziewczynami. I nie musiałby ponosić konsekwencji ani płacić żadnej ceny. Wciąż raczyłyby telewizzów swym idealnie białym uśmiechem i nikt by się o niczym nie dowiedział.

Ale wiem, że mnie nie skrzywdzi. Nie zamierzam do końca życia oglądać się za siebie. Nie zamierzam patrzeć i czekać, aż pojawi się jeden z jego zbirów. Nie boję się. Jestem pewna, że DeVille ocenił ryzyko i uznał, że jestem pomniejszym problemem, z którym potrafi żyć.

Spytacie, dlaczego jestem tego taka pewna.

Bo wiedza to potęga.

Tak mówią.

DeVille złożył Jackowi obietnicę. Powiedział, że jeśli wygrają wybory, znajdzie dla niego posadę w rządzie. Jack nie ma powodu podejrzewać, że szef nie dotrzyma danego słowa. A ja dopilnuję, żeby DeVille doprowadził sprawę do końca. Jestem pewna, że to zrobi, ponieważ Bob DeVille potrzebuje wokół siebie mądrych ludzi pokroju Jacka, by poprawiali jego wizerunek.

Zresztą kim jestem, by odmawiać Jackowi takiej możliwości? Kim jestem, by ograniczać jego ambicje?

To nie mnie powinien bać się DeVille.

Powinien bać się Jacka.

I jego reakcji, gdyby się dowiedział.

Oto jak wygląda sytuacja. Chcę, żebyście ją znali. Nikt nie ma powodów, by upubliczniać swoją historię. Takie rzeczy nie leżą w naszym interesie.

Oto prawdziwa natura władzy. Tajemna natura władzy.

Jest ukryta. I pozostanie ukryta.

Tak więc Klub Julietty wciąż istnieje.

Dziewczyny takie jak Anna nadal będą znikać bez śladu. Albo policja będzie znajdować ich ciała.

Za ich zamordowanie odpowie jakiś biedny frajer pokroju Bundy'ego. Tylko dlatego, że łatwo go zrobić i wiadomo, że nie pociągnie za sobą nikogo więcej. Koniec końców Bundy to tylko jedno z ogniw łańcucha, które z łatwością można zastąpić. Zawsze będą istniały dziewczyny chętne do zabawy i faceci, którzy będą im z chęcią towarzyszyć. Zawsze tak było, jest i będzie.



Jesteśmy ze sobą związani – Jack, DeVille i ja. To sytuacja bez wyjścia, jak scena w *Dobrym, złym i brzydkim*.

Wieczny trójkąt. Stoimy naprzeciw siebie w kamiennym kręgu. Patrzymy i czekamy, kto

zrobi pierwszy ruch. Wiem tylko, że nie mam zamiaru skończyć w bezimiennym grobie, a pokazy siły w celu obrony przed atakiem² nikomu nie wyjdą na dobre.

A może jest tak jak w finałowej scenie *Włoskiej roboty*, w której złoto znajduje się na przedzie autobusu, ludzie tłoczą się z tyłu, a autobus wisi nad przepaścią. Jeden fałszywy ruch i wszyscy runą w dół.

Tak to właśnie wygląda.

Szach-mat.

Seks sprawia, że wszyscy jesteśmy równi – tyle wyniosłam z tej małej przygody.

Podziękowania

Książkę tę dedykuję wszystkim – kobietom i mężczyznom – którzy podobnie jak ja w pewnym momencie życia do oswojenia się z własną seksualnością mieli wyłącznie literaturę i filmy.

Nie znajduję odpowiednich słów, by podziękować Marcowi Geraldowi i Peterowi McGuiganowi, którzy uwierzyli we mnie, gdy ja sama zaczęłam w sobie wątpić. Chrisowi i Masumi za ich pomoc, nieocenione badania i wkład w tę książkę. MV Cobra – za Twoją miłość i światło. Dziękuję wszystkim przyjaciołom – Saelee Oh, Jamesowi Jeanowi, Dave’owi Choe, Yoshiemu Obayashi, Kristin Burns, Candice Birns, Brianowi Levy’emu i New School Media. Beth DeGuzman, Selmie McLemore, Catherine Burke, Davidowi Shelleyowi, Kirsteen Astor, Stephanie Abou, Kirsten Neuhaus – za czas i wysiłek, jaki poświęciliście tej książce. Dziękuję!

Niewiarygodne wsparcie otrzymałam od wszystkich w Grand Central, Little Brown, The Agency Group i Foundry Literary & Media. Dziękuję Noelowi Clarke’owi i Matowi Schulzowi za ich opinię. Na końcu pragnę podziękować wszystkim filmowcom i pisarzom, którzy są dla mnie nieustannym źródłem inspiracji: Godardowi, Felliniemu, Bunuelowi, Friedkinowi, Tohjiro, Jeanowi-Baptiste’owi de Boyer, Angeli Carter, Voltaire’owi, THE MDS.

¹ STD – *sexually transmitted disease* – choroba przenoszona drogą płciową.

² Mutual Assured Destruction (MAD) – doktryna strategii wojskowej; opierała się na teorii odstraszenia, która przewidywała, że warunkiem koniecznym do uniknięcia ataku jest budowa arsenału potężniejszego od pozostałych, potencjalnych stron konfliktu.

